

KRZYSZTOF
KOTOWSKI



ZYGZAK



REBIS

KOTOWSKI KRZYSZTOF

Zygzak

KRZYSZTOF KOTOWSKI

trident

2003

Wydanie polskie

Data wydania:

2003

Projekt okładki:

Maciej Rutkowski

Zdjęcie na okładce:

Agencja Fotograficzna BE&W

Wydawca:

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171

Poznań

tel. 867-47-08, 867-81-40;

fax 867-37-74

rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

ISBN 83-7301-315-6

Wydanie elektroniczne Trident eBooks

Dla Elżbiety i Emilii

ROZDZIAŁ 1

Twarz senatora Piotra Kamińskiego jak zwykle wyrażała spokój. Tak naprawdę prawie każdy, kto miał okazję spotkać senatora, odnosił wrażenie, że ma do czynienia z oazą spokoju.

Słowo „prawie” jest tu o tyle istotne, o ile ważną w życiu Kamińskiego postacią – wciąż, niestety – był jego najzacieklejszy przeciwnik polityczny Paweł Gurdoł, poseł zresztą.

Słynne kłótnie Piotra i Pawła wywoływały rozbawienie dziennikarzy i przyciągały wyborców do telewizorów skuteczniej niż brazylijskie seriale. Z obu powodów panowie szybko stali się częstymi gośćmi przy Woronicza 17 w Warszawie oraz, jak nietrudno zgadnąć, w mnóstwie prywatnych stacji telewizyjnych i radiowych.

Już sam ich widok, siedzących naprzeciwko siebie, gwarantował wydawcom programowym kasowe widowisko. Sucha, drobna twarz pięćdziesięcioletniego Gurdoła, o nieprawdopodobnych możliwościach mimicznych, zdradzająca neurotyczną wręcz potrzebę parcia w konflikt, a naprzeciwko niej – posągowe oblicze o kilka lat starszego Kamińskiego. Posiwałe, choć gęste włosy, zadbane, również szpakowate wąsy, bystry wzrok.

Oczywiście jasne było, że prędzej czy później „rozmowy” te będą nieuchronnie zmierzać ku otwartej i zażartej bitwie o wrogie postawy wobec Kościoła, tak zwane wartości rodzinne, aborcję i wychowanie chrześcijańskie. Czyli o to wszystko, o czym społeczeństwo słyszało już tysiące razy i jak niezbitcie wykazały badania, dyskusji na ten temat miało serdecznie dość. To powodowało, że Kamiński i Gurdoł pozostawali lekko za peletonem, ale właśnie im, jedynym chyba na scenie politycznej, wciąż jeszcze wybaczano te „ekscesy”, dzięki czemu mogli konsekwentnie trzymać się swoich ról. Ponownie sprawdzała się stara prawda, że ulubioną rozrywką polskiego społeczeństwa jest permanentne wkurzanie się przed telewizorem.

Inna sprawa, że fanatyczny i agresywny ton, jakim przemawiał Gurdoł, mógł wyprowadzić z równowagi samego Jezusa Chrystusa, z czego zdawali sobie sprawę nawet koledzy partyjni posła. W przewrotny sposób uspokajało to senatora

Kamińskiego, usprawiedliwiało bowiem ogromną dawkę adrenaliny w jego krwi w czasie tych spotkań.

Ekstremalnie prawicowego typu myślenia Pawła Gurdoła nijak nie dało się zreformować liberalną retoryką Kamińskiego, co napawało brać dziennikarską nadzieją że ten pełen kolorytu serial z posłem i senatorem w rolach głównych nigdy się nie skończy. Swoją drogą ciekawe, że Gurdoł nie obrał sobie za ulubionego przeciwnika kogoś z klasycznej lewicy, tylko centrowego polityka z partii liberalnej.

Tego dnia jednak senator miał znacznie większy problem niż pyskówka w telewizji.

–Do cholery! – mruknął do siebie i przygryzł nerwowo wargi.

Mimo że robił to już dzisiaj dziesiątki razy, ponownie spojrzął na teczkę, która spoczywała na fotelu pasażera jego toyoty.

Samochód lekko szarpnął, więc silniej chwycił kierownicę. Był dobrym kierowcą. Prowadził pewnie i spokojnie. Stara, wysłużona corolla miewała grymasy, ale raczej nie zawodziła. Lubił ten wóz i nie zamierzał go sprzedawać. Senator często przywiązywał się do przedmiotów ze swego otoczenia. Z samochodami było podobnie. Wyglądało na to, że będzie to kolejne auto Piotra Kamińskiego, które wyzionie ducha, dostojnie rozsypując się w jego garażu, nie poznawszy drugiego właściciela.

Ulice świeciły pustkami, co nie było niczym dziwnym, zwłaszcza że właśnie minęła druga w nocy. Nastrój opustoszałej stolicy wzmagął co prawda delikatnie niepokój senatora, ale jego twarz nie zdradzała niczego niezwykłego. Przemęczenie widoczne w oczach polityka mogło być równie dobrze skutkiem pobytu na przydługim raucie o niekoniecznie fascynującym przebiegu.

Prawda jednak była taka, że najzwyczajniej w świecie się bał. I choć ten nieznośny niepokój, który niczym mały, ale niezwykle uparty krasnoludek wędrował od żołądka aż po samo gardło i z powrotem, nie dawał o sobie zapomnieć, na twarzy senator zachowywał jeszcze pozory niezmiennego opanowania.

Kaszlnął nerwowo. Mdłości zaczęły przybierać na sile, więc szybko opuścił szybę. Wiosenne powietrze uderzyło go w twarz i przyniosło chwilową ulgę.

Minął właśnie „błękitny wieżowiec” na placu Bankowym, przeciął aleję Solidarności i wjechał w ulicę Andersa. Zwolnił, aby wytrzeć boczne lustro. Zrobił to bardziej dla opanowania nerwów niż ze względu na lepszą widoczność. Przy okazji rozejrzał się uważnie, dzięki czemu dostrzegł czarnego volkswagena golfa, który pojawił się za nim właściwie nie wiadomo skąd.

Z braku zajęcia zainteresował się chwilowym towarzyszem. Za kierownicą golfa tkwił niewielki człowieczek, raczej w okularach, ale senator nie był tego pewien. Światła samochodu zbyt go oślepiały.

Myśl, która właśnie wpadła mu do głowy, wydawała się dość głupia, ale mimo wszystko postanowił skrócić kilka razy bez ostrzeżenia w małe uliczki. Ponownie zerknął w lustro i wolno wypuścił powietrze z płuc. Golf zniknął.

–Cholera! – wyrwało mu się ponownie, gdy dojrzał niewidoczną z daleka na tle ciemnego asfaltu sporą kałużę.

Corolla wpadła w lekki poślizg, ale łatwo dał sobie z tym radę. Po chwili wrócił na główną ulicę, licząc na to, że pomoże mu lepsze oświetlenie drogi.

–Chyba jednak jestem przeczulony – mruknął do buldoga przymocowanego na półce przed przednią szybą i wytarł chusteczką spocone czoło.

Dojazd do Izabelina zajął mu jeszcze dwadzieścia minut.

Chwilowa samotność dobrze mu służyła. Zarówno żona, jak i córka jego zdaniem raczej nie ułatwiały mu pracy. Urlop, który spędzały w małym domku w Łazach, kupionym zresztą za psi grosz prawie dwadzieścia lat temu, dawał Kamińskiemu przynajmniej raz w roku czas na nieskrępowaną pracę. Sam również lubił tam jeździć, ale bardziej latem niż wiosną. Natomiast obie panie każdego roku z niewiadomych powodów wyjeżdżały na początku maja i opijały nad morzem święto robotnicze oraz kolejne rocznice Konstytucji 3 maja dużymi ilościami ginu z tonikiem i odrobiną cytryny. Po tygodniu zwykle wracały, aby w lipcu wyjechać ponownie, tym razem już w towarzystwie zmęczonego całym rokiem senatora.

Zofia Kamińska – żona wieloletniego działacza podziemnej Solidarności, a po roku 1989 czynnego polityka – swój strach z lat osiemdziesiątych zamieniła na nie skrywaną dumę. Wyrażała ją na różne sposoby, na przykład wypracowaną niegdyś w pocie czoła reprezentacyjną jak sądziła, miną. Pewna złośliwa kobieta z sąsiedztwa stwierdziła kiedyś, że w tym celu pani Kamińska długo obserwowała stado pawli mieszkających na stałe w parku Łazienkowskim.

Choć opinia ta mogłaby się okazać trochę krzywdząca, to trzeba przyznać, że pani Zofia wciąż nadużywała zdania: „To jest właśnie, drogie panie i drodzy panowie, mój mąż”.

Nie miała konkretnych poglądów politycznych, choć niezmiernie lubiła wtrącać się do spraw męża, być może znudzona rolą kobiety mało czy też raczej w ogóle nie pracującej.

Jej córka Magda – jak to kiedyś sama elegancko ujęła – olewała wszystko z góry, od pewnego czasu zajmując się głównie własnymi sprawami. Dzieliła swoją miłość do rodziców po równo, nie cofając się wszakże nigdy przed zjadliwym cynizmem, gdy tylko była zmuszona do rozmowy o polityce.

Po ukończeniu studiów szybko znalazła pracę w jednej z firm komputerowych na dziwnie brzmiącym stanowisku *internet shareware programing supervisor* (jej matka nigdy nie zrozumiała, na czym to polega) i temu się całkowicie oddała. W tym czasie spławiła kilku kandydatów na męża, których chorobliwie podejrzewała o większe zainteresowanie swoim ojcem niż nią samą. Staropanieństwo jej raczej nie groziło – była młoda i atrakcyjna – ale mimo całej miłości, jaką darzyła ojca, nie znosiła uchodzić za element na jego dworze.

–Pewnie przyjadą jutro po południu – przypomniał sobie Kamiński, wchodząc do domu.

Willa była duża i starannie urządzona w starym, choć może zbyt koturnowym stylu. Zdaniem senatora jej projektant nie miał zmysłu praktycznego. Nazbyt obszerny przedpokój, niepotrzebne aż dwie łazienki, kuchnia połączona z salonem – wszystko to powodowało, że Piotr Kamiński od dawna namawiał żonę do przeróbek,

ale na razie bez skutku. Pod jej wpływem kupił ten dom od przyjaciela, także za jej sprawą wszystko tu na razie pozostawało bez zmian. Jedyne innowacje, jakie udało mu się przeforsować, dotyczyły kilku jego ulubionych mebli. Zamiłowanie do staromodnego wystroju wyniósł jeszcze z domu rodzinnego, ale tu nie napotykał oporu ani żony, ani córki. Co do reszty – bez większych protestów ustępował, zdając sobie sprawę, że ta willa to właściwie jedyna rzecz, na którą pani Zofia ma decydujący wpływ.

Senator wszedł do pokoju zwanego przez rodzinę „brązową biblioteką” i rozejrzał się. Umiłowanie porządku – cecha, którą na szczęście dzielił z żoną – widoczne było już na pierwszy rzut oka. Książki, starannie ułożone na półkach według wielkości, tematyki, a nawet wieku, pokrywały całą niemal powierzchnię ścian, aż po sufit. Pośrodku stał niewielki stoliczek, przed nim krzesło, metr dalej dwuosobowa, nieduża, ale wygodna skórzana kanapa, obok niej fotel. Dominował tu oczywiście brąz, ale sufit pomalowany był na biało, co zdaniem pani Zofii miało wprowadzić trochę światła.

Senator wciąż nie mógł zapomnieć o kłopotach niesionych w teczce pod pachą ale był pewien, że te kilka godzin snu, które mu jeszcze pozostały do świtu, pozwoli spojrzeć na całą sprawę z innej, może lepszej perspektywy. Ze wstydem przyznał się sobie, że tydzień bez jego kobiet upłynął mu zbyt szybko. Zdjął marynarkę, powiesił ją starannie na krześle i przez chwilę rozważał możliwość przeczytania kilku stron rozpoczętego poprzedniego wieczoru *Domu na Sekwanie Whartona*, ale gdy przypomniał sobie, która jest godzina, zrezygnował. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i postanowił trochę odpocząć. Teczkę ostrożnie – jakby była ze szkła – położył na stolyczku i lekko zmrużył oczy. Po chwili jednak otworzył je, ponieważ wydawało mu się, że usłyszał lekkie chrobotanie na schodach.

–Dzyndzel, to ty? – spytał cicho, licząc, że to tchórzofretka Magdy stara się zejść na dół.

Powoli unosił się z fotela, gdy na ścianie przedpokoju widocznej przez drzwi biblioteki, zaczął się powiększać jakiś cień. Światło padało od strony przedpokoju, ale pochodziło od małej lampki wiszącej tuż przy drzwiach wejściowych.

Cień był słabo widoczny, lecz senator dostrzegł go ponad wszelką wątpliwość. Gdy w drzwiach pojawił się niewysoki mężczyzna w okularach, Piotr Kamiński zdążył już wstać.

Mężczyzna wymierzył pistolet w senatora, ale przez chwilę nie strzelał, być może chcąc się dokładnie przyjrzeć, czy osoba, którą widzi, jest tą którą spodziewał się tu zastać.

Polityk nie miał jednak czasu nawet na to, aby zacząć się bać. Zdążył tylko dostrzec, że pistolet jest nienaturalnie długi za sprawą tłumika. Dwa strzały powaliły go z powrotem na fotel. Głowa, którą przeszyły kule, uderzyła mocno o ramię mebla, ale senator tego nie czuł. Już nie żył.

Mężczyzna podszedł bliżej, wciąż trzymając pistolet w wyciągniętej ręce. Gdy się upewnił, że ofiara jest martwa, otworzył teczkę, po czym mruknął z zadowoleniem. Następnie zamknął ją przebiegłym wzrokiem po bibliotece i zaczął dokładnie

przeszukiwać dom.

Kierownik produkcji stał pośrodku studia numer 3; był wkurzony. Przeniesienie *Porannej rozmowy z politykiem* z małej „szóstki” do przynajmniej czterokrotnie większego studia, w którym się właśnie znajdował, uważał za nonsens. Tyle już razy dzisiaj pukał się w głowę z tego powodu, że narobił sobie siniaków na czole.

–Przyszedł, do cholery, czy nie?! – huknął przez mikroport leżący beczynnym na stole i choć był aż nazbyt dobrze słyszany w reżyserce na górze, odpowiedział mu łagodny i raczej niezbyt donośny głos Marty Karskiej:

–Jeszcze go nie ma, Waldziu.

–A gdzie jest Adam? – spytał, po raz kolejny bezskutecznie przyglądając niezmiennie sterczące włosy.

–Wpadł tu na chwilę do mnie, czekamy

–„Na chwilę”, akurat w to uwierzę – mruknął pod nosem, wyłączając mikroport, aby nikt go nie usłyszał, szczególnie zaś Adam Kniewicz, wydawca dzisiejszej *Rozmowy...* i bądź co bądź, jego szef.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że Kniewicz spotyka się od kilku miesięcy z piękną realizatorką dźwięku, choć oni sami usiłowali specjalnie się z tym nie afiszować.

W telewizji jednak mało jest rzeczy, które dałoby się ukryć przez ogółem kolegów, i każdy, kto pracował tu choćby pół roku, z pewnością miał okazję przekonać się o tym wielokrotnie. Plotki rozchodziły się na Woronicza szybciej niż prąd w kablach nad studiami, a wystarczyło dłużej zatrzymać wzrok na kimś, kto wyglądał tak jak Marta, aby można było zapomnieć o jakiegokolwiek tajemnicy.

Adam stracił wszelkie złudzenia już kilka lat temu, kiedy to pierwszy raz w kawiarence, właśnie przed „trójką”, pozwolił sobie na swobodną krytykę prowadzącego program. Był niedoświadczonym redaktorem świeżo po studiach i nie wiedział jeszcze, że pole minowe to plac zabaw w porównaniu z korytarzami bloku F przy Woronicza 17.

Gdy wysuszył szklanekę z sokiem pomarańczowym, poszedł do pokoju redakcyjnego po drugiej stronie bloku, jakieś dwieście kroków od „trójki”. Kiedy tam dotarł, wszyscy wiedzieli już o nieroztropnych uwagach żółtodzioba, nie wyłączając samego zainteresowanego. Można się domyślić, że nie pomogło to Kniewiczowi w i tak niełatwej karierze. Szczęście wszakże sprzyjało mu – dzięki kilku życzliwym starszym kolegom szybko nauczył się unikać niebezpieczeństw i od pewnego już czasu pełnił funkcję producenta, co jak na trzydziestolatka było sporym osiągnięciem. Miał świadomość starej dziennikarskiej prawdy, że szczególnie w telewizji, ci życzliwi stanowią zdecydowaną mniejszość, ale czuł się względnie bezpiecznie. Potrafił wyczuwać wszelkie zagrożenia na długo przed pojawieniem się problemów, a instynkt na razie go nie zawodził. Marta spojrzała na zegarek.

–Jeszcze pięć minut i może być problem.

–Nie martw się, przyjdzie – mruknął spokojnie Adam. – Jest w końcu prokuratorem generalnym, będzie się chciał z tego jakoś wytłumaczyć.

Marta odsunęła trochę swoje krzesło od konsoli, aby Adamowi wygodniej było bawić się jej włosami. Za szybą realizator obrazu przysypiał na stole.

W reżyserce dźwięku oprócz nich nie było nikogo, nie widziała zatem powodu, aby rezygnować z tej przyjemności. Dziesięć suwaków, służących do regulowania poziomu dźwięku z poszczególnych mikrofonów, znajdowało się wciąż w pozycji „0”, gotowych na podłączenie kanałów w studiu na dole. Marta ustawiła pokrętła korektorów, umieszczonych na konsolce powyżej suwaków, w pozycjach przystosowanych do studyjnych wywiadów i czekała na sygnał.

–Wiesz, że w „trójce” umierają papugi? – spytał nagle Adam.

–Papugi?

–Tak. Ilekroć ktoś przyniesie klatkę z papugami, niezależnie od tego, jaki to gatunek, nie mijają dwie godziny, a one klap. Chyba klimat im tu nie służy.

–Nie wygłupiaj się – Marta nie mogła powstrzymać śmiechu – przecież tu nagrywają od cholery programów ze zwierzakami.

–Mówię poważnie. – W tym momencie Kniewicz nie wyglądał na poważnego. – Powiedział mi to ten chudy okularnik, który kiedyś robił *Kawę czy herbatą*.

–Pan prokurator jest już w studiu! – usłyszeli z głośnika.

Adam uszczypnął pieszczotliwie Martę w szyję i wyszedł do reżyserki wizji.

–Jacek! Ręce na koldrę! – rzucił do zaspanego realizatora.

–Jest?

–Siedzi na dole. Gdzie Andrzej?

–W kiblu, ale jest już podpięty.

–Marta! – Kniewicz nacisnął przycisk przy mikrofonie, aby mogła go słyszeć.

–Słucham.

–Jacek mówi, że Andrzej ma już mikroport. Sprawdziałaś dźwięk?

–Właśnie to robię. Wszystko gotowe, chcę jeszcze tylko sprawdzić gościa.

–Panie prokuratorze – tym razem wydawca nacisnął włącznik interkomu, umożliwiający rozmowę ze studiem na dole – czy mógłby pan powiedzieć kilka słów? Chcemy sprawdzić dźwięk.

–To pan, panie Adamie? – spytał zachrypniętym głosem prokurator.

–Tak. Jak samopoczucie?

–Bywało lepiej, ale mam nadzieję, że po rozmowie z panem Andrzejem humor mi się poprawi.

–Jestem tego pewien – skłamał Kniewicz i spojrzał pytająco na Martę.

–U mnie w porządku, jestem gotowa – oświadczyła zarówno Adamowi, jak i wracającemu do studia prowadzącemu. Ten miał wyraźnie weselszą minę niż kilka minut wcześniej, gdy wychodził do ubikacji.

–Chłopaki... – zwrócił się wydawca do operatorów.

Wszyscy poruszyli dwukrotnie swoimi kamerami z góry na dół, co było znakiem gotowości. Adam dostrzegł to na monitorach kontrolnych umieszczonych nad konsolą. Prokurator sprawiał wrażenie opanowanego, ale Kniewicz wiedział, że to tylko pozory. Oko kamery potrafiło zręcznie ukrywać oznaki napięcia, a Adam umiał to wykorzystać. Potrzebował dzisiaj możliwie najbardziej wyważonej wypowiedzi, choć na rewelacyjną szczerłość nie liczył. Chciał jednak uniknąć niepotrzebnej nerwówki, bo – o czym wszyscy wiedzieli – rozdrażniony prokurator zamknąłby się

jak żółw w skorupie i byłoby po programie. Na razie z rumianego oblicza gościa tryskała pogoda ducha, a specjalny cielisty podkład i trochę pudru uczyniły je przyjemnie matowym, co w telewizji szczególnie dobrze wyglądało. Polityk był dość otyły, tak więc Adam doradził mu, aby pojawił się w ciemnobrązowym garniturze. Na stonowanym niebieskim tle osoba prokuratora prezentowała się bardzo dostojnie, co sam zainteresowany skwapliwie dostrzegł na monitorze pomocniczym.

–Uwaga, za trzy minuty wchodzimy! – rzucił do wszystkich Kniewicz.

–Dwójka, daj ogólny – mruknął zaspany jeszcze realizator. – Jedyńka, bardziej w lewo. Trójka, zbliżenie gościa.

–Andrzej! Co jest z tym twoim kołnierzykiem? – skrzywił się Adam.

Jasny garnitur prowadzącego nie wyglądał dziś jego zdaniem najlepiej.

–Musieli umazać mnie pudrem w charakteryzatorni.

–Waldziu! – huknął Kniewicz do kierownika produkcji. – Możesz coś z tym zrobić?

Waldzio spojrzał nerwowo na zegarek i podbiegł do prowadzącego. Chwilę później po pudrze na koszuli nie było śladu.

–Jeszcze trzydzieści sekund... – oznajmił leniwie realizator.

–Spadam – rzucił Waldzio, umykając sprzed kamer.

–Andrzej, uśmiech numer trzy!

Prowadzący wyciągnął się jak struna na swoim krześle i czekał na wejście czołówki.

Znany sygnał obudził prokuratora z zamyślenia. Niełatwo przyjdzie mu wytłumaczyć telewizzom, dlaczego dochodzenie w sprawie nadużyć i peerelowskiej działalności lewicowego posła Longina Rotha prowadzone jest tak ślamazarnie. Atakowany ze wszystkich już prawie stron, prokurator wił się jak węgorz na każdej konferencji prasowej, ale jakoś nie potrafił przekonać do siebie dziennikarzy.

Największym politycznym wrogiem zarówno jego, jak i Rotha był prawicowy poseł Ryszard Poznański, zresztą kolega partyjny Pawła Gurdoła. Wczorajszy spór w Sejmie z tym pierwszym zmusił prokuratora do dzisiejszego wystąpienia.

Wstęp prowadzącego *Poranną rozmowę z politykiem* był trochę przydługi, choć niewątpliwie na temat. Niezależnie od tego, co mówił, wyuczony uśmiech niezmiennie tkwił na jego przystojnym obliczu, wzbudzając zachwyt większości pań przygotowujących właśnie w domach śniadania dla rodzin lub robiących na drutach w łóżku.

Ich mężowie czekali tymczasem cierpliwie, aż dziennikarz wreszcie łaskawie się zamknie i da mówić prokuratorowi.

–Na początku chciałbym zwrócić państwa uwagę na to – rozpoczął gość – że oskarżenia posła Poznańskiego wynikają przede wszystkim z niezajomości procedury...

–Niewiele się chyba nowego dowiemy – westchnął cicho Adam, obserwując uważnie ekran emisyjny.

–Ja myślę, że obieca przyspieszenie śledztwa – zawyrokował realizator, włączając przebitkę prowadzącego.

Marta pokiwała tylko z powątpiewaniem głową. Wciąż wpatrywała się we

wskaźniki dźwięku, nie wierząc, że te dzisiejsze dziesięć minut cokolwiek zmieni.

–Mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć – tokował prokurator – że dotychczasowe działania zostaną jeszcze bardziej przyspieszone...

–Mam u ciebie ciastko – mruknął z zadowoleniem realizator do Adama, po czym włożył sobie do ust gumę do żucia.

Jacek przerabiał codziennie tony gumy do żucia, co zdumiewało Kniewicza o tyle, że realizator potrafił żuć, nawet przysypiając na konsolocie przed programem.

–Ile jeszcze? – spytał wydawca.

–Trzy minuty – odpowiedział Jacek.

–Waldziu... – wywołał Kniewicz szeptem kierownika produkcji, który właśnie spojrzął w górę na wielką szybę oddzielającą reżyserkę od studia. – Pokaż im trzy minuty...

Waldzio pokiwał głową po czym ustawił się za pierwszą kamerą tak, aby widział go prowadzący, i pokazał mu trzy palce.

Prokurator zrezygnował ze złośliwości pod adresem opozycji i zdecydował się na pojednawczy ton, tak więc ostatnie trzy minuty rozmowy wykorzystał na mniej lub bardziej bezpośrednio udowadnianie widzom, że najważniejsze jest to, co przed nami, a nie za nami.

Kierownik produkcji złożył dłonie w literę „T”. Prowadzący, podziękowawszy gościowi, poświęcił następne kilka chwil gospodyniom domowym i paniom robiącym na drutach, aż wreszcie – ku uldze ich mężów – zakończył program.

–Pójdę się z nim pożegnać – rzucił Adam i wyszedł z reżyserki.

Na dole prokurator kończył rozmowę z prowadzącym, który łasił się do niego tak służalczo, że Kniewicz nie mógł powstrzymać obrzydzenia. Podeszedł jednak, podał rękę gościowi i prowadzącemu. Dziękując obu, przeprosił za to, że musi ich opuścić z powodu niezwykle ważnych obowiązków. Te ważne obowiązki to chłodne, wygodne łóżko, w którym – miał nadzieję – nie zabraknie Marty Karskiej.

Marta leżała nago na łóżku. Kołdrę zrzuciła na dywan, aby Adam mógł się jej swobodnie przyglądać. Kniewicz uważał jej ciało za wspaniałe, szczupłe, kształtne – idealnie wyrzeźbione. Dziewczyna uśmiechała się teraz zalotnie, pełznąc wolno po prześcieradle ku miejscu, gdzie przed chwilą leżał. Jej gęste czarne włosy, niezbyt długie, opadające tuż za szyję, zasłaniały część twarzy. Nie była zbyt wysoka, ale Adam lubił takie kobiety. Sam, przy 185 centymetrach wzrostu, nie musiał mieć kompleksów, nawet stojąc obok smukłych modelek na obcasach, ale dziewczyny o rozmiarach Marty uważał za najbardziej atrakcyjne.

Jak na złość dotykała teraz leciutko palcem ust, czym doprowadzała go do stanu, który nie pozwalał mu nalewać spokojnie herbaty. Marta piła hektolitry tego napoju, w przeciwieństwie do Adama, który nie znosił ani kawy, ani herbaty.

Śniadanie zwykle popijał sokiem pomarańczowym lub jabłkowym, obiad – wodą i czasem tylko podczas kolacji pozwalał sobie na herbatę, ale zawsze owocową. Oboje nie palili, więc ten niewinny nałóg Marty nie przeszkadzał mu.

Mimo że wstali tego dnia o piątej rano, aby zdążyć na szóstą trzydzieści do telewizji, teraz kochali się, nie żałując sił. Mieli na wypoczynek cały dzień, co było

pewnym plusem ich systemu pracy, który pozwalał urwać się do domu już o dziesiątej rano. Adam dobrze wiedział, że jutro przygotowaniu następnego programu będzie musiał poświęcić co najmniej dwanaście godzin, postanowił więc nie marnować czasu.

Czuł jednak bezwstydnie, że te kilkadziesiąt minut seksu chyba mu na dzisiaj nie wystarczy. Stał, nalewając herbatę z czajniczka do filiżanki, i udawał, że nie patrzy na dziewczynę. Wstydził się swojego ciała, uważał, że jest zbyt gruby. Nie miał nawet kilograma nadwagi, jednak na tle jędrnego ciała Marty czuł się nieatrakcyjny. Wielkie, uważne, niebieskie oczy dziewczyny zawsze dostrzegały to zmieszanie redaktora, które bawiło ją i – trzeba przyznać – podniecało. Kochała go takim, jaki był, i podobało jej się, że Kniewicz nie uważa się za supermana.

Był niewątpliwie przystojny, w co nie potrafił uwierzyć. Wolał świadomość, że jest dobrym dziennikarzem.

Dziewczyna zatrzymała na chwilę wzrok na gęstej, choć teraz lekko zmierzwionej czuprynie Adama.

–Uwielbiam te twoje fale. – Narysowała nad swoją głową kształt fryzury Kniewicza.

–Marta, jeszcze trochę pokadzisz, a wyleję na siebie całą tę herbatę!

Zareagowała na to delikatną zabawą włosami, tymi, które rozpoczynały jej się kilka centymetrów poniżej brzucha.

–Doigrałaś się! – rzekł z udawaną złością. Odstawił szybko czajniczek i rzucił się na ofiarę.

–Skąd u ciebie dzisiaj tyle sił? – szepnęła zmysłowo.

–Przecież minęło już całe piętnaście minut! – odpowiedział z oburzeniem.

–Rzeczywiście, to mnóstwo czasu.

Całował ją mocno i długo, ciesząc rękę każdym fragmentem jej ciała, którego mógł dosięgnąć. Przyłgął do piersi dziewczyny, po czym oderwał się na chwilę, aby móc po raz kolejny nacieszyć się ich urodą. Wtargnął między jej uda z jeszcze większą furią niż kilkadziesiąt minut wcześniej.

Ciało Marty odpowiedziało zręcznymi ruchami, zdradzającymi zdecydowanie i głód. Chwyliła włosy Adama, aż poczuł ból, a potem uderzyła go mocno w pośladek. Zrewanżował się jeszcze silniejszymi pchnięciami, a coraz głośniejszy oddech dziewczyny budził w nim nowe pokłady energii. Łóżko żałośnie stękało, powolutku zmieniając położenie. Herbata cierpliwie czekała w drżącej filiżance, którą zostawił niebezpiecznie blisko, na stoliku.

Orgazm zaskoczył Martę i wyrwał z niej nie kontrolowane, głośne westchnienie, przypominające jęk bólu. Chwilę później Adam zanurzył twarz w poduszce i krzyknął najgłośniej jak potrafił. Na szczęście dla sąsiadów, dzięki poczciwej poduszce mógł być słyszalny najwyżej w drugim pokoju. Zamarli na moment wyczerpani, po czym mocno przytulili się do siebie. Następnie Adam przewrócił się na wznak, aby odpocząć. Milczeli. Marta obserwowała, jak Kniewicz powoli zasypia. Przyglądała mu się jeszcze kilka minut, aż zorientowała się, jak bardzo sama jest zmęczona. Jakiś czas gładziła włosy swojego mężczyzny, ale wkrótce i ona zasnęła.

Marta wyszła około pierwszej. Umówili się na kolację na siódmą. Zegnał ją z

nie miałym strachem, o trzeciej bowiem czekała go wizyta u dentysty. Nie pozwolił jej jednak pójść ze sobą. Nie chciał pokazywać swojego lęku, tym bardziej że nie wykluczał ucieczki.

Jak się później okazało, zachował się bohatersko i dotrwał do końca zabiegu. Dentysta wcisnął mu do zęba jakieś lekarstwo i pożegnał sadystycznym uśmiechem.

Mimo że Adam tego nie planował, postanowił zajrzeć jeszcze na chwilę na Woronicza. Nie chciało mu się spać, nie widział więc powodu, dlaczego nie miałyby nadrobić trochę pracy na jutro.

–Znowu pan wrócił o tej porze do pracy, panie Adasiu – przywitał go przy bramce stary, znajomy strażnik.

–Takie życie, panie Czesławie.

–Niech pan odpocznie, robota nie ucieknie.

–Przyjechałem tylko na chwilę, chcę mieć jutro trochę mniej biegania – rzucił z uśmiechem Kniewicz i szybko wspiął się na schody.

Nie miał ochoty na obiad, tym bardziej że usiłował nie nadwerężyć właśnie leczonej górnej szóstki. Wskoczył więc tylko po małą kanapkę do bufetu przy „jedynce” i pomaszerował do swojego pokoju.

W redakcji chwilowo nie było nikogo, dokończył zatem spokojnie kanapkę z pasztetem i włączył telewizor. W oczekiwaniu na *Teleexpress* wyjął papiery z biurka i zaczął rozpisywać „kawałki” dla researcherów.

Do pokoju wkroczyła Zośka. Zajmowała się medycyną w „Jedynce”, a jej zadaniem było pastwienie się nad rzeszami hipochondryków, od których dostawała codziennie tony listów. Miała opinię ekscentrycznej, ale nieszkodliwej fanatyczki.

Adamowi nie przeszkadzało, że zimą i latem chodzi w sandałach, nie mógł jednak zrozumieć, jak jej się udaje przeżyć cały rok w dobrym zdrowiu. Sam na jej miejscu wylądowałby już dziesięć razy w szpitalu na zapalenie płuc. Najgorsze jednak było to, że kiedy śnieg nie pozwalał dojść normalnie z samochodu do budynku telewizji, zamieniała sandały na... kalosze.

Nie kończąca się walka z milionami schorzeń być może dodawała Zośce tyle sił, że nie musiała się martwić takimi drobiazgami jak odruchy wymiotne u redakcyjnych koleżanek na widok jej kolejnej kreacji.

–Będziesz oglądał *Teleexpress*? – spytała mrukliwie, jakby właśnie obudziła się z głębokiego snu.

–Rzucę okiem. Jest tu, do cholery, jakiś normalny długopis?! Znowu mi się wypisał.

–Pewnie znowu Wiesio. Masz coś do żarcia?

–Zjadłem jakąś kanapkę. Trzeba było wcześniej przyjść.

Na ekranie pojawił się znajomy animowany parowóz. Po krótkiej czołówce jego przyjaciel z czasów, kiedy obaj jeszcze chałturzyli w radiu, zaprosił na skrót wiadomości. Pierwsza informacja spowodowała, że Adam szybko odłożył dokument, który właśnie przeglądał, i odruchowo zaczął szukać na biurku pilota, aby trochę pogłośnić.

„Popularny senator Piotr Kamiński nie żyje. Ciało polityka znalazły dziś około

godziny trzynastej wracając z urlopu żona i córka zmarłego. Senator został zastrzelony we własnym domu w Izabelinie. Motywy zbrodni nie są jeszcze znane. Policja prowadzi intensywne śledztwo...”

–O kurwa... – wyrwało się Adamowi. Szybko chwycił słuchawkę i wystukał numer telefonu Marty Karskiej.

–Dzwonisz do swoich? – mruknęła Zośka. – Nie trzeba. Zaraz sami się zlecą.

–Tak? – usłyszał w słuchawce znajomy głos.

–Oglądasz to?

–Tak, bardzo go lubiłam. O co tu chodzi?

–Nie mam pojęcia. Od czasów Dębskiego nie słyszałem o niczym podobnym. U nas nie morduje się polityków. Ja pierniczę...

–No, to mamy Zachód... – westchnęła Marta.

–Raczej Wschód... bliski i daleki. Będę chyba musiał zostać trochę w pracy.

–Co ty tam robisz?!

–Wpadłem na chwilę, żeby jutro mieć mniej...

–Dobrze, ale potem przyjedź do mnie... – Marta wyraźnie podkreśliła „do mnie”. – Gdybym się trochę spóźniła, wejdź i poczekaj.

–Coś się stało?

–Nie, ale muszę wyjść na chwilę. – Znowu przerwała na kilka sekund, po czym dodała tajemniczo: – Ktoś zadzwonił do mnie z zaświatów...

–Bardzo śmieszne.

–Misiu...

–Nie mów do mnie Misiu. – Adam próbował udawać zagniewanego.

–Nie złość się na mnie, wszystko ci wytłumaczę. Pa!

–Pa! – mruknął smutno i odłożył słuchawkę.

W czasie rozmowy obserwował na ekranie migawki sprzed willi senatora, rozpacz żony i córki starających się uciec przed kamerami, wozy policyjne.

Nie mógł zrozumieć, kto chciał jego śmierci. Był jednym z najbardziej lubianych polityków. Ujmujący i sympatyczny na co dzień, zrównoważony i roztropny w Senacie. Jego wrogami mogli być tylko jacyś ekstremiści albo szaleńcy.

Prawicowych partii, nawet tych najbardziej radykalnych, o udział w zamachu raczej nie podejrzewał, choć wiadomo, że ich członkowie z senatorem Kamińskim raczej się nie przyjaźnili.

Ponownie sięgnął po słuchawkę.

–Dzwonisz na plac Powstańców? – spytała Zośka, kiwając się nad biurkiem Adama.

–Właśnie to robię. Kto najszybciej się wszystkiego dowiedział?

–Pewnie Brzydał. Jak zawsze.

–Masz rację. Daj mi jakiś długopis.

Zośka sięgnęła po pióro leżące na jej biurku.

Kniewicz wystukał numer.

–Redakcja... – usłyszał w słuchawce znajomy damski głos.

–To ty, Ewa?

–Czego chcesz? – spytała z charakterystycznym dla siebie wdziękiem kierowniczką produkcji.

–Co robi Brzydał?

–Pisze. Nie będzie chciał z tobą gadać.

–Postaraj się.

–Jeśli do niego podejdem, wbije mi w krtań długopis. Obiecał mi to.

–Powiedz, że dam mu bootlega Nickelback.

–A co to jest?

–Taki zespół rockowy. Powiedz mu!

Adam usłyszał, jak Ewa kładzie słuchawkę na biurku.

–*Neurasthenia absolutus*. – Zośka wzruszyła ramionami i podreptała grzebać w szafie.

Kniewicz obserwował, jak drzwi się otwierają i pokój zaczyna się wypełniać.

–Co jest? – dotarł do niego głos Brzydala.

–Cześć, Arek, tu Adam...

–Nic nie wiem.

–Od jak dawna „nic nie wiesz”?

–Trzy godziny temu dostałem cynk. Wiemy tylko to, co nagadali nam gliniarze.

–Byłeś tam?

–No jasne.

–Był ktoś oprócz gliniarzy?

–A o co pytasz?

–No, jacyś tajniacy, kolesie w garniturach. Przecież to był senator.

–Byli wszyscy, których znam, i kilku, których nie znam. Jakiś waśniak nas przegonił. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

–Był Cyroń?

–Przez chwilę. Potem ruszył pisać oświadczenia dla prasy. Same pierdoły, nic cię nie zainteresuje. Nickelback ma być jutro na moim biurku.

–Przyślę ci rano, ale jeszcze zadzwonię.

Adam odłożył słuchawkę. Widząc, jak wchodzi kolejni redaktorzy, zdał sobie sprawę, że przed wieczorem stąd nie wyjdzie. Wybrał numer domowy Marty, ale nie odebrała. Pomyślał, że około siódmej zadzwoni do niej na komórkę. Wcześniej nie ma co jej denerwować.

Kniewicz spojrział na zegarek. Było dobrze po dwudziestej trzeciej. Stał przed drzwiami Marty i naprawdę się niepokoił. Nie odpowiedziała na pukanie, więc wyjął własne klucze i wszedł do środka.

Nie zdejmując butów, wkroczył do sypialni. Jak zwykle panował tu porządek, a jego zdjęcie stało na swoim miejscu. Przyjrzał się sobie na tej fotografii i stwierdził, że mógłby jednak wyjść lepiej. Trzymał na niej słuchawkę telefonu i wydawał jakieś polecenia. Miał na sobie popielaty letni garnitur, a na krawacie widniał bezsensowny szlaczek zaprojektowany przez Dorotę Bralską jego modystkę.

Na stolyczku przy łóżku, obok jego zdjęcia, leżała okładką do góry otwarta książka. Przeczytał tytuł: *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*. Pokręcił z

niedowierzaniem głową. Tuż obok książki leżał telefon komórkowy Marty, co dodatkowo rozdrażniło Adama. Cofnął się do przedpokoju, by rozejrzeć się za czymkolwiek, dzięki czemu mógłby się domyślić, co się stało. Na ściennym wieszaku na ubrania niczego specjalnego nie znalazł. W szafie wnękowej po drugiej stronie podobnie. Przedpokój kończyły drzwi do obu pokoi, a bardziej po lewej stronie – do łazienki. Po prawej z kolei, tuż za szafą znajdowało się wejście do kuchni, ale tam, jak ocenił, nic szczególnego od rana się nie zmieniło. Wszedł ponownie do sąsiadującej z łazienką sypialni. Jeszcze raz spojrzął na łóżko pamiętające ich dzisiejsze wyczyny, stoliczek ze swoim zdjęciem, ale już bez filiżanek z herbatą i sokiem, regał z książkami, dużą jukę w rogu. Nic szczególnego.

W drugim pokoju, w którym prócz dwóch foteli i kanapy stały komputer i telewizor, również nic nie wskazywało na istotne zmiany. Adam stał przez chwilę bezradny, nie wiedząc, co ma właściwie robić.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek do drzwi. Szybko przeszedł przedpokój, aby otworzyć. W progu stała kobiecina w fartuchu, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie sześćdziesięciolatki. W rzeczywistości była podobno młodsza. Znał ją. To sąsiadka z naprzeciwka, witająca każdego, kto przechodził klatką schodową lekko uchylonymi drzwiami. Marta twierdziła, że nie ma lepiej poinformowanej osoby niż pani Wiesia.

–Przepraszam, że tak późno – zaczęła nieśmiało kobiecina – ale nie widziałam, żeby pani Marta wracała, a światło się pali.

–Wszystko w porządku, pani Wiesiu, ja jestem w domu – uspokoił ją Adam.

–Pani Marta była jakaś dziwna...

–Miała ciężki dzień – przerwał jej i starał się zamknąć drzwi.

–Widziałam z okna, jak wsiadała do takiego czarnego samochodu. To zły znak...

–Pani Wiesiu...

–Pani Marta była bardzo zdenerwowana. Zapisałam rejestrację, bo ja tego pana nigdy nie widziałam. – Pokiwała głową dumna ze swego czynu.

Kniewicz powoli zaczynał mieć dość.

–Pani Wiesiu, dziękuję za troskę. Powiem Marcie, jak wróci, że pani była. Do widzenia.

–Pani Marta była bardzo zdenerwowana...

–Wiem, wiem. – Udało mu się jakoś zamknąć drzwi. Sąsiadka jednak zaniepokoiła go. Szczególnie nie spodobał mu się fragment „tego pana nigdy nie widziałam”.

Wariaci często zauważają rzeczy, które umykają naszej uwadze, pomyślał i znowu spojrzął na zegarek. Pół do dwunastej. Usiadł na kanapie i zastanawiał się chwilę, do kogo zadzwonić. Nie chciał histeryzować, ale nie mógł się pozbyć niepokoju. Postanowił, że zaczeka jeszcze pół godziny i wtedy coś zrobi.

Ryszardowi Snopczykowi nie chciało się odebrać. Telefon dzwonił już przynajmniej od dwudziestu sekund, ale komisarz miał nadzieję, że zamilknie. Był niemal pewien, że o tej porze może dzwonić do niego tylko była żona, głównie po to, aby zrobić mu na złość. Był tak zmęczony, że zasnął pod kocem w ubraniu, a na podłodze wałały się policyjna broń, kajdanki i telefon komórkowy. Wyglądało na to,

że aparat nie da za wygraną więc w końcu sięgnął po słuchawkę.

–Słucham – chrapnął, nie otwierając oczu.

–Przepraszam, Rysiu, to ja, Adam.

Snopczyk poznał łatwo głos przyjaciela.

–Co ci się stało? Napadli cię czy co?

–Nie, ale mam mały problem.

–Która godzina? – Komisarz otworzył oczy.

–Po dwunastej.

–O Boże...

–Rysiek, Marta gdzieś zginęła. Umówiła się ze mną pięć godzin temu, jestem w jej mieszkaniu.

–Stary, to dopiero pięć godzin, zabalowała i tyle. Czekaj spokojnie, a jak nie przyjdzie do rana, to zadzwoń.

–Wiesz, że ona nigdy tak nie robi. Jestem pewien, że coś się stało. – Kniewicz był uparty.

Komisarz usiadł na łóżku i sięgnął po papierosa. Mimochodem spojrzął na jedno z oprawionych zdjęć wiszących na ścianie, na którym Adam wraz z jego pięcioletnią córką trzymają dużą świeżo złowioną rybę. Mazury dwa lata temu, przypomniał sobie. Snopczyk był drobnym, niewysokim mężczyzną o szczupłej twarzy, przynajmniej o głowę niższym od Adama. Był także trochę starszy od Kniewicza, ale zdjęcie tego nie zdradzało.

–Dzwoniłeś na komórkę? – spytał, usiłując wykrzesać trochę ognia z zapalniczki.

–Zostawiła ją w domu.

–Posłuchaj, możemy zacząć szukać dopiero po dwudziestu czterech godzinach. Taki przepis, wiesz przecież o tym. Dzisiaj i tak jest sporo burdelu w firmie przez tego senatora.

–Rysiek, kurwa, wiem, co mówię! – Głos w słuchawce był śmiertelnie poważny.

Snopczyk zaciągnął się papierosem.

–Dobra, idź spać, zadzwonię gdzie trzeba.

Odłożył słuchawkę. Przerażenie Kniewicza zrobiło na nim wrażenie. O różne rzeczy można było dziennikarza podejrzewać, ale na pewno nie o zbędne panikarstwo.

Poznali się przy produkcji jednego z programów o zabezpieczaniu mieszkań przed włamaniami. O ile pamiętał, był to pierwszy autorski program Adama, a on pełnił tam funkcję – jak to się ładnie nazywało – konsultanta z ramienia Komendy Głównej Policji. Po pewnym czasie zaprzyjaźnili się, co prócz zwykłej męskiej sympatii dało efekt taki, że komisarz dość regularnie zapraszany był przez Telewizję Polską do współpracy, natomiast redaktor pod czujnym okiem mistrza, pilnie ćwicząc w wolnych chwilach strzelectwo sportowe w piwnicy Hali Mirowskiej, zwanej dumnie klubem „Gwardia”, stawał się niezłym zawodnikiem. Raz czy dwa wystąpił nawet w jakichś zawodach, ale mimo że walczył dzielnie, zabrakło mu doświadczenia, by odnieść sukces.

Snopczyk wstał z łóżka i przeszedł się po pokoju. Wyjrzał przez okno, ale niczego

ciekawego nie zauważył. Myślał. Wreszcie zgasił papierosa i wybrał numer.

Adam starał się uspokoić. Nie miał wątpliwości, że coś się musiało stać. Nie było już nawet za bardzo do kogo dzwonić. Marta nie miała rodziny, a u żadnej ze znanych mu przyjaciółek jej nie było. Sprawdził to, telefonując jeszcze z pracy. Aby zabić czas, postanowił zrobić sobie coś do picia. Poszedł do kuchni, wyjął torebkę herbaty owocowej, wrzucił do szklanki i wstawił wodę. Odruchowo zajrzał do apteczki. Chwycił opakowanie calmsu i położył dwie tabletki na blacie.

Woda nie zdążyła się zagotować, kiedy zadzwonił telefon.

–Nic jeszcze nie wiem – usłyszał. – Zaraz przyjadą do ciebie chłopaki i trochę się rozejrzą.

–Słuchaj – przypomniał sobie Adam. – Jest tu sąsiadka, która coś widziała. To wariatka, ale może pomóc.

–Czekaj na chłopaków – powtórzył z naciskiem Snopczyk.

–A ty? – Adam poczuł się trochę bezradny.

–Ja dojadę później, nie martw się.

Komisarz odłożył słuchawkę.

Dzwonek poderwał Adama z fotela.

Prawie natychmiast znalazł się przy drzwiach. W progu stało dwóch umundurowanych policjantów i jeden w cywilu, wyższy od pozostałych o głowę. Kwaśne miny obu mundurowych wskazywały po pierwsze na to, że dawno już nie spali, po drugie zaś – że nie są specjalnie zachwyceni obecnością w tym miejscu, zwłaszcza o tej porze. Policjant w garniturze wyraźnie był najbardziej rzeński. Być może dlatego to on odezwał się pierwszy.

–Pan Adam Kniewicz? – spytał.

–Tak, proszę wejść.

–Dobry wieczór... – Policjant przedstawił siebie i kolegów, ale Adam nie zwrócił uwagi na żadne z nazwisk. – Tu podobno gdzieś mieszka kobieta, która wie coś o tej sprawie...

–Tak. To ta pani, która... o, właśnie wychodzi – odpowiedział Adam, widząc, jak coraz szerzej otwierają się drzwi naprzeciwko.

Na panią Wiesię każde nowe, sensacyjne zdarzenie działało jak potężny magnes. Wyglądało na to, że dla dobra sprawy zrezygnowała nawet ze snu.

–Dobry wieczór – rzekł z kolei niższy i grubszy z umundurowanych funkcjonariuszy do zaaferowanej sąsiadki Marty, pełnej nadziei, że policjanci będą zadawali jej dużo pytań. – Czy możemy z panią chwilę porozmawiać?

–Oczywiście. Zapraszam, upiekłam ciasto. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Umundurowany grubas i wysoki, ubrany po cywilnemu zniknęli za drzwiami pani Wiesi, natomiast trzeci, niewątpliwie najmłodszy z funkcjonariuszy wprosił się do mieszkania Marty. Wyglądał jeszcze prawie na ucznia, a w jego oczach widać było cień niepewności.

Nie zadawał żadnych pytań. Poprosił tylko o pozwolenie na rozejrzenie się po mieszkaniu. Adam usiadł na kanapie i prawie się uspokoił. Był bardzo zmęczony. Nie spał od wielu godzin i nie zanosilo się na to, aby miał się w najbliższym czasie

położyć.

Dwóch policjantów wróciło po trzydziestu minutach.

–Będzie pan tutaj do rana? – spytał wysoki.

–Tak.

–Możemy się tutaj umówić na siódmą rano?

–Oczywiście, ale jeżeli panowie chcą porozmawiać...

–Nie teraz – przerwał mu dryblas. – Musimy szybko jechać na komendę. Ta pani podała nam bardzo istotne informacje. Nasz kolega zostanie z panem, jeśli pan chce.

–Nie chcę robić kłopotu...

–Tak nawet będzie lepiej. Zenek! – Cywil machnął znacząco na młodego.

–Myśli pan...?

–Proszę się nie denerwować, znajdziemy ją. Niech pan się zdrzemnie. Wszystkim się zajmiemy.

Podeszli sprężystym krokiem do drzwi, po czym szybko zasalutowali i wyszli.

Adam stał chwilę w przedpokoju bezradny jak dziecko. Policjant, który z nim został, przez jakiś czas przyglądał mu się z niepokojem.

–Szeff ma rację. Niech pan się położy – powiedział nieśmiało.

–A co pan będzie robił?

–Poczekam na dalsze meldunki.

–Na meldunki?

–Tak. Koledzy pewnie przeszukają dzisiejsze doniesienia o... no... wypadkach.

Adam na chwilę zamknął oczy.

–Tak. Spróbuję się trochę zdrzemnąć. Niech pan się czuje jak u siebie.

Ryszard Snopczyk siedział na tylnym siedzeniu służbowego volvo i przyglądał się bezmyślnie migającym za oknem drzewom. Dochodziła piąta rano, ale poprosił kierowcę, aby się nie spieszył. Śledził przez kilka sekund pojedyncze krople deszczu spływające po szybie, by za chwilę ponownie przenieść wzrok na drzewa. Czuł dziwne otępienie, a nawet senność. Puławska była niemal całkowicie pusta. Noc kończyła się powoli, ale wciąż było ciemno. Deszcz przestawał padać, lecz komisarz zdawał się tego nie zauważać. Jego oczy wciąż były niemal nieruchome, jakby chciały odpocząć po ciężkim wysiłku lub zapaść w krótki letarg.

–To już tutaj, skręć w lewo – mruknął cicho do kierowcy.

–Mam iść z panem? – spytał, nie odwracając głowy, siedzący przy kierowcy mężczyzna w bardzo już niemodnej marynarce w kratę.

–Tak. Zatrzymaj tutaj – rzucił komisarz do szofera.

Deszcz jeszcze trochę siąpił, ale Snopczyk nie sięgnął nawet po parasol. Wysiadł z samochodu i nie zwracając uwagi na drepczącego za nim mężczyznę w marynarce, szybko wszedł na piętro, po czym zapukał do drzwi Marty Karskiej. Otworzył mu prawie natychmiast Kniewicz.

–Nie przyszła – jęknął dziennikarz.

–Wiem – odparł policjant – Znaleźliśmy ją.

Adam przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nic nie rozumiał, ale potem cofnął się o pół kroku, próbując złapać równowagę. Nagle doznał uczucia, jakby w jednej chwili

stracił władzę w nogach.

–Nie wiesz nawet, jak mi przykro – kontynuował Snopczyk. – To doktor Cuch. – Wskazał na mężczyźną w marynarce. – Da ci coś na uspokojenie.

–Jesteś pewien, że to ona? Może to pomyłka?

–Dzisiejsza noc była... okropna – odpowiedział cicho komisarz. – Znalezione dwie dziewczyny, jedna odpowiadała rysopisowi Marty. Naprawdę mi przykro. Miała tu jakąś rodzinę?

–Rysopis to jeszcze... – bronił się Adam.

–Widziałem ją – rzekł dobitnie Snopczyk. Kniewicz odwrócił się wolno i wszedł do pokoju. Komisarz skinął głową doktorowi i ruszył za przyjacielem.

–Nie, ona w ogóle nie ma rodziny. Wychowywała się w domu dziecka – powiedział z niemalym wysiłkiem Adam, siadając na kanapie.

–Zatem jako najbliższa osoba ty będziesz musiał ją zidentyfikować.

–Gdzie ona jest?

–U sądowego. Masz siłę iść?

–Mogę na chwilę pojechać do domu? Nie byłem tam od jakiegoś czasu...

–Odwiozę cię, a później pojedziemy razem do... w każdym razie pojedziemy razem. – Snopczyk nie wiedział, jak się zachować.

–Chce pan coś na uspokojenie? – spytał lekarz.

–Mam w domu wszystko, czego mi trzeba – odparł szybko Kniewicz, wciąż patrząc na komisarza. – Gdzie ją znaleźliście?

–Na brzegu, niedaleko działek na Siekierkach. Patrol rzeczny ją wypatrzył.

–Na pewno niczego pan nie potrzebuje? – spróbował raz jeszcze doktor Cuch.

–Na pewno. Poczekaście, ubiorę się.

Wychodząc z mieszkania Marty, Adam czuł się jak w transie. Gdy schodził ze schodów, miał wrażenie sztywności karku i bezradności nóg wobec ciężaru, który nosił.

Snopczyk zaprosił go do swego samochodu.

–Moglibyśmy pojechać moim? – spytał Adam. – Mam w nim kilka rzeczy, które chciałbym mieć teraz przy sobie.

–W porządku, ale ja poprowadzę. Czesiu, weź pana doktora i wracajcie – rzucił w stronę kierowcy.

Adam bez słowa wręczył mu kluczyki.

Komisarz szybko uruchomił hondę Kniewicza i ruszył w kierunku Ursynowa. Jakiś czas jechali w milczeniu. Była to jedna z tych niezręcznych chwil, w których nic się nie da zrobić, aby poprawić atmosferę lub cokolwiek zmienić. Dziennikarz powoli wychodził z szoku. Nadal jednak był bezradny jak dziecko wobec myśli, które torturowały go bezlitośnie, a nie wyglądało na to, by w najbliższym czasie miało się to skończyć. Czuł, że mięśnie ma wciąż sztywne, ból karku nie mija, a drżenia rąk nie potrafi powstrzymać. Marzył, aby organizm pozwolił mu zwyczajnie wziąć się w garść.

–Rysiek... – Zauważył, że głos ma dziwnie zachrypnięty. – Jedźmy od razu tam, gdzie mamy jechać.

–Nie chcesz jechać do domu?

–Chciałem tylko chwilę odetchnąć, wychylić jakąś whisky, ale to nie ma sensu...

–Ma sens – przerwał mu Snopczyk. – Też się chętnie napiję. Do kostnicy możemy pojechać równie dobrze za godzinę albo dwie.

Słowo „kostnica” przeraziło Adama. Z rozmysłem cały czas unikał rozmowy na ten temat. Teraz jednak chciał poznać szczegóły.

–Jak zginęła? – wyrwało mu się.

–Strzał w tył głowy – odpowiedział komisarz jakby nigdy nic. – Mały kaliber, wychodząc, kula uszkodziła czoło, ale reszta jest nietknięta.

Dokładność policjanta zgorszyła Adama, ale brnął dalej.

–Myślisz, że mogła cierpieć?

–Najprawdopodobniej nie zdawała sobie sprawy, że umiera.

Chwila ciszy pomogła trochę odpocząć Kniewiczowi.

–Rysiek – dziennikarz przerwał na moment, aby nabrać głęboko powietrza – to nie ma sensu. Ona była tylko realizatorem dźwięku, nie miała wrogów, majątku, nawet rodziny...

–Kiedy wychodziła z domu, był z nią jakiś facet – odparł Snopczyk. – Tak przynajmniej twierdzi ta sąsiadka. Co się działo wcześniej, nie wie. Nie było jej kilka godzin, wyjechała do córki. Przesłuchamy oczywiście sąsiadów z góry i z dołu, ale na tym piętrze nikt już, jak wiesz, nie mieszka.

–Słuchaj, może...

–Nie, nikt jej nie zgwałcił, nie ma żadnych śladów przemocy. Tak przynajmniej wynika ze wstępnych oględzin. Facet, z którym wychodziła, również na bandytę nie wyglądał. Mały, chudy, w okularach. Mógł nie mieć z tym nic wspólnego. Może to tylko kolega z pracy, zresztą znajdziemy go i się dowiemy.

–Co ja mam teraz robić? – Adam ukrył twarz w dłoniach, ale starał się nie sprawiać wrażenia histeryka.

–Pogadamy jeszcze o tym, zaparkuję przed domem – zmienił temat policjant, dostrzegając dom Kniewicza. – Zaraz wyjeżdżamy, nie?

–Nie znajdziesz miejsca o tej porze, ale spróbuj – mruknął Adam, patrząc w zupełnie inną stronę.

–Cholera, nic chyba nie wykombinuję... – burknął Snopczyk zły, że nawet w takim momencie mają pecha.

–Skręć w tę małą uliczkę po prawej i wjedź między bloki, tam mało kto parkuje – rzucił dziennikarz, nie odwracając się.

Snopczyk wprowadził wóz na niewielki plac.

Obaj mężczyźni wysiedli ciężko z samochodu.

–Zawsze przed twoim domem były wolne miejsca – burczał wciąż komisarz.

Adam zignorował tę uwagę i otworzył kodem drzwi klatki schodowej.

Obaj stracili wcześniej tyle energii, że już na drugim piętrze poczuli zmęczenie.

–Masz w domu tę whisky? – spytał dla porządku Snopczyk.

–Tak, kupiłem ją dzisiaj, to znaczy wczoraj po robocie. Myślałem, że... – odpowiedział Kniewicz, zatrzymując się na chwilę.

–W porządku – wtrącił szybko Snopczyk.

–Zaraz... cholera, nie wziąłem jej przecież z bagażnika.

–Pójdę po nią – oświadczył policjant.

–Nie, ja pójdę – mruknął Adam cicho, ale zdecydowanie. – Oddaj mi kluczyki i wejdź już do mieszkania.

Wymienili się kluczami.

–Na pewno?

–Na pewno, nie nudź – rzucił Kniewicz, nie odwracając się. – Chcę się przejść sam schodami, w porządku?

Zszedł piętro niżej, po czym się zatrzymał. Usłyszawszy zgrzyt zamka, chciał jeszcze coś powiedzieć, ale potężny huk ogłuszył go do tego stopnia, że odruchowo padł na schody. Wybuch targnął drzwiami, rzucając je na balustradę. Dwa potężne metalowe przedmioty przypominające śruby uderzyły o przeciwległą ścianę. Kilogramy kurzu, który wziął się nie wiadomo skąd, w sekundę wypełniły klatkę schodową. Pojedyncze przedmioty wirowały w powietrzu, by za chwilę upaść, tworząc jakby echo eksplozji. Adam zasłonił głowę rękami i jeszcze mocniej przypadł do schodów. Nie miał odwagi się ruszyć, nawet gdy już wszystko powoli cichło. Nie słyszał krzyku przyjaciela, a fakt, że nikt z sąsiadów nie otwiera drzwi, zdziwił go. Nie uderzył o nic ani nic nie uderzyło w niego, ale dusił go kurz. Poruszył się nieznacznie, aby wypluć fragmenty cementu. Adrenalina dodała mu sił, lecz strach nie pozwalał na szybkie ruchy. Rozejrzał się wolno i ogarnęło go przerażenie.

–Rysiek! – Chciał krzyknąć, ale wydusił z gardła tylko nic nie znaczący charkot.

Powoli, pełznąc na czworakach, wspiął się po schodach, aby dotrzeć do policjanta. Ciało Ryszarda Snopczyka, wygięte w nienaturalny sposób, wgniecione było w pręty balustrady, a resztki ubrania wciąż się jeszcze tliły. Jego twarz – czy raczej to, co z niej zostało – wydała się Adamowi czarną bezkształtną masą. Cofnął się i z wymiotował.

Nagle zerwał się na nogi i oparł o ścianę. Zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo sytuacja go przerosła, i poczuł zimny strumyczek potu spływający po kręgosłupie.

–Myśleć! Myśleć! – Uderzył kilkakrotnie dłonią w czoło.

Podszedł ostrożnie do okna na klatce schodowej i wyrztał na zewnątrz, starając się, aby nikt go nie zobaczył. Widok za zbitą szybą obejmował kilka samochodów stojących przed frontem budynku. Wciąż było ciemno, więc nie mógł dostrzec, czy w którymkolwiek z nich są jacyś ludzie. Teraz dopiero usłyszał krzyki zza drzwi niektórych mieszkań.

Jeszcze raz spojrzął na schody. Nie wyglądały na uszkodzone. Przyłgął do ściany i zaczął wolno schodzić. W dłoni trzymał kurczowo kluczyki do samochodu. Starał się, aby nie było słyhać nawet jego przyśpieszonego oddechu. Nie spotkał nikogo. Ludzie bali się jeszcze wyrzeć na klatkę schodową. Gdy znalazł się na parterze, po prawej skrzypnęły drzwi. Postać, która pojawiła się w progu, była równie przestraszona jak on.

–O Boże! Pan Adam... – jęknął zaskoczony przysadzisty mężczyzna.

W jednej chwili redaktor znalazł się przy sąsiedzie.

–Panie Zygmuncie – szepnął, wciąż się rozglądając – niech pan natychmiast wezwie policję. Ktoś podłożył bombę w moim mieszkaniu. Tam, na górze, zginął człowiek.

–A pan?!... – Przerażone oczy mężczyzny sprawiały wrażenie lekko zamglonych.

–Ja... ja chyba muszę uciekać. Niech pan nie wychodzi z domu, dopóki nie przyjadą.

Adam dopilnował, aby pan Zygmunt dobrze zamknął drzwi, po czym podszedł do wyjścia na podwórko. Dziękował Bogu, że nie zostawili samochodu od frontu. Odważył się nacisnąć klamkę. Grupki ludzi, najczęściej w szlafrokach, podążały w tym kierunku, aby zobaczyć, co się stało.

Poczuł się bezpieczniej. Nie wierzył, aby ktoś zdecydował się zrobić mu krzywdę przy tylu świadkach, zdając sobie sprawę z tego, że jedzie już tu policja. Podszedł odważnie do samochodu. Nie mógł się powstrzymać od zajrzenia pod podwozie. Chociaż nie wiedział, jak wygląda bomba, liczył na to, że w razie niebezpieczeństwa zauważy jakąś różnicę.

–Jestem idiotą – mruknął do siebie. – Przecież przed chwilą wysiadłem z tego samochodu.

Wskoczył szybko do środka i natychmiast uruchomił silnik. Mimo wszystko odetchnął z ulgą. Ruszył drogą między blokami, starając się dotrzeć do głównej ulicy inną trasą niż przyjechał ze Snopczykiem. Gdy dotarł do niej, nacisnął zdecydowanie pedał gazu. Co chwila patrzył we wsteczne lusterko. Na szczęście nikt za nim nie jechał, co uznał za cud. Skręcił w stronę Lasu Kabackiego. Jeszcze nie wiedział, dokąd jechać, ale chciał jak najszybciej uciec z tego miejsca.

ROZDZIAŁ 2

Prezydent odłożył słuchawkę. Przez chwilę jeszcze patrzył w okno, a następnie zaczął się przechadzać między biurkiem a szafką z napojami. Był rozdrażniony, o czym pułkownik Piotr Krentz wiedział, choć jego szef bardzo rzadko podnosił głos.

Zwykle w takich momentach, zamiast siedzieć przy biurku, chodził po całym gabinecie, od czasu do czasu tylko poprawiając włosy, co było oznaką zdenerwowania. Prezydent, mimo że zaledwie kilka miesięcy temu skończył pięćdziesiąt lat, wyglądał na przynajmniej o kilka lat młodszego. Ciemnogrnatowy garnitur leżał na nim tak, jakby się w nim urodził, a starannej fryzury wzmocnionej żelem nie był w stanie popsuć nawet halny. Mógł więc bez szkody dla swojej prezencji poprawiać włosy do woli. Dbał o kondycję, co było widoczne już na pierwszy rzut oka. Miał śniadą zdrową cerę, idealnie wyprostowaną smukłą sylwetkę oraz uśmiech rodem z reklamy pasty do zębów.

W gabinecie panowała grobowa cisza. Krentzowi to nie przeszkadzało. Uważnie przyglądał się głowie państwa zza swoich lekko przyciemnianych okularów i czekał. Cierpliwość była jedną z jego najstaranniej wypracowanych zalet. Potrafił godzinami przysłuchiwać się, obserwować i oceniać, nie wykonując niemal żadnego ruchu. Nie obrażał się, kiedy w biurze słyszał czasem, jak za ścianą podwładni mówią o nim per „krokodyl”, „posąg”, a nawet „Mister Lodówka”. Opanowanie Piotra Krentza było niedoścignione, czego zazdrościł mu nawet jego prezydent. Agent od dawna nie nosił munduru, a na spotkania w Pałacu Prezydenckim zjawiał się zawsze w czarnym garniturze. W przeciwieństwie do szefa miał wieczne problemy z dopasowaniem marynarek do swoich szerokich ramion, ale nigdy nie wyglądał niechlujnie. Był niecałe dwa lata młodszy od prezydenta, choć na jego skroniach od dawna już gościły siwe włosy. Nie imponował specjalnie wzrostem, ale krępa budowa i przenikliwe spojrzenie budziły respekt każdego podwładnego.

Sytuacja, w której się obaj znaleźli, okazała się niestety na tyle kłopotliwa, że prawdopodobnie najbardziej potrzebowali właśnie opanowania i cierpliwości.

Prezydent podszedł wreszcie do fotela i usiadł, starając się zrelaksować. Wciąż patrząc w okno, zaczął wolno mówić do Krentza:

–Minister mówi, że nic nie wie. ABW mówi, że nic nie wie. Gliniarze mówią że nic nie wiedzą. Prokurator chrzani, że nic jeszcze do niego nie doszło! Jedno pytanie, Piotr: Kłamią czy rzeczywiście są tak tępi, jak czasem twierdzisz?!

–Myślę, że nie kłamią – odparł krótko Krentz. – Nic nie znaleźli u niego w domu i na razie nie wiedzą, gdzie czegokolwiek szukać. Senatora Kamińskiego zabił na pewno wysokiej klasy zawodowiec, a to jednak wciąż na szczęście rzadkość u nas, panie prezydencie. Żadnych śladów, odgłosów, niczego...

–To co oni teraz, do cholery, robią?! Siedzą na tyłkach i nic?! – Prezydent wyraźnie tracił cierpliwość.

–Szperają w jego dokumentach, pytają przyjaciół i wrogów, takie tam ble, ble. Drepczą w miejscu.

Prezydent znowu wstał z fotela i podszedł do okna.

–Lubiłem go – oznajmił po chwili, poprawiając nerwowo włosy.

–Wiem, panie prezydencie.

–I oczywiście jak zwykle tylko ty i te twoje wilki coś wiecie?

Krentz chrząknął cicho i poprawił okulary.

–Morderca najprawdopodobniej śledził przez pewien czas senatora w drodze z pracy, później wyprzedził go i pojechał szybko do jego domu, gdzie przyczał się na pięć, może dziesięć minut. Z włamaniem nie miał problemów. Dom był kiepsko strzeżony, Kamińscy nie mieli nawet psa. Jedynym świadkiem była tchórzofretka córki pana senatora.

–Tchórzo... co?

–To skrzyżowanie dwóch rzadkich zwierząt: tchórza i fretki. Ale na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, że to coś między szczurem a wiewiórką. Wbrew pozorom miłe zwierzątko. – Krentz zdobył się na nieznaczny uśmiech.

–Dobrze, nieważne. Czy ten cyngiel popełnił w końcu jakiś błąd?

–Cóż, nie zlikwidował jedynego świadka...

–Bardzo śmieszne.

–Przepraszam. – Krentz raz jeszcze poprawił okulary i przybrał poważniejszą minę.

–Coś jeszcze?

–Chyba wiemy, jakiej marki był samochód mordercy.

–Skąd? – Prezydent wyraźnie się ożywił.

–Widziano wóz senatora, widziano wóz mordercy.

–Gliniarze nie mają o tym pojęcia. Przeczesałeś pół miasta w dwa dni?

–Obawiam się, że tak.

–No to...

–Niestety, nikt nie widział mordercy.

Prezydent pokręcił z niedowierzaniem głową.

–Czyli, mówiąc szczerze, nic nie wiecie. Ginie lubiany senator, który nigdy nie zajmował się niczym, co miałyby związek z bronią przestępczością wojskiem czy jakimikolwiek innymi śliskimi sprawami. Nie podpadł nikomu, jeśli nie liczyć tego kretyna Gurdoła, z którym co tydzień wrywał sobie włosy w telewizji. Nie miał prawdziwych wrogów. I nagle taki człowiek dostaje dwie kule od zawodowca. Nie sądzisz, że tym razem coś tu śmierdzi bardziej niż zwykle? To nie był generał Papała.

Krentz, słuchając tego, nawet nie drgnął.

–Coś jeszcze chciałeś powiedzieć... – wolno dodał prezydent.

–Być może nie miałyby to takiego znaczenia, gdyby nie fakt, że taki sam samochód widziano następnego dnia przed domem młodej dziewczyny z telewizji, która odjechała nim, a kilkanaście godzin później została znaleziona martwa.

–Jakiś związek?

–To możliwe, ale cały czas nie mamy pojęcia jaki.

Prezydent się zamyślił. Znów usiadł na fotelu i ukrył twarz w dłoniach. Dla Krentza był to znak, że szef chce chwilę odpocząć.

–Wciąż nie mogę uwierzyć, że Kamińskiego tak bezsensownie zabito – prezydent wyrwał się z zamyślenia. – To był naprawdę bardzo uczywy gość. – Przerwał na

moment, po czym uważnie spojrzął na agenta. – Chyba nie podejrzewasz, że był w coś zaplątany?

–Bierzemy pod uwagę wszystkie możliwości – odpowiedział Krentz najdelikatniej jak mógł.

–Cholera! – mruknął prezydent. – Wszystko się pieprzy. – Ponownie zerwał się z fotela i chyba już dziesiąty raz poprawił włosy. – Piotr! – Raptownie obrócił się w kierunku rozmówcy. – W razie czego chcę się o wszystkim dowiadywać pierwszy.

–Oczywiście.

–Nawet jeśli nie będzie to, no... przyjemne.

Krentz nie odpowiedział, ale znacząco skinął głową.

Usłyszeli pukanie do drzwi.

–Tak? – rzucił w ich kierunku prezydent.

Na progu pojawiła się sekretarka.

–Panie prezydencie, czy mam podać teraz kawę?

–Tak, dla mnie tak. Piotr?

–Nie, ja dziękuję.

–Proszę jedną kawę i może coś słodkiego. Mamy napoleonki?

–Oczywiście – odpowiedziała sekretarka, znająca szefa na tyle dobrze, że trudno ją było zaskoczyć w takiej sytuacji. Gdy zniknęła za drzwiami, prezydent zniżył głos.

–Powiedz mi teraz, co ty o tym myślisz.

–Nie mamy jeszcze odpowiednich danych...

–Jesteś, do cholery, tajnym agentem, od czegoś cię mam. Wiesz, o co pytam.

Pułkownik najpierw głęboko wciągnął powietrze, a potem wolno je wypuścił, mrużąc przy tym lekko oczy.

–Senator Kamiński musiał się dowiedzieć czegoś, co bardzo zaniepokoiło kogoś naprawdę potężnego... lub bogatego.

–Na jedno wychodzi.

–Właściwie tak. Nie sądzę, żeby to była jakaś zemsta lub żeby to coś ciągnęło się od dawna. To nagła sprawa.

–Polityka?

–Możliwe, ale właściwie nie wiemy, kto mógł być na tyle zdesperowany, a jednocześnie potężny, by uderzyć tak szybko i tak profesjonalnie. Jeszcze raz powtarzam: to nagła sprawa. Widać to po pośpiechu, w jakim działał morderca. Nie zostawił śladów, ale fakty i sposób dokonania zbrodni wskazują na to, że kazano mu wyeliminować Kamińskiego jak najszybciej. Ponadto senator był autorytetem bardziej moralnym niż politycznym, właściwie dla nikogo nie stanowił zagrożenia. Myślę, że ta sprawa wykracza poza Senat, Sejm, rząd, a nawet walkę partii o władzę. – Przerwał na chwilę, zdjął okulary i przetarł je specjalną chusteczką. Gdy już szkła były krystalicznie czyste, zaczął innym nieco tonem: – Jest jeszcze coś. Dwa dni później w mieszkaniu jednego z dziennikarzy, również z telewizji, podłożono bombę. Jeśli można się tak wyrazić, to prawdziwe cacko. Wybuchła tak, że właściwie nie zniszczyła niczego prócz drzwi. Dokładnie obliczona na zabicie tylko osób stojących bezpośrednio przed nimi. Taką bombę nazywamy u nas „dwuśrubką”.

–Co to takiego?

–Stary pomysł profesjonalistów. W odpowiednim miejscu umieszcza się dwa odważniki, najczęściej potężne śruby, które podczas wybuchu dopadają ofiarę. To znacznie zmniejsza szansę przeżycia.

–Czy to wojna, do cholery?!

–W każdym razie ktoś nie żartuje.

–Dziennikarz nie żyje...

–Najprawdopodobniej żyje. Przy drzwiach znaleźliśmy zwłoki jego przyjaciela, policjanta z prewencji. Ta zamordowana realizatorka dźwięku w telewizji była dziewczyną dziennikarza.

–Uuuu, a gdzie on teraz jest? – spytał z wyraźną nadzieją prezydent.

–Nie wiemy. Chyba nieźle się przestraszył i gdzieś prysnął.

–Nie dziwię się mu.

–Ja również, ale to ważny świadek, więc go szukamy.

–Znam go?

–Chyba tak. To Adam Kniewicz. Obecnie wydaje w „Jedynce” *Poranną rozmowę z politykiem*.

–No proszę... Adam Kniewicz, kto by pomyślał.

Ponownie rozległo się pukanie sekretarki. Gdy kawa i trzy napoleonki znalazły się przed prezydentem, ten ujął łyżeczkę i wolno, niemal z namaszczeniem rozpoczął proces słodzenia.

–Cholerny świat. Szanuję skurwiela, ma niezły dziennikarski łeb. Kiedy go znajdziecie?

–Jeśli żyje, szybko. Dziś, najdalej jutro.

–Kogo za nim posłałeś?

–Dobrego fachowca. U... to znaczy, nazywamy ją Ultra – wyjaśnił pułkownik. – To taki pseudonim... operacyjny.

–To kobieta? – Prezydent uważnie przyjrzał się Krentzowi.

–Tak, bardzo dobry agent.

Twarz prezydenta przynajmniej z pozoru wypogodniała. Ciężko mu było ukryć zabawną myśl, że ci „chłopcy z wojska” właściwie niewiele się różnią od dzieciaków bawiących się żołnierzami. Ta sama śmieszna duma, pretensjonalne słownictwo, śmiertelna powaga, z jaką traktują cały ten ceremoniał związany z salutowaniem, bohaterską miną czy poczuciem własnej siły. Wszystko to zaś w pogoni za wizerunkiem komandora Jamesa Bonda bądź innych „półbogów” z amerykańskich filmów, których jedyną wadą było zwykle zbyt elokwentne poczucie humoru. Wierzył jednak głęboko, że Krentz jest inny, a jego tolerancja wobec podwładnych ma roztropne przyczyny.

Dla niego, który nigdy, nawet przez minutę nie był w wojsku, cała ta instytucja, choć tak bardzo potrzebna, mimo wielu zalet była niestety również symbolem głupoty i ograniczenia. Elitarna jednostka Krentza stanowiła chlubny wyjątek i choć, co konieczne, musiała nieco przesiąkać tą przyciężką machiną była piekielnie skuteczna. Miała też jeszcze jedną wielką zaletę – prawie nikt o niej nie wiedział.

Prezydent znów począł chodzić po gabinecie. Tym razem nie poprawiał już włosów, a tylko lekko uderzał palcami o marynarkę. Wreszcie podszedł do biurka, na którym cierpliwie oczekiwała na niego kawa.

–Ultra... – mruknął pod nosem, uśmiechając się nieznacznie.

–Niesłyszalna jak ultradźwięki – wyjaśnił z dumą Krentz. – Na ćwiczeniach terenowych potrafiła być właściwie bezszelestna, więc koledzy ją tak nazwali, i...

–Tak, tak. – Prezydent machnął ręką. – I mówisz, że ona szybko go znajdzie?

–Na pewno.

–Jakie jest jej zadanie?

–Przede wszystkim chronić go, to priorytet. A gdy się już upewni, że jest wystarczająco bezpieczny, sprowadzić go do Centrum.

–Jakie ma uprawnienia?

–Al.

–Czyli pełne?

–Tak jest.

–Hmmm – mruknął prezydent, podchodząc do okna. – No to szukaj go, Ultra, a gdy już znajdziesz, przyprowadź do nas – rzekł cicho, jakby do siebie. – Najlepiej w jednym kawałku.

Adam siedział skulony pod drewnianą ścianą w domku swoich rodziców. Otaczały go całkowite ciemności. Bał się zapalić nawet świecę, choć na sąsiednich działkach kwitły dyskotekowe rytmy, a ludzie bawili się w najlepsze. Miał nadzieję, że nikt nie zauważył jego przyjazdu, szczególnie że garaż znajdował się z prawej strony budynku, co odróżniało go od posesji sąsiadów po lewej, których podjazdy umieszczono od frontu.

Z kolei na prawo od domu Kniewiczów roztaczał się już tylko las, tak więc jeśli samochód na zgaszonych światłach podjechałby od tej właśnie strony, istniała szansa, że nikt by go nie zauważył. Taką przynajmniej nadzieję miał Adam.

W ciemnościach czuł się względnie bezpieczny. Oczy już dawno przyzwyczyły mu się do mroku, więc bez trudu dostrzegał kontury mebli, fragmenty poroża na ścianie, zarys telewizora. Nie miał przy sobie żadnej broni, co zaniepokoiło go na tyle, że ścisnął teraz kurczowo potężną siekierę, którą ojciec zwykł obcinać uschnięte gałęzie drzew, aby następnie palić nimi w kominku. Zaangażowanie, z jakim dzierżył siekierę, wydało się Adamowi nieco śmieszne, ale nie dbał o to. Mimo że pobyt w domku rodziców trochę go uspokoił, nadal był przerażony. To, co stało się w ostatnich kilkunastu godzinach, wciąż nie mieściło mu się w głowie i cały czas miał jeszcze nadzieję, że się wreszcie obudzi. Torturowało go nieznośne wrażenie nierzeczywistości, snu – jakby znalazł się w wymyślonym świecie, z którego nie potrafił uciec. Ostatnie zdarzenia nie podlegały żadnej logice, były tylko niezrozumiałym żartem jakiegoś antyboga, sprawdzającego siłę małego człowieka lub jego zwykłą śmiesznie niedoskonałą wytrzymałość. Nadal czuł dość wyraźnie, że jest lekko zamroczony. Było to coś na kształt doznania, które wywołuje lekki, ale długo działający narkotyk. Zdał sobie sprawę z tego dopiero wówczas, gdy uczucie owo zaczęło powoli mijać. Zastąpił je chłód, sprawiający wrażenie, że jest zimno,

niezależnie od tego, ile warstw ubrań udało się włożyć. Wraz z tym uczuciem przyszedł skręcający ból w dolnej części brzucha oraz silne nudności. Z przerażeniem zauważył, że nie obejdzie się bez wizyty w ubikacji. Musiał przemierzyć cały duży pokój, później długą sień, aby wreszcie dojść do odpowiednich drzwi. Podłogę tworzyły długie drewniane bale, dzięki czemu na szczęście nie skrzypiała, ale minęło chyba dziesięć minut, zanim dotarł na miejsce. Niestety, drzwi skrzypnęły tak donośnie, że w ciszy, która do tej pory panowała, Adam odniósł wrażenie, iż usłyszano go w całej okolicy. Odgłosy zabawy w sąsiedztwie wciąż tu dochodziły, choć nie było słyhać żadnych melodii, tylko jednostajny, łupany rytm. Kniewicz w jednej chwili pokochał disco polo, choć dotychczas wywoływało w nim niesmak od samych swych narodzin.

Drzwi ubikacji zostawił lekko uchylone. Wciąż miał wrażenie, że za chwilę z ciemności wyskoczy banda zamaskowanych napastników z bronią maszynową i zamieni go w coś na kształt tego, czym w *Ojcu chrzestnym* stał się James Caan w słynnej scenie na autostradzie. Mdłości jednak powoli mu przechodziły, i to do tego stopnia, że stwierdził, iż pobyt w ubikacji był bardzo dobrym pomysłem. Mimo to nie stracił czujności. Szybko się ubrał, opuścił klapę sedesu i ostrożnie wyłonił się zza drzwi.

Nagły chłód lufy na karku zaskoczył go tak bardzo, że nie zdążył nawet zareagować. Niemal równocześnie druga ręka napastnika chwyciła jego szyję, aby powstrzymać odruch przerażenia. Adam zamarł, a krótka chwila ciszy wydała mu się długa jak syberyjska zima. Czekał.

–Odłóż spokojnie siekiere – usłyszał szept zza pleców.

Nie zamierzał się przeciwstawiać, więc położył ją wolno na podłodze. Napastnik trzymał go tak, iż Adam miał wrażenie, że przy dowolnym ruchu jest w stanie z łatwością skrócić mu kark.

Po chwili głos zza jego pleców stał się donośniejszy, choć wciąż był bardzo cichy. Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości – należał do kobiety.

–Posłuchaj teraz. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Jestem tu, aby ci pomóc. Tylko mi nie mów, że nie potrzebujesz pomocy, bo pęknę ze śmiechu i ktoś nas usłyszy, a tego byśmy chyba nie chcieli?

Adam pokręcił szybko głową.

–Teraz powoli zrobisz trzy kroki do przodu – ponownie usłyszał zza pleców – i dopiero wtedy się odwrócisz. Nie denerwuj się i nie rób gwałtownych ruchów. Zrozumiałaś, co powiedziałam?

Kniewicz skinął głową.

Ręka trzymająca go za szyję gdzieś zniknęła, ale lufa wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Przestała uciskać szyję dopiero wtedy, gdy zrobił pierwszy krok. Pokonał powoli trzy metry i się odwrócił. Ujrzał przed sobą szczupłą ale niewątpliwie wysportowaną kobietę. Pistolet nadal tkwił w jej dłoni. Była spokojna i sprawiała wrażenie, jakby właśnie wróciła z aerobiku. Miała przenikliwe, bystre oczy, choć Adam nie mógł w mroku określić ich koloru. Była prawie tak wysoka jak on, a wysportowana sylwetka w rewelacyjnie dopasowanym do ciała stroju wzbudziła w

uspokajającym się powoli Adamie szacunek. Nie mógł tylko opanować wstydu wynikającego z tego, że dał się zaskoczyć kobiecie.

Dziewczyna powoli sięgnęła do kieszeni na udzie i wyjęła odznakę.

–Nie widzę w takich ciemnościach – odezwał się wreszcie Adam. – Jesteś z policji?

–Niezupełnie. Pracuję... powiedzmy, dla rządu. Jestem agentem specjalnym.

Kniewicz omal nie parsknął śmiechem.

–Którego rządu?

–Nie wyglądasz na dowcipnisia.

–Dlaczego mam ci wierzyć?

–Bo cię nie zabiłam. – Opuściła pistolet. – Przysłano mnie, żebym cię odstawiła w bezpieczne miejsce. Od jak dawna tu jesteś?

–Przyjechałem... Nie pamiętam, może około siódmej wieczorem.

–Czyli trzy godziny. Chyba jednak masz fart, zbieramy się.

–Jak ty... się nazywasz? – wydukał dziennikarz.

–Ultra.

–U... co?

–Zbieraj się.

–Ultra... chyba mogę tak mówić...? – rzucił Adam nieśmiało. – A jak długo ty tu jesteś?

–Okolo trzydziestu minut. Zabieraj, co musisz, i spadamy. Aha, i spuść wodę w kiblu.

Kniewicz zrobił niezbyt inteligentną minę.

–Ja nie... do tej pory... bo, rozumiesz...

–Na razie nie musisz się niczego bać, oprócz nas nikogo tu nie ma.

–Jesteś pewna?

–A myślisz, że co tu robiłam tyle czasu?

–Chodziłaś po domu?!

–A po co, twoim zdaniem, jechałam tu prawie pięćset kilometrów?

–O, kurwa...

–No proszę, i to jest dziennikarz.

–Chyba mało wiesz o dziennikarzach.

–Wystarczająco dużo. – Uśmiechnęła się, podnosząc swój plecak z podłogi. – Przynajmniej o tobie.

–Jak mnie tu znalazłaś? Skąd wiedziałaś, gdzie szukać?

–Potem. Zjeżdżamy stąd.

–Szuka mnie teraz cała sfera agentów?

–W mieście szukała cię cała, jak to nazwałeś, sfera agentów. Tutaj wysłano tylko mnie. Szczerze mówiąc, nie było zbyt wiele miejsc do obskoczenia. Nie truj już, zbieramy się.

–Najpierw pojechałem do Kabat. Nie wiedziałem, co robić, spanikowałem. – Adam postanowił się wypowiadać. – Potem zawróciłem, jeździłem jakiś czas bez sensu, aż wreszcie wpadłem na ten pomysł. Gdybym tu nie przyjechał, znalazłabyś mnie?

–Nie potrafisz się ukryć tak szybko i tak zatrzeć śladów, aby nie można cię było znaleźć. Wierz mi, zwykle to tylko kwestia czasu.

–W takim razie teraz też nas znajdą.

–Nie, teraz jesteś ze mną.

–A ty oczywiście potrafisz nas ukryć szybko i zatrzeć ślady.

–Lepiej, żebyś w to uwierzył.

Dziewczyna, mimo że wyglądała na młodszą od niego, wzbudzała nie tylko respekt, ale nawet coś na kształt sympatii. Postanowił więc się jej nie sprzeciwiać i wykonywać wszystkie polecenia. Przynajmniej na razie.

Posłusznie włożył czarne spodnie i ciemną kurtkę, które wyjęła z plecaka. Ku jego zdziwieniu ubranie pasowało jak ulał.

–To tylko prowizorka, później lepiej się postaramy. Gdzie twój samochód? – rzuciła Ultra, ostrożnie otwierając drzwi wejściowe.

–W garażu.

–Dobrze, niech tam zostanie. Pojedziemy moim. Jest jakieś sto metrów stąd.

–A co zrobimy, jeśli oni już na nas czekają? Mogli przyjechać pięć minut temu.

–W promieniu stu metrów od samochodu nie ma żadnych ludzi ani zwierząt. W wozie zamontowany jest aeroprosensor. Gdyby ktoś powyżej metra wszedł w ten obszar i zmienił wciąż położenie, to pudełeczko – tu pokazała coś, co Adamowi przypominało miniaturowy pager – dałoby mi o tym znać. W pobliżu są jedynie ci discopolowcy, ale to przynajmniej dwieście metrów stąd. Zresztą samochód stoi po drugiej stronie, w lesie. Widzisz te dwa punkciki?

–Tak.

–To my. Oczywiście zawsze jest jakieś ryzyko, ale ty masz to już obcykane, prawda?

Adam zapiął kurtkę i nic nie odpowiedział. Powoli przyzwyczajał się do faktu, że jest zdany na łaskę i niełaskę kobiety. Była to właściwie pierwsza zabawna rzecz, która przytrafiła mu się od co najmniej dwudziestu czterech godzin.

–Wychodzimy – usłyszał ponownie cichy głos Ultry – Tylko bez żadnego skradania się, czołgania i tak dalej. To nie film gangsterski. Idziemy spokojnie na spacer. Ty patrzysz do przodu i zasuwasz, ja zajmuję się resztą. Kapujesz?

–Możemy iść – mruknął na odczepnego Kniewicz.

Wyszli, zamykając drzwi na klucz. Ultra wzięła go pod ramię i spokojnie zaczęła prowadzić. Adam czuł się, jakby szedł po rozżarzonych węglach. Przy niej jednak coraz bardziej się uspokajał. Kroczył śmiało, chociaż bał się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy jechał tutaj, spoglądając wciąż we wsteczne lustro.

Wyszli na drogę. Brzeg lasu jawił się im jak ponura kurtyna, ciemna i tajemnicza. Nie widać było właściwie nic w głębi. Tylko mrok. Ich kroki wydawały się bardzo głośnie i obce, jakby byli intruzami w tym spokojnym świecie pełnym harmonii i ładu. Światło księżyca rzucało z bezchmurnego nieba trochę srebrnego światła, ale w lesie promienie te ginęły zupełnie, rozplywając się w ciemnościach. Gdy doszli do zakrętu, Kniewicz zobaczył zarys samochodu. Nagle przez jego ciało przebiegł dreszcz i znów poczuł stary, znajomy chłód. Czerwona lampka na urządzeniu Ultry zaczęła

bezlitośnie migać, a na ekranie pojawił się trzeci punkt. Agentka błyskawicznie wydobyła broń spod kurtki i odbezpieczyła najciszej jak mogła.

–Biegnij do samochodu – rzuciła spokojnie, popychając go lekko do przodu. – Otworzę ci drzwi pilotem. Wskakuj do środka, ale na razie nie zapinaj pasa.

Dziennikarz zaczął biec w kierunku wozu. Gdy był może dziesięć metrów od celu, drzwi otworzyły się bezgłośnie. Szybko wskoczył do środka.

Ultra biegła prawie tyłem. Rozglądała się uważnie na wszystkie strony, trzymając broń skierowaną lekko do góry. Przed drzwiami jeszcze na chwilę się zatrzymała, po czym wśliznęła się do środka.

–Daj mi jakiś pistolet! – rzucił przez zęby Kniewicz.

–Co ty chrzanisz? – burknęła, błyskawicznie zapalając silnik.

–Umiem strzelać! Daj mi broń!

Ultra zatrzymała na moment wzrok na Adamie, który kątem oka zauważył, że lampka przestała migać.

–Co to oznacza? – spytał szybko.

–Koniec kłopotów. – Agentka oparła głowę o kierownicę i głęboko nabrała powietrza. – To musiał być jakiś zwierzak, może duży pies, który jest już poza zasięgiem.

–Tylko nie mów, że się nie przestraszyłaś.

Utkwiła rozdrażniony i przenikliwy wzrok w Kniewiczu. Przez chwilę widać było, że chce coś powiedzieć, ale po kilku sekundach zrezygnowała.

Nacisnęła wreszcie sprzęgło, wrzuciła bieg i ostro ruszyła. Adam usłyszał tylko jej cichy pomruk:

–Nie znoszę dziennikarzy.

Bauer wszedł do pokoju szefa. Jego szczupła, opalona sylwetka sprawiała wrażenie, że zastępca pułkownika Krentza wrócił właśnie z urlopu na Hawajach. W rzeczywistości ostatni raz major był na wakacjach pięć lat temu, ale jakoś też nikt nie słyszał, aby się skarżył.

–Ultra znalazła go – rzucił w kierunku Krentza.

–Dobrze. Łatwo poszło. Szczerze mówiąc, myślałem, że się lepiej ukryje.

Krentz zapalił papierosa. Bauer położył papiery Kniewicza na biurku i ponownie je przekartkował.

–To bystry gość – rzekł po chwili, kręcąc głową. – Wpadł w panikę i na moment przestał myśleć. Założę się, że po kilku godzinach już by go tam nie było. Na krótko taka kryjówka mogłaby być dobra. Daleko od Warszawy, w lesie.

–Tak – rzucił sucho Krentz. – Równie dobrze mógłby wejść do gawry, nakryć się gazetą i liczyć na to, że go niedźwiedź nie znajdzie.

Pułkownik zaciągnął się mocno i powoli wypuścił dym z płuc. Z pewnością nie był w najlepszym humorze, zwłaszcza że jedyny poza Kniewiczem ślad, który mógł go naprowadzić na mordercę senatora Kamińskiego, przepadł jak kamień w wodę.

–Powiedziałaś prezydentowi? – spytał po chwili Bauer.

–Nie. Nikt nie ma o tym zielonego pojęcia. Dopóki nie znajdziemy tego kuriera, wszyscy mają siedzieć cicho.

–Jasne. Co robimy z dziennikarzem?

–Na razie nic. Niech się nie wpieprza. Ultra się nim zajmie. Przejmij jego rodziców.

Kiedy wracają do kraju?

–Mieli wrócić dzisiaj, samochodem.

–Sprawdź lotniska.

–Lotniska? – Bauer spojrział na Krentza zza okularów.

–Tak, lotniska. Jakaś menda mogła im nadać, że u Kniewicza wybuchła bomba.

Szef był wyraźnie rozdrażniony, choć tylko Bauer znał go na tyle dobrze, aby o tym wiedzieć.

–Oprócz rodziców ma jeszcze dziadków dwieście kilometrów od miasta. Wysłałem tam dwóch naszych. Odwołać ich?

–Nie – mruknął Krentz. – Niech tam siedzą. Na wszelki wypadek. Połącz się z Ultra i powiedz jej, żeby ostrożnie przesłuchała pismaka. Może wie coś ważnego. A, i jeszcze jedno... Wstrzymaj pogrzeb tej dziewczyny, chcę coś sprawdzić.

–Tak jest. – Bauer wyszedł z gabinetu.

Krentz usiadł przy biurku i otworzył teczkę Adama Kniewicza.

–Czego oni od was chcieli...? – rzekł cicho do siebie.

Skoro tak im zależało, myślał pułkownik, przymrużywszy lekko oczy, dlaczego na każdym kroku tak partolili robotę? Senatora załatwili, jakby się urwali z filmu o Bondzie, a później – im dalej, tym gorzej...

Chociaż Krentz był pewien, że prezydent nie powtórzy tego, co od niego usłyszy, premierowi ani tym bardziej jakimukolwiek ministrowi, wiadomości o tajemniczej tezcze, które miał tylko on i kilku jego ludzi, postanowił zachować na razie dla siebie. Najgorsze było to, że ten cholerny kurier zniknął bez śladu.

Drzwi gabinetu otworzyły się i ponownie wszedł Bauer.

–Jest tu Skrobek, chce z tobą gadać – rzucił szybko.

–Umawiał się?

–Nie, ale jest ostro wkurwiony.

Krentz złożył teczkę Kniewicza i umieścił ją w szufladzie.

–Dobrze. Spływaj i każ go wpuścić.

Bauer zniknął, a po kilkunastu sekundach w drzwiach pojawił się łysawy grubas z nieodłączną chusteczką w rękę, którą bez przerwy ocierał spocone czoło.

–Witam, panie pułkowniku! – wysapał i opadł na kanapę, nie pytając nawet o pozwolenie.

–Dzień dobry. Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę, panie podinspektorze? – spytał zgryźliwie Krentz, nie dbając o konwenanse.

–A jak pan myśli?!

–Szczерze mówiąc, mam ostatnio sporo zagadek do rozwiązania, więc niech mi pan zrobi tę przysługę i szybko zdradzi, w czym mogę pomóc.

–Faksujemy do was od kilku godzin. Nie wymagam od pana, pułkowniku, aby mnie pan uwielbiał, ale reprezentuję komendanta głównego policji i chyba mam prawo być informowany o każdym postępie w śledztwie – zaczął Skrobek nieco podniesionym tonem. – Dlaczego policja i ABW nie są przez pana w ogóle

informowane?!

–O ile wiem, panie podinspektorze – odparł spokojnie Krentz – my mamy swoje obowiązki, a policja swoje. Nie wtrącamy się do waszego śledztwa, nie przeszkadzamy w jego prowadzeniu i bylibyśmy wdzięczni, gdyby nam też nie przeszkadzano – zakończył chłodno.

–To, że zamordowano senatora, nie oznacza, że byt państwa jest zagrożony! – warknął Skrobek, zbierając kolejną warstwę potu z czoła. – Nie macie tu nic do roboty, ale skoro już się wtrącacie, to przynajmniej dzielcie się informacjami, które przypadkowo wpadły wam w ręce!

–My podlegamy prezydentowi. Każdy zamach na życie polityka to nasza sprawa – zaznaczył z naciskiem Krentz. – I nie wtrącamy się, tylko wykonujemy nasze obowiązki, a informacje, które się tu dostają z pewnością nie wpadają nam w ręce przypadkowo! Z całym szacunkiem, panie podinspektorze, gdyby niektórzy pańscy funkcjonariusze zwracali czasem uwagę na to, co się do nich mówi, być może nie stalibyście teraz w miejscu.

–Posłuchaj no, chłopie! – warknął przez zęby Skrobek. – Kiedy ja łapałem Marchwickiego i resztę, ty wchodziłeś jeszcze po drabinie na dywan. Byłem na akcji więcej razy, niż ty siedziałeś na sedesie! Nie mów mi więc teraz, jak mam prowadzić dochodzenie, bo mnie wkurzasz bardziej niż mąż mojej córki! Przyszedłem tu, by się zorientować, czy nie zatajacie przed policją ważnych dla dochodzenia faktów! I nie rozśmieszaj mnie, udając CIA, bo prędzej każdy w tym kraju kupi sobie raketę międzyplanetarną niż wy zdążycie nabrać takiego doświadczenia jak my!

Krentz jak zwykle spokojnie wysłuchał wynurzeń podinspektora, przyzwyczajony już do jego arogancji. Nie lubił go nie tylko za to, że policjant uważał się za pępek świata, ale przede wszystkim za przestarzały sposób myślenia i – co najważniejsze – działania. Skrobek przypominał mu przerdzewiały relikw, który zatrzymał się gdzieś w epoce kamienia łupanego i bronił jak lew jedynej logicznej dla niego prawdy, która w dodatku nijak nie chciała się sprawdzać we współczesnym świecie. Jego głupota była dla Krentza tak oczywista, że nie potrafił poświęcić mu nigdy więcej niż dziesięć minut. Spotkania skracał maksymalnie, w razie konieczności wykręcając się ważną naradą lub nagłym wypadkiem. Pogardy dla nieporadności policji nie ukrywał nawet przed prezydentem, który zawsze stawał po jego stronie, rozdrażniony kolejnymi porażkami nowoczesnego demokratycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji z niestety znacznie nowocześniejszymi gangami, mafiami, a nawet przestępcami gospodarczymi.

Patrzył teraz z politowaniem na grubasa, który na czole miał wypisane wszystkie myśli, bo trudno mu było ukryć nawet tyłek w spodniach. Skrobek był bezradny jak dziecko przy doskonale wyposażonej i świetnie poinformowanej agencji pułkownika Krentza, wzbudzającej respekt nawet wśród tych, którzy nigdy się z nią nie zetknęli. O jej istnieniu wiedziało tak niewielu ludzi, że musiała mu wystarczyć satysfakcja, iż jest jednym z wtajemniczonych. Obowiązywały go jednak rygory poufności, więc o Krentzu i jego ludziach mógł rozmawiać tylko z naczelnikiem.

Dziesięć minut właśnie minęło, co pułkownik skwapliwie zauważył, należało więc

jak najszybciej zakończyć spotkanie, splawiając podinspektora.

–Przykro mi, ale nie mamy dla was żadnych istotnych informacji – oznajmił chłodno. – Wciąż jednak pracujemy nad tym, więc mam nadzieję, że będziemy w kontakcie. I proszę pamiętać, że wszystko, co się tu dzieje, jest ściśle tajne. Nie wolno panu o tym rozmawiać z nikim oprócz komendanta głównego policji.

–Jesteście wrzodem na tyłku, na nic nie przydadacie się temu krajowi! – warknął Skrobek.

–Przykro mi, że odniósł pan takie wrażenie.

–Powiem panu, Krentz, jakie odniosłem wrażenie – rzekł podinspektor, ciężko podnosząc się z kanapy. – Nadszedł czas, aby porozmawiać z premierem, i to naprawdę poważnie. Skończy się wasze sobiepaństwo – stwierdził, otwierając drzwi.

–Życzę postępów w śledztwie – rzucił pogodnie pułkownik w ślad za nim.

Nie zdążył nawet odetchnąć, kiedy do pokoju wpadł Bauer.

–Starzy Kniewiczza przylecieli dzisiaj rano – powiedział szybko.

–Gadałeś z nimi?

–Tak.

–Zabierz ich z domu. – Krentz zamyślił się. – Na wszelki wypadek.

–Spałeś?

Adam poruszył się nerwowo na fotelu. Obejrzał się szybko za siebie. Wciąż jechali.

–Ostatnio chyba niewiele sypiałeś?

–Niewiele.

Przyjrzał się raz jeszcze agentce. Wyglądała teraz na zwykłą, nie wyróżniającą się niczym specjalnym kobietę. Na pierwszy rzut oka mogła być normalną żoną lub matką. W każdym razie z pewnością nie przypominała agentki, na co dzień strzelającej do zabójców i ratującej życie takim jak on. Była raczej atrakcyjna niż ładna. Gęste ciemnoblonde włosy spadały jej tuż za ramiona, a oczy i usta, niemal pozbawione makijażu, miały łagodny, choć zdecydowany wyraz.

–Kiedy ostatni raz coś jadłeś? – spytała, zerkając w jego stronę.

–Nie pamiętam. Chyba wczoraj wieczorem, w pracy. Boli mnie ząb przy jedzeniu.

–Ząb?

–A co? Ciebie nigdy nie bolały zęby? Niedawno byłem u dentysty. Założył mi jakiś opatrunek i kazał przyjść za dwa tygodnie.

–Wytrzymaj jeszcze trochę. – Uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że za kilka dni będzie po wszystkim.

–Za kilka dni?! Ile to wszystko będzie trwało?!

–Nie wiem. Dopóki nie złapiemy tych, którzy chcieli zabić ciebie i zabili twoją dziewczynę.

Adam zamknął na chwilę oczy. Ze wstydem przyznał, że przez ostatnie kilkanaście godzin, zajęty ucieczką niezbyt wiele czasu poświęcił Marcie. Poczuł, jak piekielnie mu jej brakuje. Odwrócił się do okna i milczał jakiś czas.

–Skąd tyle o mnie wiedzieliście? – spytał sucho, nawiązując do poprzedniego dnia, byle tylko zmienić temat.

–Większość od twojego przyjaciela, Ryszarda Snopczyka. Miał z tobą przyjechać do kostnicy. Tam na was czekaliśmy, ale kiedy Snopczyk zginął, a ty zniknąłeś, zaczęliśmy szukać miejsc, w których mógłbyś się ukryć.

Adam nie zareagował. Patrzył tępo, jak światła reflektorów mijających ich samochodów prześlizgują się po drzewach, i starał się o niczym nie myśleć.

–Posłuchaj. – Ultra usiłowała nie zmieniać wyrazu twarzy. – Wiem, że ci teraz ciężko, ale czas ucieka, a my wciąż niewiele wiemy...

Kniewicz poprawił się na fotelu, aby przyjrzeć się uważniej dziewczynie.

–Masz jeszcze jednego takiego sig sauera?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

–Ooo, znamy się na broni...

–Masz czy nie?

–Na razie ja tu jestem od strzelania. Nie komplikuj sprawy.

–Kim ty właściwie jesteś? Policja, Centralne Biuro Śledcze, wywiad, kontrwywiad, siły specjalne?

–Nie mogę o tym rozmawiać. Dla ciebie jestem ochroniarzem.

–I tak wpadłem w to już po uszy, chcę wiedzieć.

–Musi ci wystarczyć informacja, że nie jestem policjantką, a ludzie, dla których pracuję, zajmują się bezpieczeństwem państwa. To te dobre chłopaki, nie musisz się niczym denerwować.

–To dlaczego, zamiast chronić polityków, VIP-ów i tak dalej, ukrywacie dziennikarza uciekającego przed jakimiś szaleńcami? Dlaczego nie ma tu glin?

Ultra westchnęła ciężko i odparła poważniejszym tonem:

–Najprawdopodobniej to nie byli szaleńcy, a twoje kłopoty są ściśle powiązane z zabójstwem senatora Kamińskiego. O tym właśnie chcę z tobą pogadać.

Dziennikarz otworzył szeroko oczy.

–Chyba zwariowałaś! Nawet nie znałem senatora, nie mówiąc już o innych powiązaniach! Nie robiłem z nim nigdy wywiadu. Widziałem go trzy, może cztery razy na korytarzu na Woronicza i na tym koniec.

Ultra oderwała na moment wzrok od drogi, aby mu się przyjrzeć. Wyraźnie nabrał pewności siebie, być może poczuł się już bezpieczniej. Zniknęło przerażenie, zastąpiła je złość. Panika bezpowrotnie minęła. Powoli, bardzo powoli przyzwyczajają się do sytuacji.

–Samochód mordercy senatora – zaczęła tłumaczyć spokojnie – najprawdopodobniej pojawił się następnego dnia pod domem Marty Karskiej...

–Facet, o którym mówiła sąsiadka – dopowiedział niemal automatycznie Kniewicz.

–Być może, ale poprzedniego wieczoru nikt nie widział tego człowieka, tylko jego samochód. Istnieje więc możliwość, że ten mały w okularach sprzed drzwi Karskiej nie jest w ogóle związany ze sprawą. Może to tylko podobieństwo wozów. Najciekawsze jest to, że Marta Karska wsiadła do samochodu z własnej woli. Mimo że jej sąsiadka przekonywała nas o zdenerwowaniu dziewczyny, fakt jest faktem: wsiadła do samochodu dobrowolnie. Nikt jej nie zmuszał. Wszystko to świadczy o tym, że twoja dziewczyna musiała być w jakiś sposób powiązana z senatorem,

choć najprawdopodobniej nie z jego zamordowaniem.

Kniewicz ujął twarz w dłonie.

–Co ty opowiadasz?! Znałem ją jak własną kieszeń. Nie miała nic wspólnego z senatorem. Rozmawialiśmy nawet przez telefon o jego śmierci... – Tu przerwał na chwilę, po czym wolno podniósł wzrok, by spojrzeć w oczy Ultrze. – Poczekaj... Powiedziała coś dziwnego. Moment, niech sobie przypomnę. – Znow poprawił się na fotelu. – Już wiem. Mówiła, że chce się spotkać z kimś, kto zadzwonił do niej „z zaświatów”... czy coś takiego.

–Słucham?

–Z zaświatów. Takiego użyła sformułowania. Pewnie chodziło jej o kogoś, kogo od bardzo dawna nie widziała.

–Możliwe.

–Jeśli to wszystko prawda, a okularnik nie był tylko starym kumplem Marty, o którym zresztą nie wiedziałem, to... są to zawodowcy.

–Tak, ale mają problem.

–Jaki? – zainteresował się Adam.

–Spieszą się. No i są w związku z tym coraz bardziej niedokładni. W końcu popełnią duży błąd. Na to właśnie czekamy.

–A ja?

Ultra westchnęła cicho.

–Powiem ci, co myślę. Senator musiał się dowiedzieć czegoś niebezpiecznego, i to całkiem niedawno. Szybko został zabity. Marta musiała wiedzieć przynajmniej część tego, co wiedział Kamiński, i dlatego po nią pojechali. Bali się, że skoro byłeś z Martą mogłeś zdobyć te informacje, więc i ciebie chcieli zlikwidować. Zresztą dalej chcą. Tyle tylko że ty nic nie wiesz, a Martę zabił ktoś, kogo znała na tyle dobrze, żeby mu zaufała. Domyślasz się, kto to mógł być?

–Nie mam zielonego pojęcia.

–Niestety, wiedziałam, że to powiesz.

Adam ponownie się zamyślił.

–Moim zdaniem to jakaś cholerna pomyłka – rzekł po chwili. – Pomylili nas po prostu z kimś innym. Pomyśl: żeby kogoś zabić, trzeba naprawdę mieć powód, a ja najzwyczajniej w świecie nic nie wiem. Po co miałbym kłamać? Mało tego, daję sobie rękę uciąć, że Marta też nic nie wiedziała.

–Posłuchaj. – Ultra starała się mówić spokojnie, ale z jej tonu przebijało pewne zniecierpliwienie. – Ci faceci nie wyglądają mi na takich, co się mylą. Są szybcy, zdecydowani i doskonale poinformowani. Jedyne, co można im zarzucić z tego punktu widzenia, to pośpiech.

Dziennikarz zaczął pukać ze zniecierpliwieniem w szybę.

–Nic już nie kapuję, chyba się jeszcze zdrzemnę.

Ultra przytaknęła i całkowicie oddała się prowadzeniu samochodu. Wierzyła Kniewiczowi. Nie było zbyt wielu powodów, aby mu nie wierzyć. To tylko spanikowany amator, który wplątał się w aferę, nawet nie wiedząc, w jaki sposób. Zwykły człowiek wyrwany z pracy, z domu, z normalnego życia. Takie rzeczy widywał

do tej pory w filmach, ale udział w czymś takim przekraczał jego możliwości. Który to już z kolei? Nie pamiętała. Większość z nich to ofiary mafii, różnego rodzaju gangów, skorumpowanych aparatczyków. Wszyscy jakoś powiązani z polityką wszyscy mający coś na sumieniu, wszyscy przynajmniej z pozoru chcący odkupić winy. Łapówki, afery, wymuszenia. Jedno wielkie gównno.

Adam Kniewicz był inny. Czują to. To po prostu zwykły dziennikarz, który kochał swoją dziewczynę i lubił swoją pracę, a to, co robił, wydawało jej się uczciwe i czyste. Miał tylko pecha. Pieprzonego, zajebistego pecha.

Współczuła mu. Być może nawet bardziej, niż powinna, ale na to czasem nie ma się aż tak wielkiego wpływu, jak by się chciało. Biedny pismak. Biedny, głupi, pechowy pismak.

Adam chciał się zdrzemnąć, ale nie mógł. Nie chodziło o to, że czuł się zagrożony. W tej chwili przerażało go coś zupełnie innego – beznadzieja. Całkowicie bezsensowna, beznadziejna sytuacja, która nie mogła się zakończyć happy endem.

Przypomniawszy sobie ostatni weekend z Martą. Byli u przyjaciół, jakieś sto kilometrów od Warszawy, na działce nad Bugiem. Urwali się do lasu, aby wymyślić coś nieprzyzwoitego.

Niestety, nie udało się. Przyjaciele byli czujni. Ściągnęli ich bezlitośnie do ogniska, gdzie kazali im piec kiełbaski, których w dodatku Adam nie za bardzo lubił. Potem sadystycznie znęcali się nad gośćmi, prezentując im cały niemal repertuar piosenek z akompaniamentem gitary, jaki tylko wpadł im do głowy.

Kniewicz dałby miliardy, aby znów móc się tam znaleźć.

Przyjaciele, dziewczyna, praca, niezła forsa. A co mu teraz pozostało?

Nagle poczuł, jak ciarki zaczynają wędrować mu po plecach. Mimo woli otworzył szeroko oczy i ogarnęło go tak znajome ostatnio uczucie strachu. Rodzice!

–Ultra! – krzyknął nagle. – Muszę natychmiast zadzwonić!

–Co się stało?

–Moi rodzice mieli dziś wrócić z urlopu. Byli we Włoszech.

–Dobrze, skontaktuję się z Centrum.

–W porządku, ale daj najpierw zadzwonić.

–Nie dzwoń ze zwykłego komórkowego. – Podała mu telefon. – Ten jest bezpieczny. Wyłączyłeś swój, jak prosiłam?

–Jasne.

Wystukał numer do rodziców. Przez pewien czas trzymał aparat, jakby czegoś słuchał, po czym usłyszał głos ojca.

–Tato?! – krzyknął niemal histerycznie.

–Synku! Jezus Maria! Gdzie jesteś?!

–Nie wiem dokładnie, na północy. Gdzieś przenocuję i jutro będę w bezpiecznym miejscu.

Ultra pokiwała głową usiłując dać mu do zrozumienia, by nie był zbyt dokładny.

–A teraz jesteś bezpieczny? – spytał ojciec.

–Tak, ktoś się mną opiekuje. Uciekłem do naszego domku przy lesie.

–Rany boskie! Tyle kilometrów? Poczekaj chwilę.

Adam usłyszał, że ojciec z kimś rozmawia.

–Jesteś synku?

–Tak. Z kim rozmawiałeś?

–Z panem Waldkiem. Zaproponował, żebyście wpadli na jego daczę. Jeśli jedziecie od nas, nie nadrobicie wiele drogi. Wiesz, to niedaleko Bydgoszczy, trochę na południe.

Ojciec mówił dość głośno, więc Ultra mogła bez problemu śledzić rozmowę. Kniewicz spytał wzrokiem, co sądzi o tym pomysle.

–Czemu nie – mruknęła po chwili.

–Daj adres, tato, nigdy tam nie byłem.

–Byłeś, tylko w dzieciństwie. Kiedyś odwiedziliśmy pana Waldka, wracając od nas. No, podaję adres...

Dziennikarz zanotował.

–Aha, pan Waldek mówi, że klucz jest w doniczce obok schodów.

–Podziękuj mu. Posłuchaj, tato. Zaraz zawiadomimy pewnych ludzi, którzy się wami zajmą. To taka policja...

–Nie trzeba. Już do nas dzwoniли i wkrótce będą.

Adam spojrzał pytająco na Ultrę.

–Zaraz to sprawdzę – powiedziała, nie odwracając wzroku od przedniej szyby.

–Muszę kończyć, tato. Ucałuj mamę.

–Jasne. Uważaj na siebie.

Kniewicz rozłączył się i podał telefon dziewczynie.

–Masz atlas Polski?

–Oczywiście.

Sięgnęła do bocznej kieszeni i podała mu atlas.

–Gdzie jesteśmy? – spytał, otwierając mapę ogólną.

Agentka zauważyła, że zbliżają się do stacji benzynowej, więc włączyła kierunkowskaz i zaczęła hamować. Adam wykorzystał ten czas na znalezienie miejscowości, o której mówił ojciec.

Dziewczyna zatrzymała samochód na małym parkingu, kilka metrów od dystrybutorów. Świeciło tu kilka latarni, dzięki czemu było dość jasno.

Wystukała szybko numer. Kniewicz, nie słuchając, o czym rozmawia, wciąż przeglądał mapę. Ultra wkrótce skończyła, potwierdzając, że wszystko w porządku.

–Daj – zażądała od Kniewicza, zabierając mu atlas.

Przewróciła kilka stron, po czym wskazała palcem.

–Tu, a gdzie te...?

–Dąbki.

–No właśnie.

–Tu. – Wskazał Adam.

–W nocy to jakieś dwie godziny drogi.

–Jedziemy?

–Poprowadzisz chwilę?

–Jasne.

–Kto to jest pan Waldek?

–Sąsiad i przyjaciel rodziców. Pewny facet. Miejsce wygląda na bezpieczne, nikt chyba tam nie będzie nas szukał.

–Wolę to niż hotel. Musimy odpocząć. Wyjedziemy wcześniej rano.

ROZDZIAŁ 3

Krentz zmierzał do gabinetu prezydenta z pewnym niepokojem. Nie chodziło nawet o to, że najprawdopodobniej komendant główny policji już tam był. Pułkownik wiedział, że prezydent również uważa Skrobka za idiotę. Podinspektor nic mu nie mógł zrobić. Kilometry wydeptane przed gabinetem naczelnika pomagały być może grubasowi zabijać czas przed zasłużoną emeryturą, ale nawet on musiał wiedzieć, że już dawno straciło to sens.

Pułkownik Piotr Krentz, ciesząc się ogromnym zaufaniem prezydenta, nie musiał się martwić tysiącami biurokratów. Miał nad sobą wyłącznie najważniejszą osobę w państwie, którą w dodatku lubił i szanował. Sens istnienia jego agencji był oczywisty i dopóki wszystkie tryby pracowały jak trzeba, mógł być spokojny.

Niepokój pułkownika mógł więc wywołać tylko sam prezydent, i tak też było tym razem. Krentz był prawie pewien, że szef dowiedział się od kogoś o kurierze, który przywiózł do kraju teczkę. Jej zawartość wciąż jednak była tajemnicą podobnie jak miejsce, w którym się obecnie znajdowała. Kurier gdzieś zniknął, co pułkownik uważał za bardzo niebezpieczny błąd swoich agentów, którzy o istnieniu tego człowieka wiedzieli już od kilku tygodni. Było niemal pewne, że dokumenty dostarczono senatorowi Piotrowi Kamińskiemu i że właśnie dlatego polityk został zabity. Kurier zniknął, morderca wciąż był nieznany, ateczka przepadła jak kamień w wodę. Krentz wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby prezydent się teraz o tym wszystkim dowiedział.

Zbliżył się do biurka sekretarki. Właściwie nie było sensu mówić niczego prócz „Dzień dobry”, znała go bowiem doskonale.

–W jakim jest humorze? – spytał tonem, jakim zwykle rozmawia się o pogodzie.

–Powinien pan przeżyć – odparła sekretarka.

Agent ochrony, mimo wcześniejszych kontroli, nie zrezygnował z uważnego przyjrzenia się gościowi.

–Pułkownik Krentz czeka na spotkanie z panem, panie prezydencie – powiedziała sekretarka i wyłączyła interkom. – Proszę wejść, pułkowniku – rzuciła w jego stronę.

–Dziękuję.

Prezydent nie odwrócił się od okna, kiedy drzwi się otworzyły. Mimo to Krentz nie zrezygnował z uprzejmego powitania.

–Dzień dobry, panie prezydencie. Serdecznie gratuluję dzisiejszych wyników sondażu.

–Sondaże popularności... – odparł obojętnie prezydent – mogą się zmieniać jak w kalejdoskopie. Wystarczy, że ktoś palnie jakieś głupstwo lub popełni niewielki błąd...

– Odwrócił się, aby spojrzeć na agenta.

Krentzowi jak zwykle nie drgnęła nawet powieka, ale czuł, że rozmowa nie będzie dziś przyjemna.

–Jak śledztwo? – spytał wreszcie prezydent.

–Badamy wszelkie ślady, rozpoznajemy...

–Piotr! – przerwał mu szef, kładąc ręce na biurku.

Krentz poprawił nieznacznie krawat.

–Mamy dziennikarza.

–To dobrze. Co wie?

–Bada go nasza agentka, musimy to jakoś uporządkować.

–Znowu wkurzyłeś grubasa. – Prezydent zmienił nagle temat.

–Przepraszam...

–Nie przepraszaj za coś, czego nie żałujesz. Tyle razy prosiłem cię, byś pamiętał, że szczególnie w polityce głupotę można imputować każdemu z wyjątkiem tych, których to dotyczy.

–Będę uważał.

–Mam dość rozmów z premierem o takich duperelach. W tym kraju naprawdę jest kilka ważniejszych rzeczy do obgadania.

–Panie prezydencie, szczerze mówiąc, nie mamy zbyt wielu płaszczyzn dyskusji z policją. Ta sprawa dotyczy wyłącznie nas, oni się na tym nie znają. – W tym momencie wołał nie spotkać wzroku szefa.

–Nie jest aż tak źle, jak myślisz. Oni nie są kretynami, tyle tylko że w przeciwieństwie do ciebie mają na głowie dziennikarzy.

–Wiem – odparł spokojnie agent.

–Prasa i opozycja ostro naciskają na nich, a oni rzeczywiście niewiele mają dla gazet. Chcę, żebyś powiedział grubasowi o kilku sprawach, a on napcha tym pismaków. Akurat teraz ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to kłopoty.

–Sam mam niewiele, ale jeśli tak trzeba...

–Trzeba – potwierdził z naciskiem prezydent. – Leć już, dzisiaj mam jeszcze na głowie tych Koreańczyków.

–Jeśli tylko coś nowego wypłynie, natychmiast to panu prześlemy.

–Dobrze.

Krentz nie dał się długo prosić, ale choć szedł do drzwi najkrócej, jak to było możliwe, gdy sięgał po klamkę, dogonił go głos szefa:

–Piotr!

–Tak, panie prezydencie?

–Znajdźcie tych skurwieli, za wszelką cenę.

–Znajdziemy. Jeśli gdziekolwiek oddychają będziemy ich mieli.

Krentz zamknął za sobą drzwi gabinetu. Przeszedł obok stanowiska sekretarki, minął kolumny, drugie drzwi i dopiero teraz odetchnął spokojnie. A więc jednak zostało jeszcze trochę czasu.

Jechali dość szybko pustą prawie szosą i milczeli. Ultra patrzyła lekko przymrużonymi oczami na migające za oknem drzewa, podczas gdy Adam prowadził. Wołała taki układ, mogła bowiem dzięki temu lepiej kontrolować otoczenie. Kniewicz kierował spokojnie, nie wykazując żadnych oznak zdenerwowania. Cieszył się z rozmowy z rodzicami, która pozwoliła mu przez chwilę ludzić się, że wszystko wraca do normy.

–Już prawie dojeżdżamy, zobacz na mapie – powiedział po dłuższym milczeniu.

Dziewczyna sięgnęła do kieszeni w drzwiach samochodu.

–Co to za miejscowość?

–Piaski.

–Dobrze, pod koniec wioski będziesz miał skręt w lewo.

–Chyba widzę. To tutaj?

–Nie wiem. Z mapy wynika, że do tych całych Dąbek musisz skręcić w lewo.

–W porządku, jest drogowskaz. – Adam głęboko odetchnął. Mimo woli spojrzął kątem oka na Ultrę. Była skupiona. Uważnie obserwowała otoczenie i milczała. Wjechali w osiedle domków letniskowych.

Mimo późnej pory widoczność była niezła. Latarnie oświetlające osiedle najwyraźniej paliły się tu całą noc.

Wkrótce wjechali do lasu. Droga była przyzwoita, a znaki wyraźnie wskazywały, że właśnie tędy trzeba jechać, by po dwóch kilometrach dotrzeć do wsi Dąbki.

Las stawał się coraz rzadszy, a pomiędzy drzewami zaczęły wyrastać pierwsze domy. Minęli tablicę z nazwą wsi. Leciwa babina idąca z naprzeciwka przyglądała się uważnie ich samochodowi. Numery budynków były jeszcze stosunkowo niskie, więc choć uważnie, jechali spokojnie. Wioska, najwidoczniej całkowicie położona w lesie, ciągnęła się przez pewien czas, aż wreszcie rząd chałup się skończył i można było dostrzec pierwsze domki letniskowe. Znowu pojawiły się latarnie.

–Trzeba kogoś zapytać – mruknął Adam.

–O tej porze?

–Tam idzie jakaś para. – Kniewicz wskazał na pobocze.

–Zatrzymaj przy nich.

Dziewczyna miała dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata. Długa blond grzywka zasłaniała jej część twarzy, ale łatwo było wyłowić delikatny, rezolutny uśmiezek. Chłopak, bez wątpienia wstawiony, wyglądał na trochę młodszego. Oboje wyraźnie rozbawieni, najprawdopodobniej wracali z jakiejś dyskoteki.

–Przepraszam bardzo – Ultra odpowiedziała uśmiechem na uśmiech – gdzie możemy znaleźć dom numer 28?

Na twarzy dziewczyny pojawiło się uwodzicielskie zainteresowanie, kiedy dostrzegła Adama.

–Na końcu, połą drogą ale późno przyjechaliście. Już po balandze.

Wdmuchnęła do samochodu takie ilości oparów alkoholu, że Ultra postanowiła się szybko pożegnać.

–Balangowaliśmy cały dzień – rzuciła z udawanym uśmiechem i pokazała Kniewiczowi kierunek.

Pięćset metrów dalej, na małej polance otoczonej gęstym lasem, pojawił się na pierwszy rzut oka stary dom; najpewniej jednak było to tylko nocne złudzenie. Piętrowa stylowa chałupa prezentowała się nieźle. Nie była tak dobrze widoczna jak reszta budynków, latarni bowiem już tu nie było, ale resztki światła pozwoliły jej się przyjrzeć.

–Zatrzymaj jeszcze na chwilę – rzuciła Ultra, widząc kolejnego balangowicza idącego drogą.

–Przepraszam, szukam numeru 28 – powiedziała wolno do wyraźnie wyczerpanego zabawą łysawego mężczyzny. Jej zdaniem miał najwyżej trzydzieści

lat i tylko brak włosów go postarzał.

–To ten. – Mężczyzna wskazał niezdarnie stary budynek. – Ale tam już wszyscy poszli spać.

–Tam ktoś jest?! – Ultra rozpięła szybko kurtkę. – Jest pan pewien?

–Przrzrzyjechali już... – spojrział niezdarnie na zegarek – chyba pół godziny temu – dokończył, z trudem składając słowa. – Rozumieją państwo, przewróciłem się... jakiś czas temu... Trochę tu wyypocząłem i teraz ruszam dalej. A oni prawie od razu zgasili światło, niezabawowe towarzyszo.

Agentka błyskawicznie odwróciła się do Adama.

–Schyl głowę! – rozkazała.

Na twarzy pijanego mężczyzny pojawił się niepokój.

–Niech pan ucieka do lasu i ukryje się między drzewami! – krzyknęła do niego Ultra i wyciągnęła broń.

–Ale dlaczego? – Przetarł leniwie oczy.

–Niech pan ucieka! – krzyknęła raz jeszcze błagalnie, ale mężczyzna nie zdążył już zrobić żadnego ruchu, świst strzału bowiem zaskoczył go tak bardzo, że upadł trafiony, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Ultra schyliła nisko głowę i odbezpieczyła pistolet.

–Od strony domu? – rzucił cicho skulony Adam.

–Tak.

–Skąd oni się tu wzięli?!

–A skąd ja, kurwa, mam wiedzieć?!

–Ilu ich jest?

–Nie wiem. Chcesz na głos sprawdzić listę obecności?

–Spróbuję szybko zawrócić. – Kniewicz znów poczuł potworny ucisk w klatce piersiowej, a ręce mimowolnie zaczęły mu drżeć. Znał to uczucie. Wczorajszy zły sen powrócił i stanął przed nim w pełnej okazałości.

–Za późno. Na pewno już ktoś jest za nami.

–Dlaczego przestali strzelać? – Adam ze zdziwieniem zauważył, że szybko się uspokaja i nie czuje już tak wielkiego strachu, jaki towarzyszył mu do tej pory, gdy wybuchło jego mieszkanie czy podczas pobytu w domku rodziców.

–Czekają aż coś zrobimy. Nie wychylaj się. – Wyjęła ze schowka drugi pistolet i wręczyła go skulonemu pod kierownicą dziennikarzowi. – Sig sauer P-239. Jest naładowany – powiedziała wolno. – Teraz możesz się wykazać.

Kniewicz próbował nie myśleć o tym, że to właściwie on wpakował ich w takie kłopoty. Był zły na siebie i być może dlatego właśnie nie czuł aż tak paraliżującego strachu.

–Jak myślisz, pobiegną do nas?

–Jeśli są kretynami, to tak. Ale nie podejrzewam ich o to. – Ostrożnie wychyliła głowę, usiłując zobaczyć, co się dzieje za przednią szybą po czym wyjrzała przez boczne okno.

–Te szyby są kuloodporne? – spytał szybko Adam.

–Tak. Wsiadam pierwsza, ty na razie nic nie rób.

–Boże, myślałem, że to zwykła sportowa mazda...

–No, nie taka zwykła. A teraz skup się.

–Po co wysiadasz?! Przecież to jest kuloodporne.

–Przymknij się wreszcie, do kurwy nędzy, i słuchaj! – Ultra ponownie się schyliła.

– Za chwilę wolno ruszysz do tyłu. Dasz radę?

–Tak.

–Najprawdopodobniej wtedy zaczną strzelać. Kiedy oni będą skupieni na samochodzie, ja wyskoczę i spróbuję dotrzeć do rowu, trzy metry stąd. Z tego, co przed chwilą widziałam, jest dość głęboki. Jeśli mi się uda, rzucisz mi przez drzwi tę torbę. – Wskazała nieduży plecak leżący na tylnym siedzeniu. – Uważaj, jest ciężki, włóż w to trochę wysiłku. Tylko się nie wychylaj. Potem skaczesz i jak najszybciej do rowu. Kapujesz?

Adam kiwnął głową.

–Zaczynaj!

Silnik wciąż pracował, wystarczyło zatem tylko nacisnąć sprzęgło i wrzucić wsteczny bieg. Po chwili samochód zaczął wolno jechać. Pierwsza, krótka seria z karabinu zniszczyła przednią szybę, ale nie przebiła jej. Ultra otworzyła drzwi i błyskawicznie skoczyła, wykonując przewrót w kierunku tyłu wozu. Kilka ruchów i była już w rowie. Przyłgnęła do ziemi. Strzelec nie zdążył nawet zareagować. Adam zatrzymał wóz. Mocniej ścisnął pistolet. Wolno sięgnął po plecak.

Znów cisza. Chwilę później kolejna seria dopadła przednią szybę, lecz tym razem kilka kul przebiło ją i zatrzymało się na tylnej bądź na zagłówkach. Kniewicz jeszcze bardziej skulił się pod kierownicą. Wydawało mu się, że nie sposób wyskoczyć teraz z samochodu. Z drugiej strony ostatnie wydarzenia przekonały go, że w środku nie ma najmniejszych szans. Wyłączył silnik i wrzucił jedynekę, aby łatwiej mu było przejść pod linią strzałów do drzwi pasażera. Mocniej nabrał powietrza. Raptownie uchylił je szeroko i rzucił plecak. Tym razem na strzały odpowiedziała szybko Ultra, co na moment uspokoiło przeciwnika. Adam usłyszał, że dziewczyna zmienia magazynek. Przez uchylone drzwi widział dokładnie, jak pistolet agentki powoli wysuwa się z rowu. Oparł prawą nogę o szynę fotela pasażera i odbiwszy się, wyskoczył z wozu. Lewą nogą natrafił na piasek i stracił na nim zupełnie równowagę. Ultra zaczęła opróżniać kolejny magazynek, gdy padł na ziemię. Szybko się podniósł, ale przeszywający ból w okolicach biodra zaskoczył go tak bardzo, że na chwilę znieruchomiał.

–Padnij! – wrzasnęła, nie przestając strzelać.

Przyłgnął do ziemi i szybko doczołgał się do rowu. Ciężko wturlał się do zagłębienia.

Nastąpiła cisza. Kniewicz rozpiął kurtkę. Jasna koszula zaczęła gwałtownie ciemnieć nieco poniżej pasa, po lewej stronie. Dotknął tego miejsca i pokazał bezradnie Ultrze krew na swojej dłoni.

–Nie! – Ultra patrzyła mu prosto w oczy.

–Już po nas – powiedział spokojnie Kniewicz i osunął się na samo dno rowu.

–Weź się w garść, jeszcze żyjemy – rzuciła. – Może to niegroźna rana.

–To nie był strzał z budynku.

–Wiem, ale chyba nie jest ich zbyt wielu. Trzech, może czterech...

Adam, mocno uciskając biodro, dźwignął się na nogi. Oparł ciężko głowę o ścianę rowu, by po chwili z niemalym wysiłkiem zbliżyć się do Ultry.

–Gdzie oni są?

–Jeden na piętrze w willi, na razie niegroźny, ale ma kałacha. Najgorzej jest z tym, który cię postrzelił. Wali z pistoletu, ale siedzi gdzieś tam, między drzewami. Pozostali albo nie mają broni, albo coś kombinują.

–Chyba jednak coś kombinują... – jęknął z przekąsem Kniewicz.

–Też tak myślę. Trzymaj mocno spluwę, uważnie się rozglądaj i spróbuj trochę postrzelać, kiedy pójde po tego wśród drzew.

–Mam cię osłaniać?

–Nie dasz rady, ale przynajmniej strzelaj w stronę domu.

–O Boże!

–Modlitwy później, zaczynaj!

–Nie! Jeszcze nie... – Dopiero teraz znajomy, nieprzyjemny chłód dał o sobie znać. Strach powoli opanowywał umysł dziennikarza. – Słuchaj, oni mnie trafili...

–Wiem. – Ultra starała się, aby jej twarz była w tym przynajmniej momencie jak najbardziej pogodna. – Bardzo cię boli?

–Mówiąc szczerze, trochę tak.

–Jeśli „mówiąc szczerze, trochę tak”, to nie jest źle. Gdybyś dostał w nerkę, zwijałbyś się z bólu jak dżdżownica na deszczu. Chcesz znać prawdę?

–Nie, kurwa, chciałbym posłuchać o ostatnim odcinku *Na dobre i na złe!*

–Myślę, że kula nie uszkodziła żadnego ważniejszego narządu. Jeśli szybko się stąd wydostaniemy i nie stracisz zbyt dużo krwi, to za kilka dni będziesz w stanie robić salta, więc zaufaj mi jeszcze przez chwilę, w porządku?

Adam zdobył się na uśmiech. Jeszcze raz spojrzął na ranę. Plama krwi wolno się powiększała. Ultra bez słowa wyjęła z plecaka gazę i pokazała mu, jak należy przycisnąć ją do rany.

–Adam, posłuchaj. Idę teraz po nich. Zostajesz tu sam. Strzelaj do wszystkiego, co się do ciebie zbliży. Tylko nie do mnie. Gotowy?

Kniewicz odbezpieczył pistolet. Zauważył, że ręce drżą mu coraz bardziej.

–Gotowy.

Magier spodziewał się, że dziennikarz może z kimś przyjechać. Szef mówił, że to niewykłuczone. Przewidział nawet to, że może wykombinować giwerę. Ale mimo wszystko coś było nie tak. Po pierwsze, dlaczego zabrał swoją kobietę gdzieś, gdzie mogło być niebezpiecznie? Albo głupi, albo tchórz. Zasłaniać się babą...

Magier aż się skrzywił z obrzydzenia. Chociaż ta kobitka niczego sobie, z samochodu skakała niekulawo. Szybka, nawet Klapcyngier nie trafił jej z góry. Może jaka wysportowana albo farciara. Ale pismak dostał. Magier był tego pewien. Klapcyngier nie ruszył facia, ale on go trafił. Gdzie oberwał, nie był pewien, ale dostał na pewno.

Spojrzął raz jeszcze na drogę. Ten durny wsiok leżał martwy kilka metrów przed

samochodem. Klapcyngier go zdjął. I bardzo dobrze. Mógł jeszcze co wygadać i może by uciekli. Chociaż nie, przecież Chudy zamykał odwrót.

Z drugiej strony Magier dziwił się, że pismak nie próbuje uciekać. Szkoda, dopadliby go z Chudym i wpakowali w niego całe magazynki. Magier aż się uśmiechnął do siebie na tę miłą myśl. Szef kazał zlikwidować „na pewniaka”, nie ma wyjścia. Pędzili tu na łeb na szyję z Bydgoszczy, ale zdążyli.

Kiedy trafił dziennikarza, chciał wyjść, ale teraz postanowił, że jeszcze trochę poczeka. Tamten ma broń, nigdy nic nie wiadomo. Kłopot w tym, że ta jego kobitka znowu gdzieś wyskoczyła. Nie szkodzi, babę zawsze złapią gdyby próbowała prysnąć. Chudy ją dopadnie albo Klapcyngier zdejmie z góry kałachem na polanie, wszystko jedno. A jednak szybka dziwka, cholera... albo farciara. Z gnata waliła niekulawo. W sumie nie dziwił się, że uciekła. Każda baba by uciekła. A na dziennikarza się poczeka. Jak się wykrwawi, to łeb wystawi.

Postanowił, że jeszcze posiedzi w tych krzakach, choć mech, na którym przykleknął, był lekko wilgotny i czuł, że spodnie na prawym kolanie już mu przemokły. Wiatr wiał na tyle mocno, że co pewien czas drobne gałęzie spadały z drzew. Sprawiało to wrażenie, że jakieś małe zwierzę przebiega szybko, zawadzając o gałązki młodych roślin.

Klapcyngier znowu puścił serię do samochodu.

Po jakiego, kurwa, marnuje naboje, przecież on już dawno jest w tym dole!

Pełno tu takich lejów po pociskach, jeszcze z czasów wojny. Zarośnięte, ale są.

Znow seria, tym razem z drugiej strony. Chudy. Pewnie zdjął tę małą. Cicho siedział, a teraz musi kobitka już sztywna. Dobrze jej tak. Co się pcha, gdzie nie jej miejsce.

Magier nie bał się, że mogą przyjechać gliny. Do wsi daleko, droga przez las, wiatr silny, nikt nie usłyszy. A nawet gdyby kto usłyszał, pewnie pomyśli, że to jakaś zabawa. Nie, psy nie przyjadą. Szef ma układy u glin, na pewno jest bezpiecznie.

Podniósł swojego glocka, bo wydawało mu się, że pismak się wychylił. Żałował, że nie ma karabinu, jak Klapcyngier i Chudy. Trudno, dwa tylko były. Klamka na takie gównu jak ten śmierdziel tam, w rowie, wystarczy. Strzelił dwa razy. Chyba nic z tego. Pismak nadal tam siedzi i dycha.

Skończył mu się magazynek. Sięgnął do kieszeni i wyjął drugi. Kiedy usiłował włożyć go do pistoletu, poczuł błyskawiczne szarpnięcie z tyłu. Jakaś dłoń chwyciła go za twarz. Niezbyt silnie, ale jakoś tak, że nie mógł się wyrwać. Ułamek sekundy później długie, chłodne ostrze noża wniknęło pod lewą łopatkę i z chirurgiczną precyzją dotarło do serca. Wściekłość i przerażenie to ostatnie, co poczuł Magier.

Ultra powoli, cicho opuściła martwego już zabójcę na ziemię. Zaatakowała go szybko. Był niski, ale krępy i z pewnością silniejszy od niej, więc wołała załatwić to błyskawicznie. Magazynek, którego nie zdążył włożyć do pistoletu, upadł na mech, nie wydając żadnego dźwięku. Wiedziała, że drugi strzelec jest kilkadziesiąt metrów dalej, w stronę wsi, i że ma karabin. Trzeci siedzi w domu na piętrze i nie jest dla Adama groźny. Z tamtego miejsca z pewnością nie widać rowu, w którym dziennikarz wciąż na szczęście tkwił. Agentka dotknęła jeszcze szyi leżącego na ziemi, aby się

upewnić, że nie żyje, i niemal bezszelestnie ruszyła w stronę drugiego strzelca.

Adam zdziwił się, że seria, którą usłyszał od lasu, nie była w ogóle skierowana w jego stronę. Zaczął się niepokoić, że Ultra może mieć poważne kłopoty. Bał się jednak wychylić z rowu, choć cały czas nasłuchiwał i obserwował wszystko, co znajdowało się w zasięgu wzroku. Ziął i mimo woli trzął się, co było wyjątkowo nieprzyjemne. Nastąpiła cisza, a on nie wiedział, jak ją interpretować. Facet z góry po oddaniu ostatniej serii do samochodu zamilkł i najprawdopodobniej czekał na okazję. Kniewicz nie miał pojęcia, jaka jest taktyka takich płatnych morderców. Dziwił się, dlaczego nie ruszą w jego stronę, jak na filmach, i zwyczajnie go nie załatwią. Spojrzał na drogę.

Samochód wyglądał, jakby go przejechał pociąg. Szyby, mimo że kuloodporne, przepuściły część pocisków, co również zdziwiło Adama, jednak nie miał teraz czasu zastanawiać się nad tym.

W chwilach takiego napięcia zwykle ma się wrażenie, że czas płynie błyskawicznie, a tymczasem jemu każda sekunda wydawała się rozciągnięta jak w psychodelicznym obrazie stworzonym w umyśle kogoś, kto bardzo potrzebuje odpoczynku.

Rzucił okiem na plecak, z którego kilka chwil wcześniej Ultra wyjmowała różne dziwne przedmioty i upychała je w niezliczonych kieszeniach spodni i bluzy. Z niemałym wysiłkiem przyciągnął go do siebie. Niestety, nie znalazł niczego, co choć przypominałoby opatrunek. Wyjął w końcu białą złożoną kilka razy szmatkę, która sprawiała wrażenie czystej, i rozdarł na dwie części. Poluzował pasek spodni, który przyciskał gazę u wlotu kuli, i przyłożył szmatkę do rany wylotowej, a całość ścisnął ponownie paskiem. Ból, który poczuł nawet w piętach, spowodował, że aby nie krzyknąć, musiał ścisnąć zębami skórzany tobołek. Nagle przypomniał sobie, że jego uwagę zbytnio przyciąga rana, a przecież wciąż grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Oderwał wzrok od plecaka Ultry i ponownie zaczął uważnie, choć nieco chaotycznie rozglądać się dookoła, cały czas pilnując, aby nie wychylić zbytnio głowy z rowu.

Po raz pierwszy, odkąd tu przyjechali, spojrzął na zegarek. Nic mu to nie pomogło, a tylko znowu przypomniało, że Ultra od bardzo dawna nie daje znaku życia.

Chudy wiedział już, że samochodem nie uciekną zaczął więc powoli przesuwać się między drzewami ku zagłębieniu, w którym wciąż powinien tkwić dziennikarz. Nie ulegało wątpliwości, że nawet jeśli ma broń, w starciu z nim nie ma najmniejszych szans. Niepokoiła go wyłącznie dziewczyna. Szybko zorientował się, że nie znalazła się tu przypadkowo i najprawdopodobniej jest zawodowcem. Był to jedyny powód, dla którego posuwał się tak wolno. Karabin trzymał w pogotowiu, gotów w każdej chwili odeprzeć atak, i wsłuchiwał się uważnie we wszystkie dźwięki dochodzące z lasu. Niestety było ich bardzo wiele, a wiatr z pewnością nie ułatwiał mu zadania.

Wszystko spieprzyło się przez tego łysola, pomyślał, przeklinając po cichu. Gdyby nie gadał z nimi, poczekałoby się spokojnie, aż wysiądą z samochodu, i byłoby po sprawie.

Znów usłyszał kilka odgłosów lasu.

Cholerny wiatr, pomyślał, jeszcze tylko brakuje, żeby deszcz zaczął padać.

Ultra miała Chudego na muszce przynajmniej od pół minuty. Znalazła go łatwo.

Nie zmienił zbytnio położenia, odkąd strzelał do niej, kiedy przebiegała przez drogę. Strzały były spóźnione i nie zagrażały agentce, gdyż szybko zniknęła między drzewami po tej samej stronie lasu, po której znajdował się strzelec. Byli zbyt daleko od siebie, aby mógł ją widzieć w mroku.

Teraz, stojąc może dwadzieścia metrów za nim, celowała w prawą dłoń. Było to szczególnie trudne, gdyż idący wolno cel wciąż zasłaniał dłoń plecami. Lewa, tylko podtrzymująca karabin, była dużo mniej istotna.

Nie chciała go zabić. Potrzebowała informacji o pozostałych przeciwnikach, choć była prawie pewna, że zostali już tylko on i strzelec z leśniczówki. Zrobiła ostrożnie kilka kroków do przodu. Mech, który był w tych okolicach wszechobecny, pozwalał niemal bezszelestnie poruszać się po lesie, za co Ultra gorliwie dziękowała w myślach Bogu.

Ku jej przerażeniu strzelec zaczął się powoli odwracać. Nie miała wyjścia – błyskawicznie wymierzyła w głowę, wychodząc zza drzewa. Nie było już sensu się ukrywać, bo najprawdopodobniej odkrył jej obecność, a utrudniałoby to tylko precyzyjny strzał. Na ułamek sekundy ich oczy się spotkały. Nawet to jednak wystarczyło Chudemu, aby zorientować się, że nie ma szans. Ultra spokojnie nacisnęła spust. Tłumik zdusił huk, tak że dało się usłyszeć tylko coś w rodzaju stęknienia.

Karabin wypadł z rąk Chudego. Na jego twarz zaczęła coraz gęstszym strumieniem wypływać krew z rany na czole. Wciąż stał, ale Ultra opuściła już broń. Była pewna, że bandyta nie żyje.

–Cholera! – Uderzyła ze złością dłonią w drzewo.

Chwilę stała w miejscu, po czym podeszła do Chudego. Ostatnie drgawki zdradzały koniec agonii. Podniosła z ziemi kałasznikowa i ruszyła po Adama.

Przebiegnięcie przez drogę nie było niebezpieczne, jeśli przyjąć, że pozostał już tylko strzelec w domu. Ultra znajdowała się za zakrętem, a piętro nie było zbyt wysokie. Problem tylko w tym, czy przypadkiem nie poluje na nich ktoś jeszcze, kto do tej pory nie dał o sobie znać. Na razie nic na to nie wskazywało, a Ultra bez przeszkód dotarła do rowu, w którym ukryty był Kniewicz.

Dochodzące z rowu hałasy, które słychać było przynajmniej w promieniu dwudziestu metrów, zirytowały agentkę, choć z drugiej strony uspokoiły. Najwidoczniej rana okazała się niegroźna.

–Ultra, to ty? – Bezradność Adama rozbawiła dziewczynę.

–Ja, nie strzelaj. – Jej głowa ukazała się nad rowem. – Zbieraj się, przejdziemy się do tej budy.

–Żartujesz?!

–Nie żartuję. Możesz iść?

–A tamci?

–Chwilowo niegroźni, przynajmniej do godziny duchów.

–Jezu, zabiłaś tych facetów?!

–A co, szkoda ci ich?!

Kniewicz nie odpowiedział. Wolno wygramolił się z dołu.

–No i jak? – spytała cicho Ultra.

–Trochę boli, ale dam radę.

–Posłuchaj, idź blisko mnie, wolno i jak najciszej. Broń Boże nie zbliżaj się do skraju lasu, bo cię ten gnój z góry zauważy. Nie chcę się reklamować, zanim to nie będzie konieczne. Musimy go zająć od dupy strony. Tamtędy. Łapiesz?

–Ładny karabin.

Agentka wyszła z założenia, że ironia jest teraz nie na miejscu, więc ruszyła bez słowa w kierunku, który wskazała, uważnie się rozglądając.

Po kilku minutach bez przeszkód dotarli do budynku. Przyłgnęli do bocznej ściany, nasłuchując odgłosów z wnętrza.

–Ten facet może już być gdzie indziej – szepnęła dziewczyna

–Wyszedł z domu?

–Nie wiem, mam nadzieję, że nie.

Po chwili strzelec, być może zaniepokojony ciszą, puścił kolejną serię w kierunku drogi.

–Kretyn – mruknęła Ultra.

–Wchodzimy? – spytał najciszej jak mógł Adam.

–Wchodzimy.

Strzały z okna wskazywały, że trzeci bandyta wciąż tkwi na piętrze. Ultra dała znak Adamowi, aby poczekał moment pod ścianą, a sama zaczęła szybko przemieszczać się w kierunku drzwi. Kniewicz nie mógł się nadziwić, jak można tak cicho się poruszać. Kilka sekund później, na znak agentki, sam najciszej jak potrafił dołączył do dziewczyny.

–Zostań tu – szepnęła mu do ucha, tak że ledwie się zorientował, o co chodzi. Nęcący zapach jej perfum zdziwił go. Cała ta sytuacja nie pasowała do gustownego zapachu, którego nie potrafił skojarzyć z żadną znaną mu firmą.

Strzelec zachowywał się dość głośno, więc nietrudno było się zorientować, z którego miejsca obserwuje wydarzenia za oknem. Najprawdopodobniej nie zdawał sobie w ogóle sprawy z tego, że grozi mu niebezpieczeństwo. Klą co chwila, przestawiał krzesło, bawił się jakąś puszką co uspokoiło Ultrę. Nikłe, mrugające światło oznaczało, że zapalił świeczkę.

Przeszkodą okazało się zupełnie co innego – stare schody, dobrze widoczne przez otwarte drzwi. Z pewnością zaczęłyby skrzypieć pod jakimkolwiek ciężarem. Ultra wolno zbliżyła się do pierwszego stopnia. Nie były zbyt długie i na szczęście nigdzie nie zakręcały. Na końcu nie widać było nikogo, co trochę ułatwiało dziewczynie sprawę, wskazywało bowiem na to, że strzelec jest w głębi. Pozwoliło jej to lepiej przygotować się do ataku, który w tym wypadku mógł się powieść wyłącznie z zaskoczenia.

Mocniej chwyciła pistolet i oparła delikatnie dłoń na poręczu. Czekiła. Przeczucie jej nie zawiodło. Usłyszała odgłos stawianej na podłodze broni.

Oparł ją o ścianę przy oknie, pomyślała. Tak czy owak, musi być teraz gdzieś pod ścianą.

Wstrzymała oddech. Szybko obliczyła, ile skoków na schodach ma do wykonania, i odbiwszy się mocno, wylądowała od razu na czwartym stopniu.

Trzy błyskawiczne ruchy i była na górze. Dostrzegła go natychmiast. Zdążył się odwrócić, ale był tak zaskoczony, że na chwilę znieruchomiał. Ultra szybko wycelowała. Mimo to bandyta rzucił się w kierunku broni nierozważnie zostawionej pod oknem.

–Na głebę!!! – wrzasnęła agentka, ale odwrócony tyłem mężczyzna nie zareagował i zdążył chwycić karabin.

Ultra strzeliła dwa razy. Klapcyngier upadł twarzą do podłogi niemal w tej samej chwili, choć nie wypuścił broni. Agentka w jednej sekundzie była przy nim. Kolanem przygniotła brutalnie jego plecy na wysokości łopatek, natomiast grubą podeszwą buta mocno kopnęła leżącą na podłodze, ale wciąż trzymającą kałasznikowa dłoń. Potworny okrzyk bólu przeraził Adama, który był już na górze, gotowy pomóc w razie problemów. Widząc, co się dzieje, podszedł możliwie najszybciej do walczących. Od kilku minut miał zawroty głowy, a do migających przed oczami ciemnych plamek zdążył się już przyzwyczaić. Gaza tamująca krew zaczynała powoli przesiąkać. Opadł kolanami na plecy Klapcyngiera. Ultra wyjęła z kieszeni kurtki coś na kształt kajdanek. Od zwykłych różniły się niewielkim pokrętle, stanowiącym najpewniej dźwignię do zacisku. Zatrzasnęła je na prawym nadgarstku Klapcyngiera. Pomoc Adama na niewiele się zdała, ponieważ opadł już niemal zupełnie z sił, ale za to bandyta nie stawiał specjalnie oporu. Agentka przyłożyła mu pistolet do skroni i kazała się odwrócić na wznak. Klapcyngier wciąż jęczał z bólu, ale z niemałym trudem wykonał polecenie, zadowolony, że może zobaczyć twarz napastnika.

–Kim ty, kurwa, jesteś?! – wyjęczał, krzywiąc się z bólu.

–Policja, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, biuro Miss Polonia, co ci bardziej pasuje?! – warknęła Ultra, zaciskając nieco dźwignię przy kajdankach – Ilu was tutaj jest?!

–Pierdol się! Już jesteś martwa! Tam na dole jest dwóch zawodowców, którzy nigdy nie dadzą ci stąd wyjść! – rzucił przez zęby Klapcyngier.

–Tamtych dwóch nie żyje, tępaku. Ja cię pytam o resztę. – Opanowanie Ultry znów przeraziło Kniewicza.

Z niewiadomych względów Klapcyngier natychmiast uwierzył dziewczynie. Jego oczy rozszerzyły się, zdradzając przerażenie.

Ultra mocniej przekręciła dźwignię. Bandyta zawył z bólu.

–Posłuchaj – powiedziała lodowato. – Najpierw połamię ci nadgarstki, potem kolana, a później zacznę łamać każdy palec z osobna i tak dalej. Wiesz, ile człowiek ma kości?

–Nie! – Klapcyngier rzucił krótkie spojrzenie na Adama. – Powiedz jej! Jesteś dziennikarzem! Ona chce mnie zabić, a funkcjonariuszowi państwowemu nie wolno robić takich rzeczy!!! Lekarza!

Agentka znów obróciła dźwignię. Krzyk mężczyzny przypominał coraz bardziej

wycie błagającego o litość. Adam poczuł mdłości.

–Było nas tylko trzech, przysięgam!!! – zacharczał Klapcyngier.

Ultra zwolniła nieco zacisk.

–Kto was wynajął?

–Chcę adwokata... Nie możesz mnie zabić...

–Mylisz się – odpowiedziała spokojnie. – Wiesz, co to są uprawnienia „Al”? Mogę zlikwidować każdego, kto stanie mi na drodze. Kto was tu przysłał?

–Lekarza...

–Mów!

–Nic nie wiem!!! – wrzasnął przeraźliwie bandyta, bezskutecznie usiłując się wyrwać.

Ultra chwyciła błyskawicznie palec wskazujący mężczyzny i jednym ruchem złamała go.

Gardłowy krzyk Klapcyngiera przeplatał się z łkaniem przypominającym skowyt dobijanego zwierzęcia. Adam odczołgał się metr dalej i zwymiotował.

–Szef... aaa!... pracuje dla jakiegoś pierdolonego ważniaka... – Przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć powietrza. – Ma układy, i to wysoko. Zadzwoił dwie godziny temu... duszę się... pomóż mi... tylko... robię... wezwiesz lekarza? Błagam... – Jego mowa zamieniła się w przeciągły charkot.

–Wezwę. Nazwisko szefa...

Ultra zbliżyła się do twarzy leżącego, ale dojrzała tylko nieznaczne przeczenie głową. Klapcyngier znieruchomiał. Agentka dotknęła palcami jego szyi w miejscu, gdzie przechodzi tętnica, i zwiesiła głowę. Uwolniła jego rękę, schowała kajdanki do kieszeni i wstała. Kniewicz z trudem usiłował podnieść się z kolan. Dziewczyna szybko podeszła do niego i pomogła mu się dźwignąć.

–Oprzyj rękę na moim ramieniu. Idziemy stąd – szepnęła. – Pewnie jest tu gdzieś jakiś samochód, czymś musieli przyjechać.

Zejście ze schodów zajęło im sporo czasu. Na dole Ultra posadziła Adama na krześle i wcisnęła mu do ręki pistolet, który upadł przed chwilą na podłogę.

–Na wszelki wypadek – powiedziała, szukając czegoś wzrokiem.

Zniknęła za drzwiami.

–Dokąd idziesz? – Kniewicz próbował spytać trochę głośniej i wyraźniej, niż mu wyszło, ale dziewczyna chyba już tego nie usłyszała.

Wróciła po kilku minutach.

–Samochód zupełnie zniszczony, sprzęt też. Wiem tylko, że ktoś próbował się z nami połączyć, i to bardzo niedawno.

–Nie możesz do nich jakoś... zadzwonić?

–Potem. Teraz muszę cię gdzieś zawieźć. Nie wytrzymasz do Warszawy, ale mam pewien pomysł. W garażu jest samochód, byłam tam teraz. Musi nam na razie wystarczyć. Poczekaj tu jeszcze chwilę.

Garaż był otwarty, podobnie jak stojący tam czarny, sportowy ford. W stacyjce nie było kluczyków. Ultra otworzyła maskę i zwarła kable. Silnik zapalił. Wskoczyła za kierownicę i podjechała pod wejście do willi. Szybko wysiadła, aby pomóc

Kniewiczowi.

Adam wczuł się do fonda i ciężko opadł na fotel. Agentka zamknęła za nim drzwi, usiadła za kierownicą i szybko odjechała.

–Wytrzymasz? – W jej głosie czuć było zmęczenie. – Za godzinę dojedziemy do ludzi, którzy nam pomogą.

–Nie martw się – szepnął.

Wyjechali z leśnej drogi na asfalt. Dziennikarz nadludzkim wysiłkiem odwrócił głowę w stronę dziewczyny.

Zdołał dostrzec, jak duża, nieznośna łaza przemierzyła jej policzek, aby spaść na kurtkę i zniknąć mu z pola widzenia. Jej usta były mocno zaciśnięte. Patrzył tak przez chwilę, próbując dotknąć ją ręką gdy nagle poczuł, że jego powieki stają się ciężkie. Stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 4

Uderzenie było tak silne, że Sulig spadł z niewielkiego metalowego stołka i twardo wylądował na podłodze. Prawy policzek zaczął mu szybko puchnąć, a ból był tak obezwładniający, że nie próbował nawet podnieść wzroku. Po chwili jednak dźwignął się, aby usiąść na zimnej posadzce. Ukrył twarz w dłoniach i cicho jęknął. Oczy miał lekko przymrużone, choć w pomieszczeniu nie było zbyt jasno. Palila się tylko jedna, brudna żarówka nie ozdobiona nawet kloszem.

Bauer, widząc wściekłość na twarzy Krentza, wołał na razie się nie odzywać. Podrapał się tylko w miejsce pośrodku czoła, które w ogóle go nie swędziało, i starał się nie patrzeć na Suliga. Wreszcie uniósł się ciężko i wolno podszedł do drzwi. Spojrzał jeszcze w stronę pułkownika, aby się upewnić, czy nie jest mu potrzebny, i wyszedł.

Więzień utkwiał wzrok w podłodze i zacisnął zęby. Pułkownik cierpliwie czekał, aż cisza wyprowadzi Suliga z równowagi. Obserwował go uważnie, notując każdą zewnętrzną oznakę zdenerwowania. Obfity pot na czole, drżenie rąk, szybszy oddech były nie do ukrycia, co stanowiło dla przesłuchiwanego dodatkową torturę. Mężczyzna był niski i chudy, ale można było odnieść wrażenie, że teraz skurczył się jeszcze bardziej. Brudny niebieski garnitur wisiał na nim jak na strachu na wróble. Wolno, nie patrząc na pułkownika, zdjął marynarkę i położył ją na podłodze.

Krentz podszedł niespiesznie do drzwi, raz jeszcze przyjrzał się uważnie więźniowi i wyszedł z celi, nieznacznym gestem dając do zrozumienia dwóm śledczym, by kontynuowali. Przemierzył kilkadziesiąt kroków korytarzem i wszedł do swojego pokoju. Nie miał zbyt dużego gabinetu, ale nigdy nie lubił wielkich – jak je nazywał – „ministrówek”, kojarzących mu się z marnotrawstwem urzędników państwowych. Miejsce, w którym pracował, wydawało mu się przytulne, miłe i praktyczne. Pod ścianą na prawo od drzwi, stało biurko z wygodnym fotelem. Po drugiej stronie znajdowała się skórzana kanapa dla gości, tuż obok szafki z dokumentami i wieszaka na ubrania. Takie wyposażenie, zdaniem pułkownika, całkowicie wystarczało.

Zerknął jeszcze na leżące na biurku zdjęcia, na których widać było, jak Sulig rozmawia z dwoma mężczyznami, i ukrył twarz w dłoniach, wciąż cicho przeklinając.

Major Bauer siedział za ścianą i sączył piątą tego dnia kawę. Nie spał od tak dawna, że nie zdawał sobie nawet sprawy, która godzina.

Drzwi się otworzyły i usłyszał za plecami głos porucznika:

–Panie majorze...

Odwrócił się leniwie.

–Kaj! Dobrze, że jesteś. Co nowego?

–Ultra dzwoni

–Dawaj ją. – Bauer podniósł słuchawkę na swoim biurku i zaczął czekać, aż porucznik go przełączy. – Mów.

–Sprzęt zniszczony, świadek ranny, ale bezpieczny, ukryję go u białych – usłyszał głos Ultry.

–Cholera! Niech tam zostanie. Dalej!

–Wieś Dąbki, kwadrat F-117. Numer domu 28. Jest tam duży nieporządek.

–Zrozumiałem.

Czekał na ciąg dalszy meldunku, ale przez chwilę słyszał tylko ciężki oddech agentki. Minęło dobre kilka sekund, zanim odezwała się ponownie.

–Majorze, co tu się dzieje? Co to za ludzie?

–Zostaw świadka u białych i wracaj po sprzęt do Centrum. Jeszcze nie wiemy wszystkiego.

–Zrozumiałam, wykonuję.

Ultra przerwała połączenie.

Major któryś już raz tego dnia pokręcił z niedowierzaniem głową. Wyjął z biurka dokumenty i szybko coś na nich zapisał.

–Kaj! – krzyknął przez drzwi.

W progu ponownie zjawił się młody porucznik.

–Tak jest, panie majorze.

Bauer podał mu teczkę.

–Zajmij się tym.

–Tak jest, panie majorze.

Bauer wciągnął głęboko powietrze. Do gabinetu powoli wszedł Krentz, mijając się z Kajem.

–Co z Suligiem? – spytał major.

–Pracują nad nim. Co z Ultrą?

–Nie uwierzysz. – Bauer podał mu kopię dokumentów, które przed chwilą wypełnił.

Krentz spokojnie odłożył akta i przeszedł się po gabinecie.

–Na ile Sulig nam zaszkodził? – spytał po chwili major.

–Tak naprawdę nigdy nie pracował w agencji, był na to za mało bystry. To zwykły trep, wykorzystywany czasem do różnych operacji. Niewiele wiedział, ale pewnie trochę nabruździł.

–Ci kolesie na zdjęciach z nim to na pewno ludzie Szczękusia?

–Na pewno.

Bauer pokręcił głową z niedowierzaniem.

–Porywają Suligowi żonę, szantażują go, on pracuje dla nich. Tylko po co im taki Sulig? Przecież to pionek.

–Ale miał z nami kontakt. – Krentz podniósł nieznacznie wzrok. – Wiesz, co mnie najbardziej niepokoi?

–Domyślam się.

–No właśnie. Ktoś o takich możliwościach, kto bez mrugnięcia zabija polityków, wie o naszym istnieniu i ma to w dupie. Złamali Suliga, jak chcieli. Zaskoczyli Ultrę, więc u rodziców dziennikarza musiał być podsłuch.

–Kto tak szybko jest w stanie znaleźć adres i założyć podsłuch...?

–Tylko ktoś, kto pracuje dla rządu lub podległej mu komórki.

–Właśnie. Czyli siedzimy po pachy w gównie.

Krentz opadł na kanapę.

–Ci ludzie mają ogromne możliwości w całym kraju. Są szybcy, świetnie poinformowani i trzeba przyznać, dość cwani...

–Co zrobisz z Suligiem? – Bauer zadał to pytanie dość obojętnym tonem.

–Nie wiem, to teraz nieważne. Ważny jest dziennikarz, jego rodzina i Ultra. Ale najważniejszy jest... kurier.

Adam obudził się w wygodnym łóżku. Od razu uderzył go silny, choć miły i – zdawało mu się – znajomy zapach. Otworzył z trudem oczy, próbując się rozejrzeć. Zaskoczyło go, że pokój jest urządony w całości na biało. Nie było nawet jednego mebla w innym kolorze. Z pewnością jednak nie znajdował się w szpitalu. Wszystko sprawiało wrażenie bardziej przytulnego i przyjaznego, co od razu mu się spodobało. Jego uwagę przykuły trzy obrazy wiszące na przeciwległej ścianie. Stanowiły piękny kontrast dla konsekwentnej aż do bólu bieli otoczenia.

Pierwszy, dość duży, miał może metr na półtora i przedstawiał kulę ziemską zawieszoną w przestrzeni wyobrażonej raczej jako rodzaj świetlistej energii niż materii. Zwykle Ziemia przedstawiana jest jako niebieska elipsoida w otoczeniu sąsiednich planet, a w dalszej perspektywie – gwiazd. Tu otaczały ją strumienie światła układające się w okręgi, na których widniały wizerunki znanych postaci religijnych: Jezusa, Buddy, Mahometa. Podobizn tych było więcej, ale Adam nie potrafił wszystkich rozpoznać.

Na drugim obrazie w białą postać siedzącą tyłem do widza biło energetyczne światło, którego źródło znajdowało się gdzieś wysoko, w przestrzeni.

Trzeci obraz przedstawiał parę, chyba małżonków. Byli przepięknie, bogato ubrani, wyraźnie w stylu dalekowschodnim.

Adam przypomniał sobie, że zapach unoszący się w pokoju zna z hinduskiego sklepu, do którego wpadał czasem w drodze z pracy, aby kupić coś ładnego Marcie.

O Boże, mam nadzieję, że nie wejdzie tu zaraz święty Piotr i nie zabrzęczy kluczami, pomyślał, mimo woli szczypiąc się lekko w dłoń.

Odchylił kołdrę. Na wysokości pasa owinięty był bandażem podtrzymującym kilka dość dziwnych materiałów opatrunkowych, których nie potrafił nazwać. Zauważył, że nie czuje silnego bólu, ale jest zbyt słaby, by wstać. Lekkie uniesienie głowy uznał za wystarczający w obecnej sytuacji wyczyn i dowód na to, że jednak wciąż żyje.

Poczuł miły spokój. Choć nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, ufał temu miejscu i jeśli można to tak nazwać – było mu mimo wszystko dobrze.

Lekko chrząknął, aby usłyszeć swój głos.

–La, la, la – zaśpiewał.

Wciąż próbował usłyszeć jakieś dźwięki, które mogłyby dochodzić zza drzwi. Na próżno. Było tak cicho, że postanowił jeszcze cicho sobie pośpiewać. Po chwili jednak poczuł znużenie i zasnął.

Stary, wysłużony ford scorpio jechał dość szybko jak na swoje możliwości w stronę Poznania. Janti wiedziała, że agentce zależy na tym, by zdążyć na samolot kilka minut po dwudziestej. Ultra niemal na pamięć znała rozkłady lotów w całej Polsce. Miała specjalne stałe upoważnienie, pozwalające bezpłatnie i bez ograniczeń podróżować LOT-em. Nie wyróżniało jej to specjalnie wśród pasażerów, takie

bezpłatne bilety posiadało bowiem wiele osób, na przykład posłowie, senatorowie, wysocy urzędnicy administracji państwowej, a nawet niektórzy pracownicy linii lotniczych i ich rodziny. Tacy ludzie wsiadali do samolotu bez względu na liczbę sprzedanych biletów, nie wzbudzając szczególnego zdziwienia wśród obsługi.

–Dacie sobie z nim radę? – spytała nagle Ultra.

–Na pewno. – Janti uśmiechnęła się lekko, uchylając okno. – Szybko z tego wyjdzie, to drobiazg.

–Chwilami może być kłopotliwy, to dziennikarz. Skręć tutaj. – Ultra wskazała najbliższy zjazd z drogi ekspresowej. – Będzie bliżej do lotniska.

Janti zmieniła pas i wjechała ślimakowatą drogą na niewielką szosę, którą agentka знаła od bardzo dawna i z której często korzystała. Oszczędzała na tym skrócie co najmniej dziesięć minut.

–Lubisz go? – spytała po chwili Janti.

–Słucham? – Ultra spojrzała na towarzyszkę podróży, udając zamyślenie.

–Bardzo go lubisz – stwierdziła spokojnie kobieta.

–Co ty opowiadasz? Przecież ja go prawie w ogóle nie znam.

–Znasz go. Potrafisz w kilka minut prześwietlić człowieka jak rentgen.

–Proszę cię...

–Kiedy wrócisz? – Janti zmieniła szybko temat.

–Postaram się jak najszybciej, tylko go nie nawracajcie.

–Każda dusza szuka ścieżki. – Janti uśmiechnęła się niewinnie, spoglądając nabożnie w niebo.

–Chryste, ratuj biednego pismaka przed tymi pijawkami – jęknęła Ultra.

–Kiedy się skontaktujesz?

–Jutro. Wy do mnie nie dzwońcie.

–Nie ma sprawy. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

–I tak mam u ciebie zbyt duży dług.

–Nikt nie ma u mnie żadnych długów, a już szczególnie ty.

Ultra się zamyśliła. Resztę drogi do lotniska spędziły w milczeniu. Gdy dojechały, agentka sprawnie wyskoczyła z samochodu, wzięła torbę z bagażnika, machnęła ręką na pożegnanie kobiecie w białej sukni i ruszyła w stronę wejścia. Po chwili zatrzymała się i dostrzegłszy, że Janti również wysiada, szybko wróciła, aby mocno ją uściskać. Potrzebowała tego, zwłaszcza teraz.

–*Om shanti*, Ultra.

–*Om shanti*.

–Ale lubisz go?

–Pilnuj go dobrze, Janti.

Adam ponownie obudził się po trzech godzinach. Tym razem wyraźnie usłyszał lekki szmer za drzwiami. Był pewien, że jakieś osoby krzątają się w sąsiednich pokojach i na korytarzu. Tak naprawdę, właściwie nie wiedział, co się znajduje za drzwiami. Ostatnia rzecz, jaką dobrze pamiętał, to utrata świadomości w samochodzie. Później, jak przez mgłę, kojarzył, że ktoś go gdzieś przenosił. I to wszystko. Reszta to sen. Zerknął na stolik, z którego zniknęła szklanka wody.

A więc jednak ktoś tu był, kiedy spałem, pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Lekko drgnął. Drzwi się otworzyły i pojawiła się wysoka, smukła, ubrana całkowicie na biało kobieta. Jej jasne włosy spadały na ramiona, a oczy wyrażały głęboki spokój. Była z pewnością starsza od Adama, ale na jej twarzy nie zdążyły się jeszcze pojawić zmarszczki. Nie można było powiedzieć, że jest piękna, ale naturalna dostojność od pierwszego wejrzenia czyniła z niej postać niezwykle interesującą.

Ujrawszy, że Adam jest przytomny, podeszła do niego, uśmiechając się ciepło.

Kniewicz poruszył się nieznacznie na łóżku.

–Dzień dobry... pani. – Zdołał się lekko ukłonić.

–Nazywam się Janti. Wszyscy tu mówimy sobie po imieniu.

Adam próbował usiąść, ale szybko zrezygnował z tego bolesnego pomysłu. Wciąż jednak uważnie przyglądał się smukłej kobiecie.

–Widzę, że coś cię niepokoi... – uśmiechnęła się ponownie.

–Nie, ja tylko... Ciekawe imię...

–Wychowałam się w Indiach. Jak się czujesz? – Jej uśmiech mógł być czymś w rodzaju flirtu rzeźby z oglądającym ją przechodniem.

–Chyba nieźle – odrzekł wolno, przyglądając się ubranej na biało Janti, która ciągle stała nad nim. Marzył o tym, aby wreszcie usiadła. – Przepraszam... gdzie ja właściwie jestem?

–Zanim ci wszystko wytłumaczę, chcę, abyś wiedział, że to bardzo bezpieczne miejsce. Byłeś w nie najlepszym stanie, ale kula nie naruszyła żadnych organów. Po prostu przeszła ci mięśnie i tkankę tłuszczową. Gdybyś nie wiedział, to powiem ci, że to dobra wiadomość.

–Bardzo dziękuję. Naprawdę jestem wdzięczny. – Adam z ulgą zauważył, że kobieta wreszcie usiadła.

–Dostałeś kilka płynów w kroplówce. Mikroelementy, witaminy, płyny ustrojowe. To wszystko uzupełniło braki w twoim organizmie spowodowane utratą krwi.

–Dużo krwi straciłem?

–Na tyle dużo, że przez pewien czas byłeś nieprzytomny. Teraz nic ci już nie grozi.

–Była ze mną kobieta...

–Wróci za kilka dni. Ma trochę spraw do załatwienia.

Mimo że Adam nie zmienił wyrazu twarzy, Janti wyczuła, że wiadomość ta zaniepokoiła go. Wyraźnie zaczął jeszcze uważniej jej się przyglądać, co pewien czas tylko rzucając okiem po pokoju.

Szybko wyjęła zza białej szaty niewielką kopertę.

–To list od niej – powiedziała spokojnie, choć z pewnym naciskiem na „od niej”.

Adam powoli wyciągnął rękę po kopertę, a następnie wyjął z niej kawałek papieru.

Ultra miała pismo niewyraźne, niedbałe, choć zamaszyste. Stwierdził, że nieładnie byłoby czytać przy kimś prywatną korespondencję, więc postanowił, że rozszyfrowaniem bazgrołów agentki zajmie się później. Był pewien, że list napisała Ultra. Widział w samochodzie kilka jej papierów i notatek. Charakter pisma miała raczej nie do podrobienia, bo chyba nawet niewidomy pisałby wyraźniej.

–Teraz cię zostawię. Na razie nie wolno ci wstawać – powiedziała Janti i ruszyła w stronę drzwi.

–Nie wolno?

–To prośba. Nie nadajesz się jeszcze do przenoszenia gór.

–Chciałem tylko od czasu do czasu pójść sam do łazienki...

–Pod łóżkiem masz wszystko, czego ci potrzeba. Odpoczywaj.

Biała postać zniknęła za drzwiami, nim Adam zdążył jeszcze cokolwiek powiedzieć.

W nocy nie mógł zasnąć. Nowe miejsce ekscytowało go i ciekawiło. Nie bał się już kłopotów z raną ani tego, że w najbliższym czasie może mu grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Czuł, że jest bezpieczny, a list Ultry utwierdził go w tym przekonaniu. Pisała, że musi załatwić kilka spraw, a on nabrać sił. Ludzie, u których go zostawiła, to jej długoletni przyjaciele, całkowicie zaufani.

Są trochę dziwni, ale się nie przejmuj. To wspaniali ludzie. Pomogli mi swego czasu przemyśleć kilka spraw, dzięki czemu stanęłam na nogi, co wówczas było bardzo ważne. Prawdę mówiąc, żyją nieco w chmurach, ale na swój sposób są bardzo mądrzy i dzięki temu czują się naprawdę szczęśliwi. Jedzą dziwne rzeczy i pewnie będą cię namawiali, żebyś jadł to z nimi, ale zaufaj im – nieźle pichcą. Trochę cierpliwości, a na pewno zaczniesz to smakować. Cokolwiek sobie pomyślisz, pamiętaj: oni zawsze kontrolują sytuację i wbrew pozorom mają naprawdę równo „pod sufitem”.

Na koniec poważnie. Pod żadnym pozorem nie opuszczaj tej kryjówki. Tu jesteś bezpieczniejszy niż pod biurkiem prezydenta w Pałacu Prezydenckim. Trzymaj się.

U.

Mimo że litery przypominały hieroglify pijanego Egipcjanina, udało mu się wszystko odczytać. Przestudiował list kilkakrotnie. Właściwie nie miał nic do roboty, a czuł się dobrze tylko wtedy, kiedy leżał. Przy każdej próbie opuszczenia łóżka natychmiast robiło mu się niedobrze, czemu towarzyszyły zawroty głowy. Wreszcie postanowił dać za wygraną i odleżeć swoje. Teraz patrzył w sufit i miał wrażenie, że za chwilę się rozplacze.

Był spokojny, czuł się bezpiecznie, leżał w wygodnym łóżku i... cholernie doskwierała mu samotność. Rana dawała o sobie znać, ale nie mógł tego nazwać bólem. Jeśli już koniecznie trzeba by to było do czegoś porównać, to do odczucia, jakie wywołuje przyciężkawy kamień wszyty pod skórę mniej więcej w okolicach biodra. Sięgnął po szklankę i wypił łączywie kilka łyków. Za oknem szalał wiatr, a widoczne z łóżka korony drzew tańczyły ze sobą przekornie, uderzając się końcówkami gałęzi, wyglądającymi jak groźne macki tajemniczych nocnych czarowników. Był chyba na pierwszym piętrze jakiegoś domu, najprawdopodobniej dużej willi. Na to wskazywał przynajmniej widok z okna. Ściany otynkowane były na biało, ale spod białego dywanu wystawały drewniane, polakierowane belki. W nocy pokój wydawał się jaśniejszy, niż sugerowałaby to pogoda za oknem. Dodawało mu to trochę tajemniczości i niezwykłości.

Adam próbował wniknąć w tę atmosferę, aby pooddychać zapachem czarów i magii. Inny świat, w jakim się znalazł, dał mu możliwość nabrania dystansu i zgromadzenia energii. Nagle poczuł się silny i świeży, jak bohater bajek czy opowieści fantasy. Smutek niespodziewanie i – trzeba przyznać – dość gwałtownie zaczął mijać, a jego myśli stały się bardziej kolorowe i twórcze. Zamknął oczy, by wyobrazić sobie inną rzeczywistość, inny, lepszy świat, inną historię. Śmierć i ból oddaliły się na nierozpoznawalną odległość, aby wreszcie stracić jakiegokolwiek znaczenie. Ciało jakby straciło na wadze, stało się nienaturalnie lekkie i nie obciążone bólem ran. Adam leciał wysoko, co wydało mu się normalne i niezwykle przyjemne. Tak łatwo oderwał się od ziemi, że nie mógł zrozumieć, dlaczego nigdy tego nie spróbował.

Drzwi pokoju bezszelestnie się otworzyły i jakaś biała postać ze świecą w ręku zajrzała do środka, ale gdy dostrzegła, że Adam spokojnie i mocno śpi, zniknęła, cichutko zamykając drzwi za sobą.

–Jaki on jest? – spytał nagle Piotr Krentz, odrywając się od kieliszka czerwonego bordeaux rocznik 1989. Siedział na wygodnej kanapie, opierając głowę na poduszce, którą przyłożył do ściany. Nogi umieścił na małym stołeczku, co zwykł robić, gdy odpoczywał. Swój czarny garnitur dawno już powiesił w szafie, aby włożyć to, co najbardziej lubił: ciemnozielony sweter i spodnie „moro”.

–Inny – odparła Ultra. – Trochę bezradny, jak każdy, kogo się wyrwie z jego świata. On chyba do tej pory nie rozumie, co go spotkało. Uważa to za tak nielogiczne, że nie potrafi się temu w ogóle podporządkować. Ale jest odważny i jakoś się trzyma.

–Może się jednak napijesz? – zachęcił powtórnie pułkownik.

–Dziękuję. Nie chcę dzisiaj pić, nawet wina. Nie czuję się chyba najlepiej.

Pułkownik spojrział na zegarek.

–Już pierwsza – rzucił w kierunku dziewczyny. – Idź się prześpij.

–Trzeba chyba sporo odwagi, żeby tak skazać kogoś na śmierć – powiedziała cicho, ignorując uwagę Krentza. – Przecież to cywil, amator.

–Nie myśl o tym. Człowiek, którego szukamy, to zwykły skurwiel, menda. Dorwiemy go, kimkolwiek jest. To nie odwaga, tylko skurwysyństwo. Na szczęście żyjecie.

Ultrze nie podobał się uśmiech szefa. Widok trzech rozprutych facetów, który stawał jej dzisiaj kilkakrotnie przed oczyma, nie wydawał się zbyt śmieszny. Nie było jej ich specjalnie żal, ale na myśl o nocnych wydarzeniach wciąż czuła mdłości. Wiedziała, że gdyby teraz znalazła się w podobnej sytuacji, zrobiłaby bez wahania to samo, i mówiąc szczerze, nie była przekonana, czy to dobrze.

Pułkownik spoważniał, widząc, że Ultra nie ma ochoty na żarty. Niezręczną chwilę postanowił wypełnić krótkim, choć w jego mniemaniu potrzebnym wykładem.

–Nasza praca zakłada ryzyko, ale musimy bronić tych, którzy sami obronić się nie potrafią cała filozofia. Ludzie, których zlikwidowałeś, zasłużyli na śmierć. To zawodowi, wielokrotni mordercy, sprawdziliśmy. Kobiety, dzieci... nieważne. Rozpruwali już na zlecenie całe rodziny. Byli z Bydgoszczy, tyle wiemy.

Ultra nabrała powietrza w płuca i przymrużyła lekko oczy.

–Kto chce zabić Adama Kniewicza, panie pułkowniku? Pruszków, Wołomin, jakaś inna mafia...? Dlaczego?

–Też na początku podejrzewałem mafię – odparł Krentz. – Ale nie wygląda mi to na tych z Pruszkowa, ani żadnych innych. Za duża sprawa. To nie Chicago czy Nowy Jork. Tu mafia nie wcina się w aż tak dużą politykę, przynajmniej do tej pory. A to wygląda na sprawę aż po Pałac Prezydencki.

–Prezydent?!

–Hmm... Raczej nie. Ale myślę, że ktoś z jego otoczenia albo z rządu. Nikt w Polsce, oprócz ścisłej władzy rzecz jasna, nie ma dostępu do informacji, które pozwoliłyby tak swobodnie działać. Popatrz, jak łatwo dowiedzieli się o wszystkich istotnych powiązaniach Kniewicza, o zwyczajach senatora Kamińskiego, nawet, co już zupełnie niewytłumaczalne, o naszych pracownikach. Jesteśmy jedną z najbardziej utajnionych służb, a tu w ciągu kilkunastu godzin nasi tajemniczy przeciwnicy dowiadują się o Suligu i rozpracowują go jak dziecko. Skąd, do cholery, wiedzieli, że w ogóle ukrywamy dziennikarza?! Skąd wiedzieli, że senator ma teczkę? Wreszcie, co jest w tej teczce? Tego nie wie nawet sam prezydent! To nie plotki, Ultra. To gra albo o niewyobrażalnie duże pieniądze, albo co bardziej prawdopodobne, o bardzo ważnych ludzi. Kniewicz jest tylko mimowolnym świadkiem, w dodatku nietrafionym. Dlatego nic nie wie. Kluczem do całej sprawy jest jego dziewczyna. To jej się najbardziej bali, ona mogła powiedzieć wszystko swojemu chłopakowi, tyle tylko że nie zdążyła. Niestety, oni o tym nie wiedzą i dlatego chcą zabić Kniewicza. A spieszą się tak bardzo, że zaczynają popełniać błędy.

–Ona już nam nic nie powie – zauważyła Ultra.

–Nie byłbym tego taki pewien – mruknął pułkownik, sięgając po kieliszek.

Agentka uważnie przyjrzała się szefowi.

–O nic nie pytaj – uciął Krentz, widząc zdziwienie dziewczyny. – Jutro będę wiedział na tyle dużo, by móc o tym rozmawiać. Na razie to jeszcze nic pewnego.

–Mamy cyngli?!

–Niezupełnie... – Krentz wyciągnął z kieszeni paczkę cameli, wyjął papierosa i zapalił. – Wszystkie drogi prowadzą na razie do faceta znanego w środowisku jako Szczękuś.

Dziewczyna uśmiechnęła się chyba po raz pierwszy tego dnia.

–Nie śmieję się, podobno kiedyś przestraszyła się go nawet jego matka – ciągnął pułkownik. – Wygląda, jakby go pociąg przejechał, nieważne zresztą. Mimo że nawet mój bulterier jest od niego przystojniejszy, to bardzo przebiegły gość. Właściwie nic na niego nie mamy. Wiemy, że maczał palce w bardzo wielu brudnych sprawach, ale nikt nie zebrał na niego nawet grama dowodów.

–Narkotyki?

–Nie, raczej „Klub profesjonalnego zabójcy”. Ci wszyscy faceci, między innymi kolesie, których spotkałaś w Dąbkach, pracowali kiedyś dla niego. To właściwie jedyna rzecz, która łączy całą sprawę. Oczywiście, na każdego z nich mamy ciężarówki papierów, ale na Szczękiego nic. Jak sądzę, wielu z jego ludzi w ogóle nigdy go nie widziało.

–Ale on też pewnie nie robi tego dla sportu – zauważyła Ultra.

–Właśnie. – Krentz mocno się zaciągnął. – Ktoś najpierw musi zamówić u niego „usługę” i właśnie tej osoby szukamy. Szczękusia można by zlikwidować, nie powinno być z tym problemu, ale wtedy nigdy nie dotrzemy do „klienta”.

–Ktoś „cieniuje” Szczękusia?

–Nie, na razie gdzieś zniknął. Ale wypłynie, wcześniej czy później...

–Może klient był nerwowy i go kropnął...

–Uuu, raczej wątpię. Musiałby być przede wszystkim cholernie mocny i naprawdę bardzo twardy. Szczękuś to nie jakiś tam chłoptaś spod Warszawy. To zawodowy zabójca, za którym stoją dziesiątki takich jak on, a czasem lepszych. Ma jednego takiego, chyba najbardziej zaufanego. Wynajmuje go do specjalnych robótek i możliwe jest, że to on zabił senatora. To mistrz, jeśli można tak powiedzieć. Nikt nigdy nie zdążył mu się uważnie przyjrzeć. Znamy tylko jego niedokładny rysopis. Jest podobno niski, chudy, nosi okulary. Podejrzewamy, że to cudzoziemiec, najprawdopodobniej Słoweniec, ale chyba mieszka na stałe w Polsce. Jestem prawie pewien, że to jego właśnie widziała sąsiadka Karskiej w czarnym golfie.

–Dziennikarza jednak nie dostał...

–Zakładając, że to on – przypomniał pułkownik. – Coś musiało mu przeszkodzić, albo ktoś...

Ultra usiadła znowu na kanapie.

–Co robimy z dziennikarzem?

–Trzeba go pilnować, oni wciąż na niego polują. Najlepiej gdzieś dobrze go ukryć.

Wtedy ty będziesz miała czas, żeby trochę pobiegać.

–Jak go znam, będzie chciał „pobiegać” ze mną. Jest w to bardzo zaangażowany.

–Za duże ryzyko. Poza tym może ci przeszkadzać.

–Ale może się też przydać. Siłą go nie zatrzymamy, a jak sam zacznie szaleć, to tak, jakby w krótkich spodniach wbiegał na Mount Everest.

–To twój klient, ty zdecydujesz. W śledztwie raczej już na nic się nie przyda, ale nie chcę go narażać. Według mnie, zbyt duże ryzyko.

–Pogadam z nim – westchnęła Ultra, podnosząc się. – Na razie samodzielnie nie jest w stanie nawet się wysikać.

–To dobrze. Może go to ochłodzi.

–Wątpię. Pójdę się przespać. O której mam się zameldować?

–Bądź o dziewiątej. I przestań już myśleć o tamtym, zaczynasz mięknąć...

Ultra wzięła swoją czarną skórzaną kurtkę z wieszaka.

–Dobranoc, panie pułkowniku.

–Trzymaj się.

Gdy wyszła na dziedziniec, zauważyła z ulgą że wichura najprawdopodobniej się skończyła. Od razu zrobiło się cieplej i przyjemniej. Brała nawet pod uwagę spacer, ale na to była zbyt zmęczona. Podniosła pilota i wcisnęła przycisk wyłączający autoalarm, aby zorientować się, gdzie stoi jej nowy samochód. Czarna sportowa toyota czekająca na samym końcu parkingu spodobała się jej. Zresztą знаła ten model. Jeździła takim kilka miesięcy temu.

Ruszyła z piskiem opon i pokonała trasę do domu w niecałe dziesięć minut, łamiąc po drodze wszystkie możliwe przepisy.

Przed domem wyszła z wozu, ciągnąc za sobą kurtkę, po czym niedbale zamknęła zamek pilotem. Gdy zniknęła za drzwiami klatki schodowej, zza drzewa po drugiej stronie ulicy wyłonił się niewielki mężczyzna w okularach i wsiadł do swojego samochodu. Sięgnął jeszcze pod marynarkę, aby zabezpieczyć odbezpieczony kilka godzin wcześniej pistolet, i spokojnie ruszył w kierunku centrum. Ale Ultra nie widziała tego wszystkiego. Była zbyt zmęczona.

ROZDZIAŁ 5

Ściana wydawała jej się brudna. Rzeczywiście, dawno nie było tu remontu. Nic dziwnego, skoro jedyny lokator bywa w mieszkaniu raz na tydzień. Mimo że właściwie panował tu porządek, dawało się wyczuć, jak często pani domu zdradza swoje cztery ściany z hotelami, motelami, a nawet z własnym biurem. Inna sprawa, że mieszkanie nie było duże. Dwa pokoje, niewielka kuchnia, skromna łazieneczka. Wystarczy. Po co samotnej kobiecie, wykonującej nietypową pracę i mającej nienormowany rozkład godzin, cokolwiek większego?

Szafa wbudowana w ścianę w przedpokoju, szerokie łóżko w sypialni, któremu z naprzeciwka przygląda się niezbyt duży telewizor. W drugim pokoju stół, fotele, półki z książkami, trochę kwiatów i... właściwie wszystko. Wszechobecna cisza i spokój. Może przydałoby się jakieś zwierzę? Na przykład chomik albo papuga? Nie wymagają zbyt wiele opieki, a zawsze trochę mniej tej cholernej ciszy. Trzeba będzie o tym pomyśleć. Na razie – jeszcze kilka minut snu.

Ultra zamknęła oczy, ale nie potrafiła już zasnąć. Mimo wszystko dobrze powylegiwać się we własnej pościeli, pierwszy raz od kilku dni. Kołdra była lekko szorstka, ale przyjemnie otulała całe ciało i miło było wcisnąć ją między uda.

Mogła tak leżeć godzinami. Nowy dzień bezwstydnie wkradał się przez okno, podglądając nagą dziewczynę okrytą tylko delikatnym niebieskim materiałem.

Najlepsze są błyskawiczne decyzje. Jak trzeba, to trzeba. Jednym zdecydowanym ruchem odrzuciła kołdrę i szybko stanęła na podłodze, znajdując swe odbicie w lustrze zawieszonym na ścianie.

Przyglądając się swojemu ciału, stwierdziła, że wciąż jest w formie i właściwie nie utyła. No, może trochę mięśnie rąk za duże... Nogi? Chyba w normie. Piersi, wcięcie w pasie, płaski brzuch (z niego była szczególnie dumna), którego od miesiący nie dotykał żaden mężczyzna...

Poniżej był niewielki, choć wyraźny i dość starannie wymodelowany trójkąt w kolorze ciemny blond. Na jego widok dziewczyna mocno zacisnęła uda, po czym głośno się roześmiała i pokazała sobie zawiadacko język.

Postanowiła, że będzie chodzić nago aż do wyjścia z domu. Pozostała jej tylko godzina, więc szybko pobiegła do kuchni na śniadanie.

Bauer wszedł do gabinetu Krentza z tajemniczym uśmiechem.

–Czytasz to? – spytał, wieszając kurtkę.

Pułkownik podniósł głowę znad raportu.

–Trzeci raz – rzucił ponuro.

–Niezłe jajco, hmm?

Krentz zamknął teczkę.

–Od początku coś mnie swędziało. Jest już Ultra?

–Jedzie, będzie lada chwila.

–Daj zapalniczkę. – Krentz wyjął kolejnego camela.

Usłyszeli pukanie do drzwi.

–Wejść!

Ultra nacisnęła klamkę szybciej, niż wybrzmiało „...ś”, i zaczęła się meldować.

–Daj spokój – przerwał jej pułkownik. – Chodź tutaj.

Usiadła na kanapie.

–Pamiętasz, jak znaleziono ciało Marty Karskiej? – ciągnął Krentz.

–Mhm.

–Zleciłem badania genetyczne. Porównano próbki z ciała z włosami i fragmentami naskórka z jej mieszkania...

–O Boże...

–No właśnie. To nie Marta Karska. Ktoś bliźniaczo do niej podobny, ale na pewno nie ona. – Krentz zaciągnął się mocno papierosem. – Gliny wzięły ją za Karską, a dziennikarz nie zdążył zidentyfikować ciała.

–Ten policjant, Ryszard Snopczyk, twierdził, że ją rozpoznał. Znał Karską.

–A jednak się pomylił. Ta kobieta miała nawet tak samo wymodelowane włosy.

Ultra utkwiała wzrok w niewidzialnym punkcie gdzieś na przeciwległej ścianie.

Krentz wiedział, że oznacza to, iż intensywnie myśli.

–Ale bajzel – wyrwało się Bauerowi.

–Nie bajzel, tylko zabawa od początku – zauważył szef agencji.

–Niezupełnie – stwierdziła wreszcie Ultra. – Panie pułkowniku, mogę zadzwonić?

–Jasne. Do dziennikarza?

–Tak.

–Nie mów mu na razie o raporcie z badań.

–Oczywiście.

Szybko wykręciła numer. Po czterech sygnałach usłyszała w słuchawce spokojny głos Janti.

–Tak...?

–Dzień dobry, Janti. To ja, Ultra.

–Witaj. Jak tam duszyczka?

–Teraz nie mam czasu. Muszę rozmawiać z Adamem. Zaniesiesz mu telefon?

–Nie ma problemu.

Po kilkudziesięciu sekundach Ultrę przywitał ożywiony i dość pogodny, jak jej się wydawało, głos Kniewicza.

–Czemu zawdzięczam...?

–Posłuchaj, Adam – przerwała mu. – Wybacz, że dotykam bolesnych spraw, ale pamiętam, jak mówiłeś mi, że Marta Karska była sierotą.

–Tak. – Głos dziennikarza raptownie spoważniał.

–Zatem wychowywała się w domu dziecka.

–Tak, mówiłem ci już o tym.

–Gdzie jest ten sierociniec?

–W Białymstoku, dokładnie nie wiem. Nie sądzę, żeby tam było więcej domów dziecka niż dwa, trzy... Po co ci to?

–Musimy załatwić tam pewne formalności. Zdrowiej!

Odłożyła słuchawkę, zanim Adam zdążył coś powiedzieć, choć była pewna, że ma do niej wiele pytań.

–Znajdę dom dziecka, w którym się wychowywała ta dziewczyna. Może to w

czymś nam pomoże – rzuciła w stronę szefa.

–Dobrze – odparł Krentz. – Tylko ostrożnie.

–Pozostaje jeszcze tylko pytanie – mruknął Bauer – kim jest osoba, która leży w kostnicy.

–Przede wszystkim pozostaje pytanie – zauważył pułkownik – gdzie jest teraz Marta Karska.

Budynek wyglądał na stary i – trzeba przyznać – dość zaniedbany. Poszarzały tynk odpadał miejscami, odsłaniając czerwoną cegłę, a okna zarówno na parterze, jak i na piętrze najprawdopodobniej od dawna już wymagały solidnego remontu. Szyby sprawiały wrażenie czystych, ale farba na ramach była właściwie wspomnieniem.

Ultra zaskoczyła cisza. Żadnych biegających dzieci, żadnych okrzyków, tumultu. Tylko wygrzewający się w promieniach wiosennego słońca dozorca na ławeczce przed wejściem.

Ultra otworzyła furtkę i weszła powoli na teren sierocińca. Nie lubiła tego słowa. „Dom dziecka” też raczej nie należało do najszcześniejszych określeń miejsca, w którym porzucone lub zapomniane przez wszystkich dzieciaki próbują znaleźć sens życia i trochę miłości. Poszukiwania te, zwykle kończące się porażką, zapadają głęboko w pamięć dorosłych już „dzieci gorszego Boga”, by wypełniać dziesiątki nie przespanych nocy. Bo choć z pozoru są zdrowe i nic im nie dolega, to przecież zwykłymi ludźmi już być nie potrafią i rzadko udaje się im po prostu zapomnieć.

Ultra swoje dzieciństwo wspominała raczej z uśmiechem, a choć ojciec często lubił nieźle popić, nie skarżyła się. Rodzice kłócili się rzadko, jej zaś niczego nie brakowało. Alkohol nie czynił z ojca zwierzęcia, co najwyżej zmuszał czasem do wcześniejszej drzemki. Nie była dzieckiem rozpieszczanym, ale nigdy nie czuła się z tego powodu nieszczęśliwa. Lubiała twardą dyscyplinę, którą wpoił w nią dziadek, przedwojenny jeszcze oficer. Uwielbiała rozgrywać z nim bitwy na dywanie, a na żołnierzyki, które brały w nich udział, wydawała prawie całe kieszonkowe. Dziadek nigdy nie pozwalał jej beczeć z byle powodu, a nauczanie honoru i wyrabianie twardego charakteru uznawał za ostatni już w życiu, ale jeden z najbardziej zaszczytnych obowiązków. Popadał przez to wiecznie w konflikt z synem, szczególnie zaś z jego żoną która nie potrafiła zrozumieć, dlaczego z jej jedynej córki stara się zrobić chłopaka. Nie przejmował się tym. Kochał wnuczkę jak nikogo na świecie i potrafił dla niej oddać wszystko. Gdy umarł, dziewczynka miała czternaście lat; nie potrafiła nie płakać po nim, choć mógłby, patrząc na nią gdzieś tam z góry, nie być zadowolony. Trudno. Przecież pamiętała, jakby to było dziś, jego słowa: „Beczą z byle powodu tylko ludzie słabi, bez charakteru. Ale czasem są takie chwile, że trzeba płakać. Pamiętaj, człowieka można ocenić po tym, w jakich momentach płacze...”

–Pani do pani dyrektor?!

–Słucham? – Ultra potrzebowała chwili, aby wyrwać się z zamyślenia.

–Pytałem, czy szuka pani szefowej... – powtórzył dozorca, mrużąc oczy, jakby starał się lepiej dostrzec kobietę, która szła w jego kierunku.

–Tak, jestem umówiona. – Nerwowo poprawiła spodnie i bluzkę.

–Tędy w prawo, a potem drugie wejście. – Mężczyzna nie przestawał się jej przyglądać.

Uśmiechnęła się kurtuazyjnie i pchnęła ciężkie drzwi.

Gdy minęła drugie, oddzielające przedsionek od wnętrza budynku, znalazła się na długim korytarzu przypominającym tradycyjne, stare wybiegi szkolne leciwsze niż najstarsi pracownicy. Wysokie sufity, kamienne podłogi, a kilkadziesiąt metrów dalej – drewniane schody.

Drugie drzwi po prawej były lekko uchylone, dochodził zza nich charakterystyczny odgłos pisania na maszynie.

Ultra – chyba z przyzwyczajenia – bezszelestnie wśliznęła się do gabinetu. Piszącą osobą okazała się młoda kobieta, która oczywiście nie usłyszała niczego, a siedząc nadal tyłem do drzwi, nie zdawała sobie sprawy z obecności agentki.

–Przepraszam... – powiedziała jak najciszej Ultra, ale kobieta i tak lekko drgnęła i szybko się odwróciła. Jeżeli była tu dyrektorką to rzeczywiście dość młodą. Na widok Ultry od razu uśmiech zagościł na jej twarzy.

–Pani Mandrykiewicz? – spytała ciepło.

–Tak – agentka bez namysłu potwierdziła swoje fałszywe nazwisko.

–Dziwi się pani, że sama piszę na maszynie. – Kobieta uśmiechnęła się znowu, wstając z krzesła. – Nie stać nas na sekretarkę, ale dajemy sobie radę. Proszę siadać. Herbaty?

–Nie, dziękuję. – Ultra rozejrzała się uważnie po gabinecie. Pomieszczenie wyglądało dość skromnie. Małe biurko, przy nim krzesło, metr dalej fotelik dla gościa, obok kanapa, która bez wątplenia lata świetności miała już za sobą. Dawno nie malowane ciemnożółte ściany oraz biały, poplamiony sufit wyraźnie potwierdzały, że ośrodek, podobnie jak większość jemu podobnych w Polsce, nie opływa w dostatek.

–Nazywam się Fałkowska, jestem dyrektorką tego ośrodka – powiedziała kobieta. – To ze mną rozmawiała pani przez telefon.

–Wspaniale. Czy mogę liczyć na pani pomoc? – Agentka nie potrafiła znaleźć wygodnej pozycji na rozklekotanej kanapie, którą wskazała jej Fałkowska.

–Na moją chyba nie. Pracuję tu od niedawna, ale rozumiem, że to ważna sprawa?

–Bardzo ważna.

–Po telefonie od państwa zadzwoniłam do pani Teresy Zaczuk, byłej dyrektorki. Teraz jest na emeryturze i bywa tu rzadziej, ale wie pani, jak to jest: nauczyciele, wychowawcy... całe życie wśród dzieci... Nam bardzo trudno po prostu odejść.

–Mówiąc szczerze... – Ultra chwilę szukała odpowiedniego słowa – właściwie nie jestem pewna, czy osoba, o którą mi chodzi, wychowywała się właśnie tutaj. Wiem tylko...

–Tutaj.

–Słucham?

–Marta Karska wychowywała się tutaj. Pani Zaczuk ją pamięta. Oczywiście to nie było za moich czasów, sama byłam wtedy nastolatką. – Uprzejmy uśmiech nie

schodził z oblicza Fałkowskiej.

–Tak szybko ją sobie... to znaczy, przypomniała ją sobie od razu?

–Pamiętam prawie wszystkich – rzuciła, wchodząc wolnym krokiem do gabinetu, starsza, siwa kobieta. Była niewysoka i dość tęga. Jednak bystre spojrzenie zdradzało, że wciąż ma sporo energii. Na nogach miała filcowe kapcie, a jej chód przypominał dostojne jeżdżenie na łyżwach.

Ultra wstała i przywitała się. Kobieta sprawiała wrażenie cieplej, wyrozumiałej staruszki o niegroźnym, ale przenikliwym spojrzeniu. Dokładnie przebiegła wzrokiem po agentce, lecz zrobiła to dyskretnie i taktownie.

–Spóźniłam się? – Uśmiechnęła się do Fałkowskiej.

–Ależ skąd, pani Tereso. Rozmawiamy może dwie, trzy minuty.

–Pani jest z rodziny? – Mądre spojrzenie Teresy Zaczuk ponownie spoczęło na agentce.

Ultra przez chwilę nic nie mówiła, szybko oceniając, na ile powinna skłamać.

–Mówiąc wprost, nie lubimy zbyt szeroko opowiadać o naszych wychowankach. Mogliby sobie tego po prostu nie życzyć. Mamy nadzieję, że pani to rozumie?

–Oczywiście – odparła bez namysłu Ultra. – Jestem... nie jestem z rodziny.

–Pani Mandrykiewicz pracuje w policji – przyszła jej z pomocą Fałkowska. – Nie zdążyłam pani powiedzieć.

Teresa Zaczuk skinęła głową, oczekując dalszych wyjaśnień.

–Szukamy Marty Karskiej, to bardzo ważne – powiedziała Ultra.

–Nie ma pani nic przeciwko temu, że zobaczymy jej legitymację?

–Oczywiście, że nie. – Agentka wstała, podeszła do wieszaka i sięgnęła do wewnętrznej kieszeni wiszącej tam kurtki. Wyjęła z niej legitymację, którą miał do dyspozycji każdy w agencji. Nie było sensu tłumaczyć w takich momentach, kim naprawdę jest, a tymczasem „policja” była hasłem wystarczająco czytelnym dla zwykłego obywatela.

Obie kobiety przyjrzały się dokładnie legitymacji, po czym oddały ją właścicielce.

–Zawsze myślałam, że jeśli zgłosi się do nas policja, to raczej pytając o Dorotę, a nie o Martę – powiedziała ze smutkiem Teresa Zaczuk.

–Interesuje nas tylko Marta Karska – uśmiechnęła się Ultra.

–No tak, pani przecież może tego nie wiedzieć – odparła spokojnie starsza kobieta, siadając w fotelu, który wyglądał jeszcze mniej zachęcająco niż kanapa, na której spoczęła Ultra. – Marta i Dorota to bliźniaczki. Przyszły do nas po wypadku rodziców, kiedy miały... chyba sześć albo siedem lat. Jeszcze nie chodziły do szkoły. Takich siostr się nie zapomina... – Uśmiechnęła się nieznacznie do Fałkowskiej.

Ultra profesjonalnie ukryła zaskoczenie i poprawiając się po raz kolejny na kanapie, szybko układała w głowie wnioski.

–Czy one były... bardzo podobne do siebie? – zapytała spokojnie.

–To zależy. Jeśli chodzi o wygląd, były niemal identyczne, ale usposobienie, charakter... to nadawałoby się nawet do filmu.

–Łatwo było je rozróżnić?

–My nie mieliśmy z tym kłopotu, zresztą bardzo nie lubiły się tak samo ubierać i

stał nikt ich nie mylił. Ale gdy przychodził ktoś z zewnątrz, to ho, ho, można było robić niezłe kawały. – Była dyrektorka wyraźnie poweselała.

Dostrzegłszy, że wychowawczynie uśmiecha się do swoich wspomnień, Ultra przybrała pogodniejszą minę i zwolniła nieco tempo rozmowy. Po chwili, nie zmieniając wyrazu twarzy, próbowała sprowadzić starszą panią na właściwe tory.

–Jakie one były? To znaczy, chodzi mi o charakter, usposobienie...

Pani Teresa lekko westchnęła.

–Obie z piekła rodem, ale jak już pani mówiłam, bardzo się różniły. Marta była zwykłym urwisem, jak tysiące dzieci. Biegała, rozrabiała, robiła dowcipy innym dzieciom, a nawet wychowawcom. Mówiąc szczerze, raczej nie przypominała dziecka z sierocińca. Szybko oswoiła się z tym, że utraciła rodziców, i starała się po prostu przystosować.

Starsza pani ponownie uśmiechnęła się do Ultry, a następnie wolno pocierając o siebie dłońmi, przez chwilę zdawała się zastanawiać, do czego właściwie dąży ta uważnie przysłuchująca się jej młoda policjantka. W którymś momencie zawisła między nimi oczywista prawda, że Marta musiała wpaść w niezłe tarapaty, skoro przysłano aż z Warszawy kogoś, kto tak dokładnie wypytuje o jej ulubioną niegdyś wychowankę. Była dyrektorka postanowiła jednak zaczekać jeszcze trochę z pytaniem, na które odpowiedź chciała usłyszeć od samego początku rozmowy. Tak więc po chwili ciszy wróciła do tematu, odpędzając od siebie złe myśli najdalej, jak to tylko możliwe.

–Dzieci tutaj dzielą się na dwie grupy. Te, które mimo nieszczęścia starają się żyć dalej normalnie, w miarę możliwości ciesząc się tym, co im zostało, oraz te, które będą zbuntowane już zawsze. Wychowankowie z drugiej grupy do końca żyją z pretensją do świata i ludzi, że ich skrzywdzono. Niestety, do nich właśnie należała Dorota.

–Może kawy? – spytała nagle Fałkowska.

–Nie, dziękuję – odparła krótko Ultra, przenosząc na chwilę wzrok na dyrektorkę.

–Ja poproszę. – Pani Teresa uśmiechnęła się, po czym poprawiając się z lekka na najwidoczniej również niezbyt wygodnym fotelu, zaczęła dalej opowiadać: – Wie pani, najciekawsze jest to, że większość tych „buntowników” stanowią dzieci wcześniej mniej lub bardziej skonfliktowane z rodzicami. Odejście rodziców najprawdopodobniej pojmują podświadomie jako swoistą „zemstę” za to, że nie spełniły ich oczekiwań. Dla tych dzieci to rodzaj odrzucenia. Ani jedna, ani druga siostra zresztą nigdy nie ukrywała, że mimo wszelkich pozorów rodzice dość wyraźnie faworyzowali Martę. Może to okrutne, co powiem, ale w pewnym sensie rozumiałam ich. – Teresa Zaczuk niemal niezauważalnie westchnęła i uśmiechnęła się smutno do swoich myśli. – Któregoś dnia Marta opowiedziała mi, jak jeszcze w domu Dorota wpadła z płaczem do ich pokoju, krzycząc, że nienawidzi matki i chętnie by ją zabiła. Proszę pamiętać, że ona miała tylko sześć lat. Dzieci w tym wieku rzadko w ogóle sprzeciwiają się rodzicom, nie mówiąc już o nienawiści. Ale ona była inna. Niestety, miała rzadką umiejętność wywoływania w rówieśnikach tego, co w nich najgorsze. Dzieci bywają okrutne. Wynika to z tego, że niewiele jeszcze rozumieją ale

Dorota pod tym względem wyraźnie się wyróżniała. Potrafiła być taka w najbardziej nieoczekiwanych momentach i sprawiało jej to radość. Z wiekiem cecha ta umacniała się jeszcze w niej, zamiast zanikać, choć robiliśmy co tylko było w naszej mocy. Może trudno w to uwierzyć, ale większość dziewczynek nie tylko ją lubiła, ale wręcz traktowała w szczególny sposób. Chciały ją po prostu naśladować, choć na szczęście przeważająca część tego nie potrafiła. Chłopcy lubili Dorotę jeszcze bardziej. Podczas gdy Marta była fajną koleżanką kumpelą, kimś, z kim można było się powyglupiać, Dorota wyrobiła sobie pozycję dziecięcego idola, kogoś, do kogo się równa.

–Niezwykle, biorąc pod uwagę fakt, że to przecież bliźniaczki, i to tak podobne z wyglądu – wtrąciła Ultra, po raz kolejny poprawiając się na upiornej kanapie.

–Dzieci nie miały problemów z rozróżnieniem ich. Zresztą jak pani mówiłam, zawsze ubierały się inaczej. Kiedy stały się nastolatkami, wyraźnie widać było, jak bardzo różnią się ich gusta. Marta lubiła stroje sportowe, obcisłe dżinsy, luźne koszulki. Dorota nie uznawała spodni w ogóle. Starła się ubierać jak dama i muszę powiedzieć, że potrafiła odróżnić dobry, gustowny strój od kiczu. Oczywiście nigdy tutaj nie mieliśmy pieniędzy na to, żeby spełnić jej oczekiwania, ale ona potrafiła całymi tygodniami domagać się jakiejś sukienki, którą zobaczyła na wystawie w mieście.

–Złościła się, gdy nie spełniano jej życzeń?

–Nigdy. Zawsze była niezwykle kulturalna, grzeczna i potwornie zimna. Marta wielokrotnie rozbijała nosy kolegom, a nawet koleżankom, Dorocie nie zdarzyło się to nigdy. Marta opowiadała, że w domu siostra często podnosiła głos, złościła się lub płakała. Odkąd przyszła do nas, działo się to bardzo rzadko i w tym sensie nie sprawiała kłopotów w ogóle.

–Dlaczego więc pani jej nie lubiła? – zapytała Ultra, starając się, aby jej głos zabrzmiał jak najbardziej beznamiętnie.

–To nie tak. Jestem już stara, więc mogę się przyznać. Z czasem zaczęłam się jej po prostu bać. Miała niezwykle wpływ na innych wychowanków. Potrafiła w szczególnie wyrachowany sposób zadawać im ból i cieszyć się ich cierpieniem. Nigdy nie znałam nikogo w tym wieku, kto tak umiejętnie potrafiłby dręczyć psychicznie upatrzone ofiary. Lubiała na przykład spokojnie i zimno wmawiać wybranym koleżankom, że ich rodzice umarli z ich powodu i że to one ponoszą za to całkowitą odpowiedzialność. Bywało, że drążyła taki temat miesiącami, wsłuchując się w ich płacz w nocy. Nie darowała nikomu żadnej wady urody czy ubioru. Wykorzystywała słabość każdego, kto stanął jej na drodze. A przy tym była bardzo ładnym dzieckiem, co czyniło ją bezkarną.

–Nie próbowała pani temu jakoś przeciwdziałać? – spytała Ultra, starając się nie zmieniać profesjonalnie neutralnego wyrazu twarzy.

Teresa Zaczuk ponownie się uśmiechnęła.

–To nie było takie proste, moje dziecko. Podam przykład. Wychowywała się tu pewna dziewczynka, która najogólniej rzecz ujmując, miała kłopoty w szkole. Dorota oczywiście czuła się w obowiązku odpowiednio ją pocieszyć. Mówiła więc, aby się nie

martwiła, bo przecież tępi ludzie też są potrzebni na świecie. I dodawała, że podobno bardzo poszukiwanym zawodem jest profesja służącej... Oczywiście wzywałam ją kilkakrotnie, aby zabronić jej tak mówić. A ona to co zwykle. Charakterystyczna mina i znane już wszystkim powiedzonko: „Przepraszam, że byłam zbyt szczerą. Wiem, że tak nie można. Postaram się zwrócić na to uwagę”. I tyle. – Starsza pani ponownie westchnęła, jakby opowieść sprawiała jej coraz większą trudność. Przerwała i kilka sekund przyglądała się koronie potężnego dębu za oknem.

–To było w niej złe, ale miała też sporo zalet. – Kobieta raz jeszcze przywołała swój ciepły uśmiech. – Kochała zwierzęta, i to zupełnie bezinteresownie. Potrafiła oddać ostatnie grosze kieszonkowego, aby nakarmić głodnego psa czy kota. Wypożyczała z biblioteki tony książek o zwierzętach. Najbardziej interesowały ją duże afrykańskie koty. Z pewnością wiedziała o nich więcej niż my wszyscy razem wzięci. Miała niewątpliwy talent plastyczny. Wspaniale rysowała i malowała. Na prośbę koleżanek uczyła je plastyki, ale nie była zbyt wyrozumiałą nauczycielką. Potrafiła być pracowita i sumienna. Nigdy nie zdarzyło jej się czegoś komuś obiecać, a później o tym zapomnieć lub nie dotrzymać słowa. Nie wszystkie polecenia lubiła wykonywać, ale raczej się nie sprzeciwiała. Nie uśmiechała się za to prawie nigdy. Miała taki zimny wzrok, na zasadzie... wie pani, „odwalcie się ode mnie”.

–Może ciasteczka? – wtrąciła Fałkowska.

–Nie, dziękuję – odparła Ultra.

–A ja poproszę. – Starsza kobieta uśmiechnęła się. – Strasznie lubię zwłaszcza te brązowe. Gdzie pani je kupuje? Obok dworca?

–U Szczygła.

–Aaa, tam. Często robiłam zakupy z dziećmi w tym sklepie.

–A Marta? – spytała Ultra.

–Była znacznie mniej spokojna niż siostra. Wiecznie rozbiegana, wszędzie jej było pełno. Z czasem oczywiście dorosła i spoważniała, ale Dorota wciąż wyglądała przy niej jak posąg. Marta nigdy nie pretendowała do roli księżniczki czy idola. Przyjmowała świat takim, jaki jest, i trzeba przyznać, że wprowadziła tu trochę słońca. Uczyła się gorzej od siostry, ale nauczyciele twierdzili, że mimo wszystko jest zdolniejsza. Naturalnie, kochała się w niej większość męskiej części ośrodka. Muszę powiedzieć, że sprawiała trochę kłopotów wychowawczych. Często wykręcała się od codziennych prac i w takich wypadkach, mówiąc szczerze, nie była zbyt prawdomówna. Nauczycielka biologii opowiadała mi kiedyś, że odebrała od niej klasówkę, w której brakowało odpowiedzi na kilka pytań. Większość pracy była napisana prawidłowo, aż tu nagle w środku kartki pojawiało się puste miejsce, a w nim napis: „Nie odpowiedziałam na pytania od 8 do 11, bo właśnie w tym momencie rozboleł mnie brzuch”.

Ultra uśmiechnęła się szeroko, choć opowieść starej nauczycielki chwilami wyraźnie ją niepokoiła.

Wszystko zaczęło się układać w jedną całość, ale agentka postanowiła dać sobie jeszcze trochę czasu. Teraz musiała przede wszystkim jak najwięcej dowiedzieć się o Marcie Karskiej i oczywiście, mieć nadzieję, że dziewczyna jeszcze żyje.

–Nauczyciele i wychowawcy wybacжали jej takie rzeczy – kontynuowała Teresa Zaczuk. – Była bardzo lubiana.

–A stosunki między siostrami? – spytała Ultra.

–Mówiąc szczerze, były trochę dziwne. Dziewczynki bardzo rzadko się kłóciły, ale wobec siebie zachowywały się dość chłodno. Jak na siostry oczywiście. Wie pani, żadnego przytulania się, babskiego ple, ple. Jakby były zwykłymi koleżankami, które poznały się kilka miesięcy wcześniej. Po prostu tolerowały się i tyle. Wiem, że tak jedna, jak i druga chciała się zdecydowanie różnić od siostry. Pytałam nawet kiedyś każdą z nich, czy szczerze kocha siostrę. Obie odpowiedziały tak samo: „Oczywiście”.

–Nic ich nie łączyło?

–Nie, tak powiedzieć nie można. Obie lubiły dobrą muzykę, kino. Miały kilka wspólnych zainteresowań i co ciekawe, obie nie chciały iść do rodziny zastępczej.

–Często się tak zdarza?

–Wśród dzieci, które wychowywały się u prawdziwych rodziców, zdarza się. Zwykle to dzieci, które nie znały swojej rodziny, bardzo lgną do wszystkich przychodzących z zamiarem adopcji.

Na korytarzu dał się słyszeć najpierw cichy szum, a po chwili coraz głośniejszy tumult.

–Dzieci wracają z wycieczki – wyjaśniła Fałkowska.

–Teraz ja mam do pani pytanie – odezwała się poważnie była dyrektorka. – Dlaczego chcecie o tym wszystkim wiedzieć? Czy coś się stało?

Ultra nabrała głęboko powietrza, zyskując dzięki temu nieco na czasie. Mimo że spodziewała się tego pytania, wciąż nie wiedziała, na ile może być szczerą. Sięgnęła po ciasteczko, dając sobie jeszcze kilka sekund, i spokojnym, nie zdradzającym niepokoju tonem rozpoczęła wyjaśnienia. Dla dobra sprawy dbała o możliwie najbardziej skrótową formę.

–Marta Karska zaginęła kilka dni temu. Podejrzewamy, że ją porwano, ale nie wiemy, kto i dlaczego to zrobił.

–O Boże! A Dorota?

–Nie wiedzieliśmy nawet o jej istnieniu.

–A tak, prawda. Wiem, że przez pewien czas mieszkała w Białymstoku. Później poznała kogoś, wyjechała za granicę i jak to wy mówicie, ślad po niej zaginął. Zresztą włożyłam trochę wysiłku w to, aby się dowiedzieć, co się z nią dzieje, ponieważ odeszła właściwie bez pożegnania.

–Jak to bez pożegnania?

–Gdy nastał dzień, kiedy obie siostry odchodziły, Marta obcałowała nawet woźne i dozorców, a Dorota po prostu zniknęła. Po podpisaniu dokumentów nikt nie widział w ogóle, jak wychodziła. Przez pewien czas denerwowałam się, że coś jej się stało, ale później okazało się, że wszystko jest w porządku. Po prostu taka była. Nigdy nie zadzwoniła, nic. Marta przez pewien czas utrzymywała z nami kontakty i nawet kiedyś zapytałam, co tam u Doroty. Okazało się, że kiedy Marta zaproponowała jej spotkanie, Dorota stwierdziła, że każda z nich ma swoje życie i powinny dawać sobie

radę same. Od tej pory podobno nie utrzymywały kontaktu. Wtedy były takie czasy, że dzieciom z domu dziecka bardzo ułatwiano w naszym mieście zdobycie mieszkania. Niekiedy wręcz dostawały jakąś małą kawalerkę. Obie siostry miały szczęście i szybko znalazły swój kąt. Zresztą Marta niedługo potem zaczęła studiować w Warszawie i wyprowadziła się z Białegostoku. Bardzo byłam z tego dumna. Niewiele mieliśmy studentek z naszego ośrodka. To chyba wszystko, co mogę pani dzisiaj powiedzieć. – Uśmiechnęła się ciepło.

–Bardzo nam panie pomogły, dziękuję za tę rozmowę. – Ultra wstała, aby podać rękę pani Teresie i jej młodszej koleżance, po czym wzięwszy kurtkę z wieszaka, pożegnała się.

W drzwiach zatrzymała się jeszcze na chwilę. Wyjęła długopis z kieszeni i napisała na kartce numer telefonu.

–Proszę zadzwonić, gdyby miała pani jeszcze coś do dodania – rzekła, podając kartkę starszej kobiecie.

–Jeśli coś sobie przypomnę, na pewno zadzwonię. Do widzenia i proszę się z nami skontaktować, kiedy ją znajdziecie. Mój Boże, takie dobre dziecko.

–Do widzenia, na pewno się skontaktujemy.

Ultra wyszła na korytarz, po którym biegало sporo dzieci. Nie przypominał już tego zimnego, starodawnego, samotnego korytarza sprzed kilkadziesiątu minut. Przebiła się przez tłum i wyszła na zewnątrz. Słońce nadal świeciło, chmur było niewiele, a dozorca nieznacznie tylko zmienił pozycję od ich poprzedniego spotkania.

Ulica, przy której znajdował się sierociniec, nie należała do głównych arterii. W pobliżu właściwie nie było nikogo, więc Ultra szybko schowała się za płotek, obok którego właśnie przechodziła, rzuciła okiem na chodnik, sprawdzając, czy nikt nie idzie, po czym wyjęła z kieszeni kurtki pistolet wraz z szelkami schowany tam na czas wizyty w domu dziecka. Położyła kurtkę na ziemi, szybko naciągnęła szelki z bronią i ubrała się, zapinając zamek błyskawiczny prawie do końca.

Przy samochodzie, zaparkowanym pięćdziesiąt metrów dalej, dostrzegła trzech mężczyzn zaglądających do środka przez szybę. Nie wydawało jej się, aby mógł to być ktoś dla niej niebezpieczny, ale ostrożności nigdy za wiele. Wyszła spokojnie zza płotu i ruszyła dość szybko w ich kierunku. Mężczyźni już ją zauważyli i chyba domyślili się, że mają przed sobą właścicielkę wozu. Wyglądali na zwykłych żuli spod budki z piwem, co poniekąd uspokoiło Ultrę, ale postanowiła zachować czujność. Nie sprawiali wrażenia osiłków, zresztą jeden z nich był niższy od niej przynajmniej o pół głowy. Kiedy od samochodu dzieliło ją może dziesięć metrów, najwyższy i najchudszy uśmiechnął się obleśnie.

–Twoja bryka, maleńka?

–Tak, przepraszam panów, muszę jechać.

–Nigdzie nie pojedziesz, dawaj kluczyki! – warknął mały.

Ultra zwiesiła bezradnie głowę. Nie mogła uwierzyć, że ma takiego pecha. Dlaczego akurat ja? – pomyślała ze złością. Uwziął się ktoś na mnie tam, w niebie, czy co? Zmusiła się jednak do uśmiechu.

–Panowie, nie wygłupiajcie się. Jeśli zaraz nie wsiądę do samochodu, spóźnię się.

–A kogo to obchodzi? – burknął mały.

Ultra rozejrzała się szybko i doszła do wniosku, że grzeczności na razie wystarczy.

–Odsuńcie się od samochodu – powiedziała spokojnie, ale już bardzo zdecydowanie.

–Ty chyba, kurwa, nie słuchasz, co się do ciebie mówi! – przyszedł w sukurs koledze chudy.

–To ty nie słuchasz, tępaku! – rzuciła wciąż jeszcze spokojnie Ultra. – Odsuń się od samochodu!

–Kazek! – mruknął mały do chudego. – Ona chyba chce dzisiaj zbrzydnąć. – W jego dłoni błysnął nóż.

Trzeci mężczyzna stał spokojnie i uśmiechając się pod wąsem, czekał na rozwój wypadków. Był chyba najmłodszy, a cała scena wyglądała na lekcję pogładową skierowaną właśnie do niego.

Mały ruszył w stronę Ultry. Nóż trzymał nisko, nieprofesjonalnie. Agentka natychmiast to zauważyła. Cios w krtań zaskoczył go tak bardzo, że nawet nie zdążył drgnąć. Uderzenie nie było szczególnie silne, ale za to niezwykle szybkie i dokładne. Dziewczyna błyskawicznie odskoczyła, spodziewając się kontry. Mały co prawda utrzymał się na nogach, ale stał kompletnie zamroczony. Nóż wypadł mu z ręki, a oczy przybrały pełen strachu, tępy wyraz. Chwycił się dłońmi za szyję, nieprzyjemny charkot dobywający się z jego gardła upewnił zaś Ultrę, że nie jest w stanie dalej walczyć. Szybko obróciła się w prawo, spodziewając się ataku chudego. Ten jednak, nie mogąc zrozumieć, co się dzieje, stał jak wryty i patrzył na kolegę osuwającego się na kolana.

Ultra kopnęła chudego w jądra. Ułamek sekundy później, niezbyt silnie, ale bardzo precyzyjnie, trafiła go pięścią w podbródek. Głos utkwiał mu gdzieś w gardle. Oparł się jeszcze o samochód, po czym runął na asfalt z krzykiem, który zbudziłby umarłego. Trzeci mężczyzna stał początkowo bez ruchu, potem jednak naprężył się, jakby chciał się rzucić do ucieczki. Ultra wiedziała, że nie chce jej atakować. Na wszelki wypadek rozpięła jednak kurtkę, ukazując broń.

–Może jakieś pytania? – rzuciła w jego stronę.

–Pani... jest z policji?

–Zjeżdżaj!

Chłopak zrobił kilka kroków do tyłu. Ultra otworzyła pilotem samochód i kopnęła na pożegnanie małego, który szczególnie nie przypadł jej do gustu.

–Ja chrzanię... – mruknęła, wsiadając, ale jej głos zginął wśród jęków leżących na jezdni napastników. Zamknęła drzwi, po czym wyjęła ze schowka telefon. Nacisnęła żółty guzik. Czekając na połączenie, zdążyła uruchomić silnik. Telefon automatycznie wybrał numer i usłyszała głos Piotra Krentza.

–Słucham.

–Ultra.

–Biegałaś gdzieś po tym Białymstoku? – Uśmiechnął się, wyczuwając w jej głosie lekką zadyszkę.

–Nie, spotkałam facetów, przez których najadłam się trochę strachu, ale to tylko jacyś gówniarze – odpowiedziała, wciąż obserwując przez szybę, co porabiają jęczący na jezdni.

Trzeci opryszek, odkąd ujrzał broń Ultry, nie ruszył się z miejsca i ze strachem czekał, aż dziewczyna odjedzie. Mały powoli i ciężko łapał oddech, chudy wił się na asfalcie jak dżdżownica.

–Chyba wiem, czyje papiery leżą u pana na biurku.

–To dobrze, wracaj do Centrum.

Ultra rozłączyła się i ruszyła ostro, zerkając jeszcze w lusterko.

Niewielki mężczyzna w okularach, siedzący w samochodzie zaparkowanym może pięćdziesiąt metrów od skrzyżowania ulic, odetchnął z ulgą. Trzej mężczyźni, którzy mogli narobić sporo kłopotów, okazali się zwykłymi, drobnymi i w dodatku pierdołowatymi złodziejami samochodów.

–Co za idioci – mruknął do siebie.

Odczekał, aż wóz Ultry zniknie za zakrętem, i ruszył za nią.

Kniewicz postanowił, że tego dnia wstanie samodzielnie. Od dawna już marzył, by dowiedzieć się wreszcie, gdzie tu na przykład jest ubikacja.

Miejsce, w którym przebywał, przestało być dziwne, ale wszystko poza jego pokojem wciąż stanowiło dla niego tajemnicę. W ciągu tych kilku dni poznał parę osób oprócz Janti. Opiekowały się nim, musiał przyznać, bardzo troskliwie. Chorobliwie jednak tęsknił do samodzielności.

Zerknął na resztki śniadania. Jedzenie było jak zwykle dobre, choć zupełnie niepodobne do tego, co przywykł nazywać jedzeniem. Szybko zorientował się, że otaczający go ludzie nie tylko są wegetarianami, ale nie jedzą także cebuli, czosnku, a nawet jajek. Dawno już chciał zapytać o to Janti, wciąż jednak obawiał się, że nieumiejętnie zadając pytania, może ich obrazić lub zawstydzić. Trochę go to męczyło, więc w ramach drugiego zadania na dzisiaj postanowił zmusić białą istotę do szczerej wypowiedzi na temat tego, co miał okazję trawić przez te kilka ostatnich dni.

Zioła i okłady, które mu robili, bardzo pomagały i praktycznie niwelowały ból, przynajmniej kiedy leżał. Natomiast gdy próbował wstawać... no cóż, to już zupełnie inna sprawa. Od dawna jednak miał dobre samopoczucie, więc trochę rozpierała go energia.

Kilka razy dziennie za drzwiami zapadała zagadkowa cisza, która mniej więcej po czterdziestu minutach zmieniała się w delikatny szumek, aż wreszcie w zwykłą krzątaninę. Zdecydował, że właśnie ów moment ciszy wykorzysta na realizację swojego śmiałego postanowienia. Był pewien, że nikt wtedy nie wejdzie, no i była też pewna szansa, że nikogo po prostu nie ma w pobliżu. Niemożliwe wydawało mu się, by te parę osób, które poznał do tej pory, kilka razy dziennie zastygało w bezruchu tylko po to, aby podsłuchiwać pod drzwiami, co on tam kombinuje. Założył więc logicznie, że najprawdopodobniej po prostu wychodzą.

Ponieważ dzisiaj jego stan psychiczny wykluczał porażkę, stwierdził, że tym razem zmieni technikę. Nie ruszając tułowiem, postawił prawą nogę na podłodze i

czekał. Wszystko w porządku. Teraz druga noga... no, powiedzmy, że też w porządku. Powoli uniósł się na rękach i spróbował usiąść. Za sprawą tej właśnie fazy dość radykalnie przypomniał sobie, w którym miejscu pocisk przeszył jego ciało. Zastygł na kilkadziesiąt sekund. Ból z wolna się wyciszył. Usiadł. Zdecydował, że spędzi w tej pozycji przynajmniej dwie, trzy minuty i dopiero potem wstanie. Nie udało mu się to w ciągu kilku ostatnich dni, ale tym razem wiedział, że się nie podda. Powoli zaczął unosić pośladki. Czekał, aż da o sobie znać ciężka jak stado słońi, upierdliwa i rozpierająca kula wielkości pomarańczy po lewej stronie brzucha. Oczywiście nie rozczarował się. Kula jednak trochę się zmniejszyła i nie była aż tak dokuczliwa, jak przewidywał. Odetchnął z ulgą i trzeba przyznać – radością. Wreszcie stał na własnych nogach! Korzystając z nowej perspektywy, rozejrzał się po pokoju. Właściwie niewiele się zmieniło. Z obrazów na ścianie nadal patrzyli na niego Budda, Chrystus oraz Mahomet i kunsztownie ubrana w stylu dalekowschodnim para. Białą postać z trzeciego obrazu głównie interesowało oczywiście światło z nieba, więc ciągle siedziała tyłem do pokoju i wchłaniała świętość, choć nie wiadomo było, nawet z grubsza, jakiego typu.

–Olewasz mój sukces?! – mruknął Adam w jej kierunku. – Jasne, że olewasz – odpowiedział sam sobie i szybko chwycił poręcz łóżka, ponieważ doznał właśnie silnego zawrotu głowy.

Zdziwiło go zarówno to, że ból po pewnym czasie właściwie ustąpił, jak i to, że jest tak bardzo osłabiony. Stał jeszcze chwilę, aż wreszcie odważył się zrobić pierwsze kroki. Rzecz jasna każda zmiana położenia przypominała o nieznośnym ciężarze z lewej strony brzucha, ale teraz wiedział już, że wystarczy trochę wytrzymać, aby ból przestał być tak dokuczliwy.

Dotarcie do drzwi zajęło mu dobrych kilka chwil. Oparł się o ścianę, aby odpocząć. Ciężko oddychał, ale był zadowolony. Wciąż miał lekkie zawroty głowy, wiedział jednak, że z czasem przejdą. Nacisnął klamkę. Za drzwiami zobaczył mały korytarzyk. Zaczynał się od jego pokoju, a kończył balustradą zza której najprawdopodobniej widać było, co się dzieje piętro niżej. Adam przekroczył próg i wolno dotarł do drewnianej barierki. Widok, który się tam przed nim odsłonił, wprowadził go w chwilowe osłupienie.

Na dole cała podłoga wypełniona była ubranymi na białe postaciami, siedzącymi w pozycji lotosu i wpatrującymi się w dziwnym skupieniu w osobę naprzeciw nich. Osoba ta sprawiała wrażenie, że ze swego niewielkiego podwyższenia kontroluje przebieg całego misterium. Adam bez trudu rozpoznał w niej Janti.

Wszyscy znajdowali się jakby w lekkim transie. Panowała kompletna cisza. Janti patrzyła lekko przymrużonymi oczami w punkt gdzieś pośrodku zgromadzenia. Adam próbował określić to miejsce. Siedział tam blondyn, którego twarzy niestety nie widział, ale to chyba właśnie na nim skupiła się Janti.

Kniewicz poczuł się przez moment tak, jakby jakaś tajemnicza, niewytłumaczalna siła przeniosła go do przedziwnej świątyni, gdzieś daleko na Wschodzie. Gdyby ktoś chciał zdefiniować spokój, to ten widok byłby chyba idealnym jego odzwierciedleniem.

Janti oderwała wzrok od blondyna i przeniosła go na puszystą kobietę, którą Adam ocenił na przynajmniej pięćdziesiąt lat. Teraz dopiero zauważył, że mężczyźni siedzą po prawej stronie sali, patrząc z jego miejsca, kobiety zaś po lewej. Lewa strona była, jak się zdawało, liczniej reprezentowana. Adam nie potrafił jakoś pozbyć się dziwnego niepokoju. Wydawało mu się to nie tylko niezwykle, ale nawet nienaturalne i musiał przyznać – trochę podejrzane. Zwykli ludzie raczej nie są przyzwyczajeni do tego, aby siedzieć w bezruchu tak długo i w dodatku patrzeć w jedno miejsce. Janti znów się poruszyła. Patrzyła teraz gdzieś daleko, najpewniej w miejsce usytuowane pod balustradą.

Kniewicz zaczął się przyglądać każdemu z osobna. Mimo że siedzieli tyłem do niego, mógł, obserwując z góry, ocenić ich wiek. Doszedł do wniosku, że nie stanowi on tu żadnej bariery. Bez przesady można było powiedzieć, że na sali są przedstawiciele kilku pokoleń. Pod samą ścianą najbliższą Janti, siedział drobny chłopczyk. Był chyba najmłodszym uczestnikiem zgromadzenia. Kilka metrów za nim w postać na podwyższeniu wpatrywała się staruszka. Jej siwe włosy i ciemne, wystające spod białej szaty ręce przypominały charakterystyczne postacie starszych kobiet z filmów o Indiach. Janti wreszcie opuściła głowę, jakby dała znak do przebudzenia, po czym uniosła wzrok ku miejscu, w którym stał Adam. Wyraz jej twarzy nie zmienił się, ale widać było, że wstała, by do niego pójść. Uczestnicy misterium zaczęli się wolno podnosić i na dole zrobił się ruch. Część z nich wciąż jeszcze była skupiona, ale kilka osób już rozmawiało ze sobą uśmiechy na ich twarzach zaś zdradzały dobry humor. Zaczęli się rozchodzić w różnych kierunkach, natomiast Janti wspięła się szybko po schodach.

–Pewnie trochę cię zdziwił ten widok? – spytała i przyjrzała mu się badawczo.

–Mam nadzieję, że to nie ja będę najbliższą ofiarą dla Kali.

–Nie. – Uśmiechnęła się. – Z tym chyba trochę zaczekamy. Powinieneś wrócić do łóżka. Myślę, że wystarczy jak na pierwszy raz.

–Najpierw ubikacja.

Zmrużyła oczy, zastanawiając się najprawdopodobniej, czy Adam zdolny jest już do takiej samodzielności.

–Drzwi za tobą – mruknęła wyrozumiale. – O, właśnie te.

Za Janti pojawiła się Krysia, którą zdążył już poznać. To ona najczęściej przynosiła mu zagadkowe posiłki. Gdy ujrzała Adama na nogach, nie potrafiła ukryć radości.

–Gratulacje – szepnęła cicho, ale oczy zaświeciły jej się znacznie bardziej zmysłowo, niż zdaniem Janti wypadało.

Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy, po czym wysmukła kobieta uśmiechnęła się, jakby nic się nie stało.

–Nasz bohater właśnie idzie odpocząć – rzuciła szybko, tym razem znacznie uważniej przyglądając się Krysi niż dziennikarzowi.

–Z małym przystankiem po drodze – zauważył Adam.

–Jasne. Dasz sobie sam radę?

–Z pewnością.

–Poczekamy tu jednak na ciebie.

Kniewicz nie miał siły się sprzeciwić. W drzwiach łazienki odwrócił się jeszcze do Janti.

–Możemy pogadać?

–Kiedy tylko zechcesz.

–Chcę zaraz.

–Krysiu – odezwała się do koleżanki – zrobisz nam herbaty?

–Oczywiście.

Gdy dziewczyna wróciła na górę z herbatą Adam leżał już w łóżku, a Janti poprawiała jego kołdrę. Widać było, że potrzebował dłuższej chwili, by odpocząć. Krysia postawiła herbatę i wyszła.

–No dobrze – przerwała milczenie Janti. – Co chcesz wiedzieć?

–Nawet nie wiem, od czego zacząć. Powiedz po prostu, kim jesteście. Dlaczego co pewien czas siadacie w bezruchu i gdy patrzycie na siebie, żadne z was nie zauważa nawet muchy chodzącej mu po nosie? Dlaczego jecie te dziwne rzeczy? Czy to ze względów religijnych? Co oznaczają te obrazy? Słowem, co się tu dzieje?

Janti przysunęła krzesło do łóżka i usiadła. Poprawiała swoją szatę tak, aby się nie gnioła, a następnie przeniosła wzrok na Adama.

–Ludzie zwykle boją się lub wyśmiewają rzeczy i zjawiska, których nie znają. Widząc zachowanie nieco inne od tego, do którego są przyzwyczajeni, najczęściej reagują brakiem zaufania albo nawet agresją podczas gdy my jesteśmy właśnie zaprzeczeniem wszelkiej agresji. I wierz mi, nie modlimy się do bogini Kali.

Adam przełknął ślinę, niestety trochę głośniejszą, niż planował.

–Jesteście sektą – powiedział, uważnie przyglądając się jej reakcji.

–Niezupełnie. – Twarz Janti nadal wyrażała spokój i widać było, że spodziewała się tej wątpliwości ze strony Kniewicza. – Tutaj nikt nikogo do niczego nie zmusza. Ludzie przychodzą i odchodzą kiedy chcą chociaż przebywając u nas, muszą się podporządkować pewnym regułom.

–Na przykład? – Dziennikarz uśmiechnął się, co wyszło chyba nawet dość naturalnie.

–Nie wolno tu pić ani palić. Nie jadamy mięsa i kilku innych rzeczy, ale to już pewnie wiesz.

–No i każdy musi sobie kupić prześcieradło? Ja już mam. – Adam klepnął w łóżko.

–To się nazywa sari. Noszą je tylko ludzie związani z nami od dłuższego czasu. Można powiedzieć... wtajemniczeni.

Kniewicza wciąż korciło, aby spytać, skąd biorą pieniądze, doszedł jednak do wniosku, że nagle zachowuje się jak policjant, który właśnie spotkał UFO i stara się je za wszelką cenę przesłuchać.

–Janti, wiesz... ci wierni – zaczął i szybko tego pożałował. – Musicie chyba z czegoś żyć? – Błyskawicznie przeniósł wzrok na obraz z białą postacią, jakby coś go tam nagle niezwykle zainteresowało.

–To nie wierni, tylko studenci – odparła beznamiętnie Janti. – Jesteśmy czymś w rodzaju uniwersytetu duchowego. Od nikogo nie są wymagane żadne pieniądze.

Większość z nas normalnie pracuje zawodowo, inni uprawiają ziemię, którą tu mamy. Niewiele nam trzeba.

–Dlaczego powiedziałaś „uniwersytet”? Uczycie się czegoś tutaj?

–Oczywiście. Tyle tylko że nie matematyki czy geografii, lecz spokoju duchowego. Przychodzący tu ludzie często mają ze sobą poważne kłopoty. Gdy stąd odchodzą, zwykle wszystko jest już w porządku. Część z nich zostaje i jak mi mówią, są najszczęśliwsi.

–Ty jesteś tu profesorem? – Wyraźnie poczuł się już pewniej.

–Tak naprawdę najważniejszym nauczycielem był człowiek, który już dawno nie żyje. Zmarł jakieś trzydzieści lat temu. Ale przekazał swoją wiedzę uczniom, od których z kolei uczyłam się ja. Naszym zadaniem jest uczyć każdego, kto tego chce. Nikogo nie namawiamy ani tym bardziej nie zmuszamy. Ludzie sami przychodzą, gdy ktoś, kto tu był, opowie im o nas. On też nikogo do niczego nie namawiał. Jego uczniowie przyszli i chcieli się uczyć od niego, ponieważ imponował im sposób, w jaki żył i radził sobie z różnymi problemami.

–Guru?

–Raczej duchowy przewodnik. Ty byś powiedział: bardzo dobry psycholog, który naprawdę dużo wie, i to nie tylko o człowieku, ale także o tym, co go otacza. A to nie zawsze jedynie to, co widzimy.

–Od razu urodził się świętym? – Kniewicz nie mógł sobie darować ironii.

–Nie drwij z tego, o czym ci mówię. Dla nas to ważne. Nie, nie od razu był świętym. Urodził się w bardzo bogatej rodzinie w Mount Abu w indyjskim Radżasthanie. Był jubilerem. Miał żonę, dzieci, żył dostatnio. Ale potrafił wyczuć, że w jego życiu mimo wszystko coś jest nie tak. Uważał, że świat, który go otacza, niestety nie jest doskonały. Niby nic nowego, ale mało kto wyciąga z tego jakiegokolwiek wnioski. On jednak przeczytał wiele starych ksiąg i zaczął praktykować wiedzę z nich zaczerpniętą. Przede wszystkim oddał się medytacji. To coś w tym stylu, co widziałeś na dole. Po wielu latach doszedł do tego, czego teraz my się tu uczymy. Stał się tak silny, że nie mogło go spotkać żadne nieszczęście. Potrafił przeciwdziałać każdej przeciwności losu, zaradzić każdemu problemowi, aż doszedł do tego, kim naprawdę jest.

–Czyli?

–Obawiam się, że nie jesteś na to gotowy.

–Wypróbuj mnie. Jestem już duży.

–Może spróbujemy inaczej. Zdołasz usiąść?

–Jasne.

Adam powoli uniósł się na dłoniach, następnie zaś podsunął sobie poduszkę pod plecy. Janti przesunęła krzesło tak, aby znaleźć się jak najbardziej naprzeciw niego. Gdy już oboje usiedli w miarę wygodnie, wskazała palcem miejsce trochę poniżej czoła, między oczami.

–Na tej mniej więcej wysokości w głowie każdego z nas jest część mózgu zwana szyszynką. Spróbuj się rozluźnić i patrzeć w to miejsce. Nie przenoś wzroku gdzie indziej.

–To coś w rodzaju wpływu, powiedzmy, narkotyków? – Adam starał się ukryć zażenowanie.

–Narkotyki to przy tym zabawki. – Janti uśmiechnęła się tajemniczo i przyjęła postawę zbliżoną do tej sprzed kilkadziesiąt minut, kiedy to medytowała na dole z resztą białej gromadki.

–Powiem ci teraz kilka rzeczy, ale nie zadawaj żadnych pytań. Po prostu spróbuj się wglębić i to poczuć. Ja również będę patrzyła w miejsce, o którym mówiliśmy, z tym że na twoim czole. Będziemy w ten sposób widzieć swoje oczy. To ważne. Teraz spróbuj jak najbardziej rozluźnić wszystkie mięśnie, tak by ciało w niczym ci nie przeszkadzało. Wyobraź sobie, że jest coś w tobie, co być może okaże się bardziej tobą niż twoje ciało. Wolno i spokojnie... Nie śpiesz się. Uporządkuj myśli. Wyrzuć z umysłu wszystko, co niepotrzebne, co bolesne lub budzące lęk. To trudne, ale drogą do tego jest zaufanie. Wyobraź sobie spokój. Tak idealny i niezakłócony, że twoim jedynym zadaniem jest być i pływać w przestrzeni. Wejdź w siebie, powoli i ostrożnie, ale nie bój się. Nie myśl o niczym innym. Skup się wyłącznie na sobie. Znajdź to, co czujesz, jakby to była całkowicie materialna rzecz. Powoli...

Janti mówiła wolno, a Adam słuchał uważnie i coraz bardziej przymykał oczy. Nagle poczuł, że musi je choć na chwilę zamknąć.

–Nie zamykaj oczu – powiedziała bardzo wolno i cicho, ale Kniewiczowi zdawało się, że do głosu białej istoty ktoś dodał dziwne echo.

To, co widział, stawało się coraz jaśniejsze. Chciał się poprawić na łóżku, ponieważ nagle zrobiło mu się bardzo niewygodnie. Zaczął przeszkadzać mu każdy mięsień, a dziwne mrówki spacerowały po plecach i ramionach. Postanowił jednak, że zdusi w sobie to uczucie. Wyraźnie poczuł, że nie ma teraz nawet sekundy na to, aby przesunąć ciało w którąkolwiek stronę. Twarz Janti wciąż jaśniała, jakby zaczął ją oświetlać jakiś coraz silniejszy reflektor. Wreszcie twarz zniknęła, a została sama biel. Nie mógł w to uwierzyć. Przestał czuć fizycznie. Każdy fragment jego ciała stał się przyjemnie odrętwiałym, w tej chwili nieprzydatnym do czegokolwiek, bezbolesnym narzędziem. Jak przez mgłę usłyszał głos.

–Oderwij się, idź w kierunku światła. Unieś wszystko to, co do tej pory wydawało ci się zbyt ciężkie. Nie jesteś tym ciałem. Jesteś duszą.

Biel zaczęła pulsować, aż wreszcie zmieniła się w różowawe kręgi biegnące do niego i od niego. Płynął. Uczucie to było nie tylko niezwykle wręcz przyjemne, ale także zaskakująco naturalne. Ciało, które go bolało, stało się w tym momencie całkowicie niepotrzebne, a ból wydawał się śmiesznym, nieistotnym, zupełnie nieaktualnym doznaniem. Sen był dobrym określeniem tego, co w tej chwili odczuwał, ale przecież nie śnił.

Kobięcy głos dochodził teraz jakby ze wszystkich stron.

–Trwaj... Nie pozwól na upadek.

Adam się uśmiechnął. Nie wiedział, czy wyrażają to jego usta, ale śmiał się i czuł to. Nagle zdał sobie sprawę z obecności niewyobrażalnej siły, która jest pożyteczna, naturalna i niegroźna. Chciał jej dotknąć...

–Zamknij powoli oczy. Czas wracać – usłyszał wyraźnie.

Wykonał polecenie i niemal w jednej chwili poczuł niesamowity zawrót głowy. Bał się, że spadnie z łóżka. Coś go złapało i jakby rzuciło do tyłu. Miał lzy w oczach, najprawdopodobniej ze zmęczenia spojówek, gdyż przez pewien czas nie panował nad powiekami. Oczy wyraźnie go piekły. Zawroty głowy z wolna poczęły mijać. Janti stawała się coraz wyraźniejsza, aż wreszcie otworzył powieki, dzięki czemu rzeczywistość nabrała kształtów. Patrzył teraz szeroko otwartymi oczami na białą istotę, nie wiedząc, o co zapytać.

–Jak długo to trwało? – spytał w końcu przytomnie.

–Jakieś pięć minut. Prześpij się.

–Ta biel...

–To złudzenie optyczne. Tak reaguje wzrok, kiedy długo patrzysz w jedno miejsce. To mniej ważne, istotne jest to, co czuleś. Teraz odpocznij, jeszcze o tym pogadamy.

Janti wstała powoli i wyszła z pokoju. Adam wciąż patrzył na drzwi, które zamknęły się za nią. Wreszcie usłyszał własny głos.

–O Boże! Ultra, gdzie ja jestem?

ROZDZIAŁ 6

Stół był dość długi i szeroki. Z pewnością zbyt duży na takie zebranie.

Podinspektor Skrobek uroczyście wstał i przedstawił towarzyszących mu oficerów. Podobnie postąpił Piotr Krentz, tyle tylko że mniej pretensjonalnie. Zręcznie ukrywał niezadowolenie, mając nadzieję, że spotkanie nie potrwa zbyt długo. Pułkownik dobrze znał wszystkich przy stole, ale wyuczona nieufność sprawiała, że zawsze miał się na baczności. Siedzący po prawej stronie Skrobka komisarz Grzegorz Wojciul – łysy czterdziestolatek o dość aroganckim wyrazie twarzy, niezbyt bystry, ale zawsze świetnie wyczuwający koniunkturę – był nieodłącznym towarzyszem podinspektora na wszystkich tego rodzaju zebraniach. Tadeusz Soszyński, również komisarz, stanowił przeciwieństwo Wojciula. Przystojny, bardzo inteligentny – o czym Krentz doskonale wiedział – towarzyszył Skrobkowi rzadziej, a odzywał się tylko wtedy, gdy go o to proszono. Używał przy tym minimalnej liczby słów, choć w przeciwieństwie do obu policjantów, z którymi przyszedł, był mówcą konkretnym i znacznie mniej nudnym. W tej chwili wyglądał na głęboko zamyślonego i niemal nie zareagował, gdy podinspektor go przedstawił.

Spotkanie, mimo że wymuszone przez premiera, było od dawna potrzebne i Krentz dobrze o tym wiedział. Prezydent również sobie go życzył, co praktycznie przesądzało sprawę.

Skrobek usiadł, otworzył swoją teczkę, a następnie zaczął wolno i raczej dość monotonicznie tokować.

–Spotkanie ma charakter roboczy, a jego celem jest wymiana informacji oraz ustalenie warunków współpracy. Naszym zdaniem, dalsze działania powinny być zdecydowanie zespolone.

Ultra ledwo się powstrzymała, aby nie ziewnąć, ale gdy usłyszała sformułowanie „zdecydowanie zespolone”, mało nie parsknęła śmiechem.

Spojrzała szybko na Bauera. Miał twarz jak gład. Gdyby go dobrze nie znała, mogłaby pomyśleć, że obok niej siedzi jakiś sztywniak cierpiący na przewlekłe zatwardzenie. Postanowiła, że przybierze równie kamienny wyraz twarzy i doczeka się może wreszcie czegoś ciekawego.

Krentz nie miał tyle cierpliwości ani czasu, postanowił więc jak najszybciej przejść do rzeczy.

–Trzy dni temu przekazaliśmy wam wszystko, co mamy na temat Doroty Karskiej, zamordowanej 20 maja przez nie znanych jeszcze sprawców. Jeśli macie, panowie, jakiegokolwiek dodatkowe informacje, którymi moglibyście się z nami podzielić, ułatwiłoby to dalsze śledztwo.

–Dzisiaj rano otrzymaliśmy pełny raport – stęknął Skrobek, ciężko podnosząc się z fotela. – To na razie wszystkie dostępne informacje. Raport pochodzi z Interpolu. Komisarz Soszyński, bardzo proszę – zakończył, wskazując na kolegę.

Soszyński otworzył swoją teczkę i wyjął z niej zdjęcie dziewczyny, sfotografowanej na ruchliwej ulicy obok wysokiego, bardzo krótko ostrzyżonego mężczyzny w średnim wieku.

–To Dorota Karska obok Johanna Kerthoffa, częstego, nawiasem mówiąc, gościa

w naszym kraju. To jedyne jej zdjęcie, jakie mamy z ostatnich, powiedzmy, pięciu lat. Zrobiono je w Amsterdamie. Mieliśmy trochę szczęścia. Te kilka dni to zbyt mało na dokładne dochodzenie, ale Kerthoff był często notowany. Nigdy jednak nie udało się mu niczego udowodnić. Podejrzewamy, że zajmuje się handlem kobietami z państw Europy Środkowo-Wschodniej. Karska uważana była za jego konkubinę. Niegdyś luksusowa call-girl, później najbliższy współpracownik. Od kilku lat mieszkali w Amsterdamie, dokładnie nie wiadomo, od kiedy. – Soszyński na chwilę przerwał, po czym wyjął z teczki niewielką kartkę. – Pięć tygodni temu nagle zniknęli – kontynuował. – Sądzymy, że już wtedy przyjechali do Polski. Nasi informatorzy donoszą, że podobno widziano ich w kilku miastach. Śmierć Doroty Karskiej potwierdza te dane. Teraz jednak Kerthoff zniknął i nikt, nawet nasze najlepsze „wkręty”, nie potrafi powiedzieć, co się z nim dzieje. Być może również nie żyje. Najważniejsze w tej chwili jest to, że był jednym z najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników znanego nam wszystkim Szczękusia. Podejrzewamy, że Szczękuś może być powiązany z zabójstwem senatora Kamińskiego. Soszyński usiadł, przeglądając wciąż jeszcze papiery, być może z obawy, czy o czymś nie zapomniał.

–Co panowie o tym sądzą? – spytał Skrobek, przywołując na swoje oblicze znany wszystkim sztuczny uśmiech.

–Jesteśmy właściwie pewni, że senatora zamordowali ludzie Szczękusia – odparł Bauer, powoli unosząc się z krzesła. – Nie wiemy tylko, dlaczego, a przede wszystkim, na czyje zlecenie ci sami ludzie próbowali zabić Adama Kniewicza, dziennikarza TVP, brali udział w porwaniu Marty Karskiej, a teraz ścigają wszystkich znanych im świadków. Mamy część dowodów, ale to zbyt mało, żeby postawić ich przed sądem i wlepić im dożywocie. Podobnie jak wy, wciąż nie mamy źródła.

Bauer spojrzał na Krentza, ale brak reakcji szefa wskazywał na to, że wszystko idzie zgodnie z planem.

–Najprawdopodobniej centralną postacią wykonawczą spisku jest doskonały międzynarodowy płatny zabójca – kontynuował major. – Z tego, czego się do tej pory dowiedzieliśmy, to Słoweniec. Doskonale mówi po polsku. Nikomu nie udało się go sfotografować. Nie wiemy, jak wygląda, nie wiemy, jak się nazywa. Nasi agenci twierdzą że niektórzy ich informatorzy widzieli go. Jest podobno bardzo niepozorny. Niski, szczupły, nosi okulary. Nie zmienia to faktu, że to niezwykle niebezpieczny zabójca. Jak wskazują jego dokonania, jest bardzo inteligentny, wykształcony, zna kilka języków. I bardzo drogi. Na jego usługi mogą sobie pozwolić tylko niezwykle wpływowi ludzie. Podejrzewamy, że w Polsce kontrakty załatwia mu Szczękuś. Podsumowując: senator zginął, ponieważ stał się posiadaczem niebezpiecznej teczki, o której zawartości nikt nie ma pojęcia. Teczka zniknęła. Marta Karska, najpewniej dzięki siostrze, musiała przypadkowo dowiedzieć się czegoś, czego chcieli się dowiedzieć porywacze. Musimy wziąć pod uwagę możliwość, że ona również już nie żyje, podobnie jak siostra. – Bauer sprawdził w notatkach, czy to wszystko. – Aha, jeszcze jedna sprawa. – Major oderwał na chwilę wzrok od kartek, aby sprawdzić reakcje słuchaczy. Zaciekawienie policjantów było aż nadto widoczne. – To dość

dziwne, lecz wiele wskazuje na to, że Dorota Karska brała udział w porwaniu siostry, a później być może straciła zaufanie swych mocodawców i została zlikwidowana. Świadkowie twierdzą, że do czarnego volkswagena golfa Marta Karska wsiadła dobrowolnie, tak więc musiała dobrze znać któregoś z pasażerów. Być może tą znajomą osobą była po prostu siostra. To poniekąd pasuje do jej rysu psychologicznego. Jak utrzymuje nasza agentka, „do rany przyłóż” to ona raczej nie była. Z tego, co powiedziała nam była dyrektorka domu dziecka, w którym wychowywała się Dorota, wnosimy, że dziewczyna już w dzieciństwie zdradzała symptomy osobowości socjopatycznej.

–Może teraz porozmawiajmy o człowieku, który dostarczył senatorowi teczkę – wtrącił się Skrobek.

Bauer, którego pytanie wyraźnie zaskoczyło, rzucił szybko okiem na pułkownika, czekając na decyzję.

–Nie jesteśmy przygotowani na rozmowę na jego temat. Za mało wiemy – powiedział spokojnie Krentz.

–Mimo wszystko wiecie, że był w Polsce, i podobno nawet wpadliście na jego trop – rzekł sucho Skrobek.

–Bardzo chcielibyśmy wpaść na jego trop, ale niestety nie udało się nam.

Krentz liczył na to, że podinspektor blefuje. Nie mógł wiedzieć, że śledzili kuriera i że go zgubili.

–No dobrze, może uda nam się wrócić do tego tematu kiedy indziej. Interesuje nas jeszcze inna rzecz, pułkowniku. Co ma z tym wspólnego Adam Kniewicz?

–To proste. Był narzeczonym Karskiej. Mogła mu wszystko powiedzieć. Nie chcieli ryzykować.

–Ale nie powiedziała, więc nic nie wiemy.

–Niestety.

–Nie uważa pan, że przy profesjonalizmie, z jakim zamordowano senatora i porwano Martę Karską, sposób, w jaki wzięli się za Kniewicza, trochę trąci amatorką?

–Co pan sugeruje?

–Podłożyli bombę w jego mieszkaniu, ale uszedł z życiem. Udało mu się uciec i nadal żyje.

Krentz wyczuł, że policjanci chcą go sprowokować, aby dokładnie opowiedział o tym, co w tej chwili dzieje się z Kniewiczem.

–Mija się pan z prawdą, podinspektorze – rzucił chłodno. – Bomba z mieszkania pana Kniewicza była najwyższej klasy. Cudem uniknął śmierci. Szanse przeżycia miał jak jeden do miliona.

Ultra uważnie obserwowała twarze policjantów, próbując wyczuć, czy to kupili. Zakłopotanie Skrobka i Wojciula dawało pewną nadzieję, ale nic nie mówiące zamyślenie Soszyńskiego sprawiało, że trudno jej było zgadnąć, czy komisarz w ogóle słucha.

–Zresztą, proszę mi wierzyć – ciągnął Krentz – oni wciąż polują na pana Kniewicza. Naszczęście nic mu nie grozi. Ukryliśmy go w bezpiecznym miejscu.

–Jest jeszcze kilkoro ludzi luźno związanych z Kniewiczem – podchwycił Bauer. – Dalsza rodzina, przyjaciele. Oczywiście zapewnił im pełną ochronę. Na razie żadna z tych osób nie była niepokojona przez przestępców.

–Mówi pan także o jego byłej żonie? – spytał nagle Skrobek.

Krentz poczuł, jak ciarki przechodzą mu przez kręgosłup, jednak nadludzkim wysiłkiem zdołał opanować zaskoczenie.

–Nie ma obawy – rzucił niedbale podinspektor, uważnie obserwując oblicze pułkownika. – Od dawna jest u nas. Jak to wy mówicie: w bezpiecznym miejscu. – Z nie ukrywaną satysfakcją odczekał, aż chwila ciszy potwierdzi jego tryumf, po czym zawyrokował: – Jeżeli nie macie, panowie, nic do dodania, myślę, że możemy na dziś skończyć.

Ocierając chustką pot z czoła, Skrobek wolno wstał. Dwaj jego towarzysze również się podnieśli, podali ręce Krentzowi, Ultrze i Bauerowi, a następnie wyszli z sali.

–Kurwa! – rzucił przez zęby Krentz. – Wyszliśmy na idiotów.

–Przepraszam – powiedział Bauer.

–To nie twoja wina. Powinniśmy od początku wziąć się do tego przyzwoicie.

–Była żona to właściwie ich sprawa, to cywil. Bardzo luźno związana... – mruknął nieśmiało Bauer.

–Przestań! – uciął pułkownik. – Gliniarze już poszli, nie musisz wciskać kitu.

–Co to za kurier? – spytała Ultra. – Ciągle o nim słyszę i nikt właściwie mi nie wyjaśnił, o co chodzi.

–Krzysztof, zamknij dobrze drzwi – zażądał Krentz.

–Rozumiem, że to facet, który dał teczkę senatorowi. – Dziewczyna zerknęła, czy major skończył z drzwiami.

–To nie takie proste – odparł pułkownik. – Zanim ściągnęliśmy cię z Afganistanu do sprawy Kniewicza, mieliśmy cynk, że do Polski przyjechał ktoś, kto ma jakieś materiały kompromitujące ważne osobistości. Zajęliśmy się tym, ale nie przywiązywaliśmy do tego zbytnej wagi. Źródło było niepewne, a w dodatku nie wiedzieliśmy, co gość chce zrobić z tymi papierami. Takich materiałów Urban dostawał w „NIE” i innych swoich gazetkach kilka dziennie. Nie było powodów do niepokoju. Sprawę należało po prostu sprawdzić. Okazało się jednak, że to grubsza rzecz. Jak wiesz, zabito senatora, a następnego dnia kurier, którego już prawie dorwaliśmy, zniknął.

–Prędzej czy później facet wypłynie. – Ultra wzruszyła ramionami.

–Też chciałbym w to wierzyć. Ale wiesz co? Jakoś nie wierzę.

–Co powiesz prezydentowi? – wtrącił Bauer.

–Zastanowię się po drodze. Spieprzajmy stąd.

–Jeśli ktoś potrafi nauczyć się spokoju, reszta to już tylko kwestia czasu – powiedziała Janti, patrząc z uśmiechem na Adama, który siedział naprzeciw niej w fotelu pod sędziwą jabłonią pachnącą czystą wiosną. Piękna pogoda wypędziła wszystkich do ogrodu lub do lasu, na spacer. Słońce stało na niebie nie przesłonięte żadną, nawet najmniejszą chmurką. Było ciepło i bezwietrznie.

Adam zdążył się już przyzwyczać do sposobu myślenia tej przedziwnej kobiety. Po wielu, czasem śmiesznych, a czasem tajemniczych rozmowach dowiedział się wreszcie, że Janti jest swego rodzaju joginką. Jej nauka jednak nie skupiała się na fizyczności, czego uczy popularna joga ciała, ale na duchu. Wszystko to było trochę dziwne, lecz fascynujące i – czego nie wstydział się przyznać – całkiem wciągające. Nie przeszkadzało mu to jednak spierać się z Janti i zadawać jej kłopotliwych pytań, co powodowało, że szybciej wracał do zdrowia i raczej się nie nudził.

–Nie sądzisz, że absolutny spokój to zwykły nihilizm, olewanie wszelkich wartości, wszystkiego? – spytał, przyjmując pozę starogreckiego filozofa.

–Mylisz się – odpowiedziała poważnie. – Spokój to porządek, opanowanie i harmonia, a nie odizolowanie od rzeczywistości. Spokój to rodzaj interpretacji faktów, zdarzeń i rzeczy, nie zaś odrzucanie ich. Zwróć uwagę na to, że dzisiejszy sposób życia polega na tempie. Im szybciej wszystko robimy, tym w sensie społecznym większy odnosimy sukces. Tylko że płacimy za to ogromną cenę, którą jest straszny bałagan w naszym umyśle. Liczba bodźców dezorientuje nas do tego stopnia, że właściwie nie wiemy już, kim jesteśmy.

Janti przerwała na chwilę, aby sprawdzić reakcję Adama. Przyjrzała mu się uważnie, kojąc dość gorzkie słowa ciepłym uśmiechem. Na twarzy Kniewicza nie wyczytała wszakże niczego niepokojącego, a jego zaciekawienie zachęciło ją do kontynuowania wywodu. Mówiła wolno, dobitnie, akcentując te słowa, które wydawały jej się szczególnie ważne.

–Człowiek bez tożsamości to tylko bezwładne ciało pozbawione woli i prawdziwego „ja”. Skutkiem tego wszystkiego jest lęk, a nawet rozpacz. Czy wiesz, że dziewięćdziesiąt procent cierpiących na depresję i lęki egzystencjalne to tak zwani ludzie sukcesu? Młodzi biznesmeni, ludzie szybkich karier, ci wszyscy zdolni i przedsiębiorczy. W pracy niezwykle energiczni i pomysłowi, w domu pełni są wątpliwości i coraz bardziej nieszczęśliwi. Ale to dopiero początek. Zaczyna się od bezsennych nocy i lęków. Boją się przyszłości, tego, że stracą pozycję, że ciężko zachorują. Myślą o śmierci, jej lękając się najbardziej. Później dochodzą beznadzieja, niezwykle smutek, poczucie bezsensu jakiegokolwiek działania. Ludzie ci po pewnym czasie zaczynają się opuszczać w pracy, tracą siły, wreszcie pozycję, a nawet posiadłość. Definiują świat jako szary, beznadziejny, tragiczny. Ten sam świat, który jeszcze niedawno tak kochali i który dał im taki sukces. Dlaczego? Bo to nie świat poszarzał, tylko oni zapomnieli, kim są i zgubili ścieżkę, którą powinni kroczyć. My tutaj przypominamy im, kim tak naprawdę są i dlaczego o tym zapomnieli.

–Wcześniej wiedzieli o sobie wszystko?

–Niezupełnie. Brakashmari Baba, o którym opowiadałam ci w zeszłym tygodniu, twierdził, że człowiek już dawno zapomniał, kim jest, a dzisiejszy świat jest światem niewiedzy. On to nazywał Żelaznym Wiekiem, w przeciwieństwie do Wieku Złotego, w który żyli na przykład Lakszmi i Narayan. To ta para z portretu w twoim pokoju. Byli kimś w rodzaju pierwszych, doskonałych ludzi. Stanowią odpowiednik Adama i Ewy w chrześcijaństwie, tylko że Adam i Ewa zgrzeszyli, a Lakszmi i Narayan nie musieli tego robić, ponieważ byli wolni i szczęśliwi. Niczego im nie brakowało. Ich

bogactwem były wiedza i świadomość. Nie grzeszyli, zrywając jabłka, gdyż nikt nie zabraniał im tego robić.

Janti zamknęła na chwilę oczy, by wystawić twarz do słońca.

–Wiesz, co myślę? – Adam się uśmiechnął. – To, co mówisz, jest mądre i być może wiele osób powinno się nad tym zastanowić. Ja jednak nie czułem się do tej pory nieszczęśliwy, mimo że robię tak zwaną karierę. A jeśli teraz cierpię, to nie dlatego, że zgubiłem ścieżkę, ale przede wszystkim dlatego, że ktoś zabił kobietę, którą kochałem. Nasze życie było w miarę uporządkowane i wszystko układało się dobrze do momentu, kiedy ktoś nas skrzywdził, i to zupełnie bez powodu.

–Tutaj też się mylisz – wtrąciła Janti. – Ale w tej chwili nie potrafię ci tego udowodnić. Jesteś jak rozbitek na krze, cieszący się, że ogrzewa go słońce, które przecież kiedyś roztopi jego wyspę. A wtedy będzie już za późno na ratunek. Nie masz niczego, co by cię chroniło. Jesteś uczciwy i nosisz w sobie wiele piękna, ale jednocześnie jesteś bezbronny jak motyl w obliczu burzy, który prędzej czy później straci siły. Brak ci siły, Adam. Brak ci czegoś, co będzie cię chroniło, gdy nadejdą ludzie jeszcze gorsi od tych, których spotkałeś do tej pory. Wyznajemy tu starą wschodnią i chyba znaną nawet tobie zasadę: Cokolwiek robimy i czujemy, może to zależeć od nas. To kwestia świadomości.

Kniewicz wziął głęboki wdech, aby rozkoszować się chwilę świeżym leśnym powietrzem.

–Posłuchaj, jesteście tu szczęśliwi i to jest w porządku. Ale to dotyczy tylko takich jak ty, Krysia czy kilka innych osób. Pasuje wam to i fajnie, reszta to otoczka. Nie obrażaj się. Zróbmy tak: powiedz mi, kim jesteś, a później ja postaram się opowiedzieć ci o sobie.

–Obiecujesz, że nie spadniesz z fotela?

–Masz to jak w banku.

–My tutaj nie uważamy się za to, co widzimy gołym okiem. Nie jesteśmy tak naprawdę tym ciałem, tą twarzą czy tymi oczami. To tylko kostium, coś, co pozwala żyć tu, na Ziemi. To coś, co pozwala komunikować się z innymi, odczuwać ból, pragnienie, apetyt, zapach. Wiesz, o co mi chodzi?

–Nie jesteś tym, co widzę? – Adam starał się przybrać jak najinteligentniejszy wyraz twarzy.

–Spokojnie, wszystko po kolei. Chcę po prostu powiedzieć, że to, czym jestem, co jest świadomością i właściwie wiecznym istnieniem, jest niematerialne i nieśmiertelne.

–Ja również wierzę, że jestem połączeniem ciała i duszy – wtrącił się Adam.

–Nie. – Janti się uśmiechnęła. – Ja nie jestem połączeniem duszy i ciała. Ja jestem po prostu duszą. Tylko duszą – podkreśliła z naciskiem.

–Oni też? – Kniewicz wskazał spacerujących po ogrodzie.

–Wszyscy. Wszyscy jesteśmy duszami w bardzo niedoskonałych kostiumach, takich jak te ciała, wyposażonych w coś w rodzaju komputera, który nazywamy mózgiem. Tak uważamy – dodała, widząc jego zmieszanie. – I tak uważał Baba.

–Baba?

–Brakashmari Baba. Baba to po hindusku „ojciec”.

–Wierzycie w to?

–Jesteśmy tego pewni i doświadczamy tego. Medytacja to jeden ze sposobów.

–O Boże.

–To nic strasznego, to zwykły porządek świata.

–Wybacz, ale to tylko jedna z religii.

–Nazywaj to, jak chcesz. Dla nas to sposób życia, przyszłość i wiedza.

–Sposób życia...

–Nie jest chyba taki zły. Nigdy poważnie nie chorujemy, jesteśmy zadowoleni z siebie. Nikt z nas nigdy nie zginął w żadnej katastrofie, w żadnym wypadku. Kiedyś powiedział to zresztą Brakashmari: „Nikt z was nigdy nie zginie w żadnym wypadku”. I oczywiście nie uwierzysz, ale przez te kilkadziesiąt lat na całym świecie nikt z nas nie zginął w jakimkolwiek wypadku, a braminów jest kilkadziesiąt tysięcy. Nie wierzysz?

–Proszę cię...

–To nieistotne. Ważne jest to, abyś obserwował. Abyś potrafił zadawać sobie pytania i odpowiadać na nie.

–Chrześcijanie wierzą że ich dusza, zakładając optymistyczną wersję, idzie do nieba.

–Do nieba to znaczy gdzie? My wędrujemy. Zmieniamy ciała, czas, w którym pojawiają się na Ziemi, ale to ciągle my.

–Wędrowka dusz... Reinkarnacja... Nieźle.

–Niektórzy z nas wiedzą kim byli kiedyś. Widzieli to i pamiętają. Na razie nie pytaj, jak tego dokonali, to rozmowa na daleką przyszłość. Nie mówię ci wszystkiego nie dlatego, że ci nie ufam lub mam za głupca. Przy obecnym stanie twojej wiedzy nie zrozumiałbyś tego. I tak wiesz już zbyt dużo, a to wszystko masz za jedno wielkie szaleństwo.

–Janti, spokojnie, my tylko dyskutujemy.

–No proszę.

–Musisz mnie zrozumieć. Jestem dziennikarzem. Obserwuję i opisuję rzeczywistość, a my tu rozmawiamy o filozofii. To trochę co innego niż telewizja. Spotkałem już ludzi, którzy widzieli UFO, lewitację, duchy. Takich, co na co dzień gadają z pradziadkami z czasów powstania listopadowego lub z kumplami ET. Każdy z nich, kiedy opowiada, ma łzy w oczach lub jest śmiertelnie przerażony. Większość nie kłamie, bo kłamie ten, kto zna prawdę i ją omija. A oni wierzą w to, co mówią, tyle że najprawdopodobniej się mylą. Być może świat jest mniej idealistyczny, niż myślimy. Może to tylko trochę chemii, trochę ruchu i wielka fizyka, a nie chmary nieśmiertelnych duchów, którym już chyba samym myli się, z której pochodzą religii. Ciężko mi, Janti, wyobrazić sobie mrówkę, misia czy króliczka, których dusze kiedyś zaopatrzą ciała moich wnuków.

–Reinkarnacja dotyczy tylko ludzi.

–Co za ulga.

–Nie uciekniesz przed tym, przekonasz się.

–To zdanie chyba już słyszałem w jakimś horrorze.

–Horror to to, co się dzieje teraz na świecie, czego jesteś najlepszym przykładem!

–Chyba pójde się przejść. – Adam powoli zaczął wstawać.

–Przepraszam. To, co powiedziałam, było zbędne. – Janti wydawała się trochę zmieszana.

–W porządku, ale mimo wszystko chcę trochę pochodzić. Wciąż nie jestem zbyt silny.

–Boli?

–Właściwie nie. Wasze zioła czynią cuda. A tak w ogóle, co to za zioła?

–Nie chcesz wiedzieć.

Adam się uśmiechnął. Udało mu się już wyprostować, więc oparł ręce o drzewo, aby sprawdzić, czy z jego brzuchem na pewno wszystko w porządku. Czuł, że jest gotów do spaceru, więc otrzepał ręce z kory i podreptał w stronę miejsca, w którym rosły truskawki.

–Adam! – Janti ocknęła się jakby z zamyślenia.

–Tak? – Kniewicz zatrzymał się na chwilę.

–Jutro jadę do Warszawy. Przyjeżdża Dadi Buralti, dyrektor naszego uniwersytetu w Londynie. Być może przy okazji spotkam się z Ultrą. Przekazać jej coś od ciebie?

–Może porozmawiamy jeszcze wieczorem?

–W porządku.

–Aha. – Adam uśmiechnął się zawadiacko. – Byłbym zapomniał. Dlaczego nie jadacie cebuli, czosnku i jajek?

–W czosnku i cebuli są związki wzmagające w człowieku agresję, a jajko to w zamierzeniu natury życie. To tak, jakbyśmy jedli mięso.

–Na wszystko jest odpowiedź?

–Gdyby tak było, umarłabym z nudów, mimo że jestem nieśmiertelna.

Kniewicz nie miał siły tego komentować, więc uśmiechnął się tylko i wolno podreptał w głąb ogrodu.

Czarna lancia jechała płynnie i dość szybko. Dopiero kilka minut wcześniej minęło południe, więc Wisłostrada nie była zbyt zatłoczona. Poranne korki rozładowały się w okolicach dziesiątej, a na popołudniowe godziny szczytu Warszawa będzie musiała poczekać jeszcze dwie, trzy godziny.

Podinspektor Skrobek siedział zamyślony na tylnym siedzeniu, niezbyt uważnie słuchając wierzącego się niemiłosiernie obok Grzegorza Wojciula. Przejęcie i satysfakcja były z oblicza komisarza, a co najgorsze, usta nie zamykały mu się od co najmniej dziesięciu minut.

–Ale pan ich zrobił, panie podinspektorze! Aż miło było patrzeć! – wybuchnął kolejny raz.

–Już to mówiłeś, Grzesiu, daj spokój! – Wyras twarzy Skrobka nie zmieniał się. Podinspektor obrócił się nawet do okna, by popatrzeć na kajakarzy ćwiczących na rzece, co jak sądził, pomoże mu się skupić.

–Co sądzisz o tych materiałach? – spytał, nie odwracając się.

–Jakich materiałach?! – bąknął zaskoczony Wojciul.

–Nie ciebie pytam.

Siedzący z przodu Tadeusz Soszyński wiedział, że pytanie jest skierowane do niego, ale nie spieszył się z odpowiedzią. Przyglądał się uważnie jezdni za przednią szybą jakby kontrolował poczynania kierowcy. Pan Wiesław, wożący Skrobka od ponad pięciu lat, ponad wszelką wątpliwość był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Nigdy nie odzywał się nie pytany, zawsze błyskawicznie zapominał o usłyszanych w wozie rozmowach, zawsze był lojalny i pewny za kierownicą. Jego kamienna twarz najczęściej nie wyrażała nic prócz zainteresowania drogą, podobnie jak w tej chwili.

–Nie ruszałbym tego – odpowiedział Soszyński.

–Dlaczego?

–To chyba nie nasza sprawa. Takie rzeczy oni sami powinni załatwiać we własnym gronie.

–Jak zwykle jesteś naiwny, Tadziu – zachnął się Skrobek. – Oni nie mają wydziału wewnętrznego. Żaden z ich przekrętów nie ujrzy nigdy światła dziennego, jeśli się tym nie zajmiemy. Ukryją wszystko, a nas będą mieli za idiotów! – Poczerwieniał na policzkach, jego mina zaś stawała się coraz bardziej zacięta. Nie potrafił ukryć niechęci do agencji i szczerze nienawidził jej dowódcę. – Od początku nie podobała mi się ta agentka – powiedział już spokojniej, po chwili przerwy.

–Co ona zrobiła? – spytał z zainteresowaniem Wojciul.

–Nieźle narozrabiała dwa lata temu – odparł z satysfakcją Skrobek. – Tyle tylko że my dowiedzieliśmy się o tym dopiero wczoraj!

–Dlaczego nie poruszył pan tego na zebraniu? – Komisarz wyraźnie stracił rezon, obruszony, że wcześniej go nie poinformowano.

–Szczególnie teraz, Tadziu, powinniśmy się zająć tą sprawą – zawyrokował podinspektor, ignorując pytanie Wojciula.

–Nie podobają mi się te materiały. – Soszyński pokręcił głową. – Cała ta sprawa może nam tylko zaszkodzić.

–A ja myślałem, że jesteś inteligentniejszy. – Skrobek po raz pierwszy, odkąd wsiedli do samochodu, szczerze się uśmiechnął. – Musisz się jeszcze dużo nauczyć, Tadziu. Bardzo dużo.

Soszyński nabrał głęboko powietrza w płuca, ale jego spojrzenie niezmiennie skupione było na jakimś punkcie za przednią szybą jakby w ogóle nie usłyszał tej uwagi.

–Grzesiu, gdzie teraz jest... Mostowiec? – spytał nagle podinspektor.

Soszyński lekko drgnął.

–Właśnie wrócił – odparł Wojciul.

–Przyślij go do mnie.

–Tak jest.

Soszyński zamknął na chwilę oczy, po czym mocno zacisnął dłonie. Wreszcie obrócił się w prawo, aby wyrzeć przez szybę. Słońce odbijało się urokliwie w rzece. Wisła wydawała się dziś szczególnie piękna.

Janti postanowiła, że do kolacji poda Adamowi herbatę z melisy. To go trochę

uspokoi i uporządkuje pracę żołądka. Sięgnęła po zioła i zanurzyła je we wrzątku.

–Kto dzisiaj robi kolację? – spytała wchodzącą właśnie do kuchni Krysię.

–Zbyszek i Artur.

–To pewnie znowu przygotowują to fu i jakieś dziwne toli. Po tym ich jedzeniu mam coraz grubszy „kostium”.

–Robią najlepsze toli i dlatego tyje ci „kostium”. Nie każą nam jednak aż tyle tego jeść.

–Mogłabyś wykrzesać z siebie trochę litości dla starszej siostry.

–A tak a propos, jak się dzisiaj miewa nasz nowy brat?

–Obawiam się, że będzie musiał na razie odejść, i to dość szybko. Ultra chce zabrać go w przyszłym tygodniu. Jest już właściwie zdrowy.

–On jest zdrowy czy jego ciało?

–„Kostium” leczy się szybko, a ścieżki szuka się do końca.

–Wróci do nas?

Janti przyjrzała się uważnie dziewczynie, której uśmiech jakby na chwilę zbladł.

–Tak tylko pytam – szepnęła Krysia i szybko wymknęła się z kuchni.

Janti odprowadziła ją wzrokiem, lekko westchnęła, po czym zręcznie chwyciła małą tacę z herbatą i cukrem, aby udać się do pokoju Adama. Po drodze spotkała jeszcze Artura, który tajemniczym uśmiechem odpowiedział jej na pytanie dotyczące menu wieczornego posiłku, a następnie wspięła się po schodach. Drzwi pokoju były lekko uchylone, więc tylko pchnęła je, witając Kniewicza jak zwykle uśmiechem.

–Nie kładziesz się? – spytała, dostrzegłszy, że wciąż jeszcze ma na sobieienne ubranie.

–Nie czuję się zmęczony.

–Dobrze by było, gdybyś się trochę pooszczędzał.

–Inna herbata? – spytał, zauważywszy lekko zielonkawy napój w szklance.

–To dobre zioła, powinieneś przeżyć.

–Janti, czuję się już dobrze. Mogę sam robić sobie posiłki, nie fatygując was, ale dziękuję.

–Rzadko robimy sobie tu sami posiłki, zwykle robią to duszyczki wyznaczone konkretnego dnia. Przygotowanie jedzenia dla wszystkich to zaszczyt.

–A które „duszyczki” mają dyżur dzisiaj?

–Zbyszek i Artur, spotkałeś ich kilka razy. To bardzo dobrzy kucharze.

Kniewicz podszedł do ściany, na której wisiały trzy obrazy.

–Lakszmi i Narayan – powiedział, wskazując na pierwszy z nich.

–Piątka z plusem.

–Teraz w szkole są już szóstki.

–Na drugim obrazie jest bramin, który właśnie połączył się z najwyższą duszą – wyjaśniła Janti, uprzedzając pytanie Adama.

–Z Bogiem?

–Nie wiem, czy Bóg to dobre określenie. My nikogo nie czcimy, co najwyżej czerpiemy energię. Jesteśmy jego częścią. Widzę, że oczekujesz kolejnej lekcji. Jesteś chyba najpilniejszym studentem tego uniwersytetu.

–Jestem po prostu ciekawskim facetem – odparł, ujmując kubek.

–Usiądź wreszcie, chodziłeś cały dzień.

Adam opadł na krzesło.

–Bohaterowie trzeciego obrazu to chyba dość znane osobistości? – Uśmiechnął się.

–Jezus, Mahomet, Budda, Manitu, Ra...

–Wszyscy bogowie razem...

–Nie wszyscy. Na przestrzeni dziejów bogów było chyba więcej niż nazwisk w każdej książce telefonicznej. Według mnie to dowód na to, że wszyscy są nieprawdziwi.

–No proszę, jesteś chyba najbardziej uduchowioną ateistką jaką znam.

Opowiadasz mi o duszy, nieśmiertelności i grzechu, a na końcu stwierdzasz, że nie ma Boga. Moje gratulacje.

Kniewicz się roześmiał, ale nie było w tym nawet cienia złośliwości.

–Ludzie zawsze potrzebowali kogoś, do kogo mogliby się modlić, kogo mogliby czcić i się bać. Nawet kiedy system polityczny zabraniał wierzyć w Boga. Na przykład w komunistycznym Związku Radzieckim bardzo wielu ludzi modliło się do Stalina. Wiesz, że ponad pięćdziesiąt procent społeczeństwa wierzyło w jego nieśmiertelność?

–Upraszczasz, Janti – zaoponował Adam. – Traktujesz ludzi jak nierozumną masę wierzącą w bajki, za które uważasz to, co jest napisane na przykład w Biblii.

–Ludzie nie są nierozumni, tylko zagubieni. A ja, w przeciwieństwie do waszych księży, nie każę podporządkowywać się bezmyślnie wszystkiemu, co wymyśli Kościół. My nigdy nie zabijaliśmy za wiarę, jak to jeszcze do niedawna czynili katolicy. Nie każę nikomu zwierzać się księdzu, kimkolwiek on jest, z największych sekretów, bo Kościół wymyślił coś tak poniżającego jak spowiedź. Jeśli już koniecznie chcesz nazywać istotę najwyższą Bogiem, to wiedz, że jestem przekonana, że Bóg istnieje, ale nie wymaga oddawania mu czci niczym zakompleksiony władca, a już z pewnością nie napisał tak okrutnej książki jak Biblia, niezależnie od tego czyimi rękami. W żadnej książce uważanej za świętą nie spotkałam tylu okrucieństw co w Starym Testamencie. Wszystko oczywiście w imię wiary.

Janti dostrzegła niepokój w spojrzeniu Adama. Szybko zorientowała się, że narzuciła zbyt szybkie tempo, więc swoim zwyczajem uśmiechnęła się ciepło, starając się uspokoić Kniewicza.

–Istota najwyższa z samej definicji jest doskonała i z pewnością nigdy nie posłużyłaby się zbrodnią w obronie własnej czci. – Ton, jakim teraz mówiła, był niewątpliwie mniej stanowczy niż kilkadziesiąt sekund wcześniej. – Ale postacie takie jak Chrystus czy Mahomet istniały naprawdę. Byli to niezwykli ludzie i być może bliscy doskonałości, jednak zawsze tylko ludzie. Na tym obrazie grają rolę symbolu spirali czasu. Uważamy, że przepływ czasu przypomina nieskończoną spiralę. Wszystko krąży i się powtarza. Nasz nauczyciel nazywał to cyklem. Taki cykl trwa określoną liczbę lat, po czym wszystko zaczyna się od nowa. Ci ludzie, uznawani we

własnych kulturach za bogów, są symbolami swoich czasów. Natomiast nasza dzisiejsza rozmowa powtórzy się za wiele tysięcy lat, tak jak to już wielokrotnie się działo. To jest właśnie spirala czasu. Jak na tym obrazie, wszystko się zaczyna, trwa, kończy i od nowa: zaczyna, trwa, kończy... i tak w nieskończoność.

–Niezwykłe – westchnął Adam. – Kiedy to miało początek i kiedy się skończy?

–Nigdy. To właśnie podstawowy błąd i słabość wszystkich religii. Zakładają one, że Bóg stworzył świat, a to nieprawda. Świat istniał zawsze, podobnie jak Bóg. Nigdy go nie stworzono i nigdy się nie skończy. Będzie się tylko w nieskończoność powtarzał. Najprawdopodobniej każdy powtarzający się cykl kończy nasze samozniszczenie. Być może to katastrofa lub coś, z czego jeszcze nie zdajemy sobie sprawy. A później... wszystko od początku. Tę wieczną wędrówkę charakteryzuje stały ruch. Materia krąży i przybiera wciąż nowe postacie, dusze wędrują z ciał do ciał, rozliczając się przy okazji ze swoich osiągnięć i porażek. To tak zwane prawo karmy, czyli podstawowe prawo, mówiące, że po pierwsze, niczego nie ma bez przyczyny, a po drugie, cokolwiek zrobimy, kiedyś poniesiemy tego konsekwencje. Najczęściej już w następnym wcieleniu. Jeśli w tym jestem mordercą w kolejnym najpewniej zostanę zamordowana. To oczywiście uproszczenie, ale dotyczy każdej najdrobniejszej rzeczy. Niepotrzebna jest komukolwiek spowiedź, bo i tak kiedyś każdy odpowie za swoje grzechy.

–Jeśli teraz na coś choruję, to być może dlatego, że jako ktoś inny, wiele lat temu coś nabroilem?

–Mówiłam, że jesteś zdolnym uczniem. – Janti się uśmiechnęła.

Kniewicz słuchał jej i czuł się jak Harry Potter właśnie przeniesiony do krainy czarów.

Brzmiało to jak piękna, może nawet mądra bajka opowiedziana z przekonaniem i wycuciem, a w dodatku proponująca żywe w niej uczestnictwo. Wszystko, co go tu otaczało, było niezwykle, tajemnicze i jak mu się wydawało, właśnie piękne. Mógł tak słuchać jej w nieskończoność i wyobrażać sobie ów ukryty wymiar, zagubioną gdzieś dawno temu prawdę, o której mówiła ta niezwykła, mądra idealistka. Nie potrafił jednak traktować tych słów inaczej niż tylko jako marzenia kogoś, kto chciałby lepszego świata i bardzo za nim tęskni. Uważał się za katolika i tego, co tu usłyszał, nie mógł traktować inaczej niż jako jeszcze jedną ciekawą ale raczej niezbyt praktyczną filozofię.

–Nie narodzone dzieci, ofiary wojen, rak, AIDS... Wszystko ma swoją przyczynę i wytłumaczenie... – powiedział wolno, przyglądając się jeszcze raz trzeciemu obrazowi.

–Tak.

–Rozmyślnie umieściłaś mnie w tym pokoju? Chciałaś, żeby zaintrygowały mnie te obrazy?

–Nie. Zanim się pojawiłaś, ten pokój służył do spotkań z początkującymi studentami i dlatego wiszą tu te obrazy. Nie mogliśmy przewidzieć, że któregoś dnia przywiozą nam tu rannego mężczyznę.

–Czy Ultra też się kiedyś tutaj od was uczyła?

–Można tak powiedzieć. Trafiła do nas jak wszyscy, przez znajomą. Znajoma jest do dzisiaj, ale Ultra nie potrafiła zostać. Wolą naprawiać zepsuty świat w inny sposób. Być może nie pochwalam jej metod, ale wierzę, że chce dobrze, i kocham ją. Zdziwiłbyś się, kto już siedział na twoim miejscu.

–Tylko mi nie mów, że cała wataha tych wilków od Ultry.

–No, może nie cała, ale szefa i kilku innych miałam okazję poznać.

–Żartujesz?

–Tym razem nie.

–Czego tu szukają?

–Tego, co każdy. Odpowiedzi. Leku na własne lęki. Jeśli ktoś na co dzień zmuszony jest stosować przemoc, a nawet zabijać, tak jak Ultra, musi od czasu do czasu zajrzeć w głąb siebie.

–Opowiedz mi o niej.

–Nie żartuj. O nikim nie można po prostu „opowiedzieć”. – Janti uśmiechnęła się, kręcąc głową. – No dobrze. Poznałam ją niedługo po tym, jak pomogła pewnej duszyczce opuścić „kostium”. Była rzeczywiście w dość kiepskim stanie i nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że w ten sposób wypełniła prawo karmy. Nie chciała tego, ale taki był akurat układ. Nie zabiła nikogo dla zysku, z zemsty czy innej niskiej pobudki. Zabiła, ponieważ gdyby nie zrobiła tego, on zabiłby ją a czynił to już wielokrotnie. Gdy kogoś mordujesz, nawet jeśli jest to zwierzę, narażasz się na najcięższy grzech i najokrutniejszą karmę. Jeśli jednak zabijasz, aby ratować życie swoje lub innych niewinnych osób, po prostu jesteś wykonawcą prawa karmy. Tego nie da się dowolnie interpretować. Każdy, kto zabił, w głębi serca czuje, dlaczego to zrobił, a przeznaczenie jest nieomyślne.

–Zrozumiała to? – spytał Adam zadowolony, że Janti rozmawia z nim na temat Ultry.

–Chyba tak, choć trudno jej się było z tym pogodzić. Wpada tu bardzo często. Nie tylko z takimi gośćmi jak ty. Doskonale medytuje i jest niezwykłą duszą. Zresztą kultura Wschodu nie jest jej obca. Trenowała kung-fu, a później kick boxing niemal od dzieciństwa. Dziadek ją do tego namówił. Któregoś dnia poszedł z nią na *Wejście smoka* z Bruce'em Lee i złapała bakcyła. To, co robi, robi z przekonania i poczucia sprawiedliwości. Nie z jakiejś zemsty czy dlatego, że miała trudne dzieciństwo. Wychowała się w dość szczęśliwej rodzinie, w której raczej niczego jej nie brakowało.

–Jest zamężna, ma jakiegoś chłopaka? – Adam nieśmiało spojrzał na Janti.

–Przeginasz. – Uśmiechnęła się. – Ale odpowiem ci. Nigdy nie wyszła za mąż i z tego, co wiem, nie jest z nikim związana. Po pierwsze, nie ma na to czasu, po drugie, ciężko znaleźć mężczyznę, który by jej zaimponował. Choć być może nie miała do tej pory szczęścia. Zwykle trafiała na napuszonych samców, próbujących zaimponować jej mięśniami i tak zwaną twardą męskością co tylko wzbudzało jej śmiech. Ona potrzebuje kogoś uczciwego, ciekawego, czulego i otwartego, kto nie udaje kogoś, kim nie jest. Najwyczejniej w świecie szczerego i prawdziwego. – Janti uśmiechnęła się czule do dziennikarza.

–Żartujesz sobie ze mnie? – mruknął Kniewicz, udając obrażonego.

–Musisz mi wybaczyć.

–Nigdy nikogo nie miała? – ciągnął z uporem.

–Oczywiście, że miała, ale po ostatnim razie chyba na pewien czas dała sobie spokój. Facet okazał się damskim bokserem. Ultra przypadkiem poznała jego byłą żonę. Bił tę kobietę tak, że ślady ma do dzisiaj. Kiedyś połamał jej palce i do dziś biedaczka ma kłopoty z pisaniem. Gdy Ultra powiedziała mu o tym, stwierdził, że się zmienił i już nigdy taki nie będzie.

–Ale oczywiście lekko mijał się z prawdą.

–Niestety. Któregoś dnia, kiedy Ultra wróciła później z akcji, oskarżył ją o zdradę i mocno uderzył w twarz.

–Uuuu.

–Sprawę go tak, że przeleżał trzy tygodnie w szpitalu.

–Nie wiedział, gdzie ona pracuje?

–Oczywiście, że nie. Mówiła mu, że jest pielęgniarką. Dostała nawet z agencji fartuch, czepek i kilka gadżetów.

–Nie za mocno mu oddała?

–Nie skończyłoby się to aż tak źle, ale cóż... nie potrafił znieść faktu, że oddała mu kobieta, i to boleśnie. Sięgnął więc po nóż i to był bardzo duży błąd.

–Spotkała go jeszcze kiedyś?

–Próbował się na niej zemścić. Zebrał nawet w tym celu kilku kolegów, ale wtedy pułkownik Krentz, szef Ultry, stwierdził, że to może zaszkodzić agencji, i wysłał dwóch ludzi, którzy złożyli mu propozycję nie do odrzucenia. Podobno spotkanie trwało tylko kilka minut. Niemal natychmiast facet wyjechał z miasta i nigdy się już nie pojawił.

Adam nie mógł powstrzymać śmiechu.

–Janti, czy ty znasz jej prawdziwe imię?

–Znam, ale ona go nie znosi i kiedyś obiecałam jej, że nikomu nie powiem.

–To dziecinada.

–Sam ją spytaj. A teraz powiedz, czy chcesz, żebym jutro coś jej od ciebie przekazała.

–Nic specjalnego. Powiedz, że jestem już zdrowy i że możemy działać dalej.

–Może lepiej niech ona zajmie się „działaniem”?

–Wiesz, co myślę? Już najwyższy czas, żeby mordercy Marty poznali prawo karmy.

–Może jednak raczej pomedytujmy?

–Póki co... czemu nie?

ROZDZIAŁ 7

Christo siedział na ławce w parku i udawał, że jedyną rzeczą, która go tu interesuje, jest przyjemnie prażące słońce. Od dawna już miał ochotę na długi wypoczynek, ale niestety sprawy tak się skomplikowały, że na pewien czas wakacje musiał odłożyć. Był i nadal jest zawodowcem, da sobie radę.

Z początku wyglądało to na dość łatwą robotę, nawet jeśli nie było czasu na przygotowania. Cóż... tym razem instynkt go zawiódł, co bardzo dawno już mu się nie zdarzyło. Chyba zbyt długo pracował dla Szczękusia i to się zemściło. Przecież to jego najuboższy zleceniodawca, ale z drugiej strony – najbardziej stały.

Praca w Polsce była łatwa i stosunkowo najmniej ryzykowna. Praktycznie rzecz biorąc, nie miał tu godnych siebie przeciwników, choć kobieta, którą obserwował od kilku dni, zdążyła wzbudzić jego szacunek. Musiał użyć całego swojego kunsztu, aby nie zostać zauważonym. Teraz był starcem. Swędziały go trochę doklejona siwa broda i wąsy, ale peruka leżała idealnie. Znoszony, wymięty i trzeba przyznać, trochę przybrudzony płaszcz był jego ulubionym elementem ubioru kloszarda, lecz pasował też do roli pijaka, lumpa czy biednego starca. Wolne, ciężkie ruchy, sprawiające wrażenie czynionych z wysiłkiem, składały się na jego popisowy numer. Christo starzec. Zaśmiał się w duchu, ale szybko zmusił się do zachowania powagi i skupienia.

Lubił swój pseudonim, szczególnie że był mylący i sugerował, iż pochodzi gdzieś z Bałkanów. Poza tym na swój sposób nawiązywał do postaci religijnych. Brzmieniem przypominał, jeśli nie imię samego Chrystusa, to przynajmniej świętego Krzysztofa przenoszącego syna Boga przez rzekę. „Niosący Chrystusa” – niezłe jak na profesję, którą wykonywał.

W rzeczywistości Christo był Belgiem, chociaż jego rodzice pochodzili z Polski. W młodości chciał być zawodowym żołnierzem, ale niski wzrost wykluczał karierę w elitarnych jednostkach. Nikt nie chciał słyszeć o przyszłym oficerze, który ma metr sześćdziesiąt w kapeluszu. Kompleks wzrostu, przeklinany w czasach szkolnych, po wielu latach uznał za jeden z największych swoich atutów. Prawie zawsze wprowadzał w błąd przeciwników i wielokrotnie ratował mu życie.

Mało kto podejrzewał, że ten niepozorny, niski mężczyzna ma wysportowane, wyćwiczone do granic możliwości ciało, a przede wszystkim nigdy nie zawodzącą rękę. Mówił płynnie czterema językami, w tym oczywiście polskim. Szybko zdobył zaufanie pracodawców i mógł sobie pozwolić na przebieranie w ofertach, a już jako trzydziestolatek przekroczył milion dolarów na koncie. Obecnie milion potrafił zarobić w ciągu kilku miesięcy. Oczywiście, praca dla Szczękusia nigdy nie była tak dobrze płatna, ale do tej pory nie narzekał. Teraz jednak wszystko się skomplikowało...

Zerknął niezauważalnie na leżącą obok ławkę, w której ukryty był mikrofon kierunkowy wycelowany w dwie kobiety rozmawiające na ławce dwadzieścia metrów od niego.

Dzień był słoneczny, ale w tej części parku nie pętało się na szczęście zbyt wielu spacerowiczów, co mogłoby zakłócić odbiór. Udając, że przygląda starym ruchem

włosy, Christo poprawił miniaturową słuchawkę tkwiącą w uchu.

–Rozpiera go energia – oznajmiła ubrana na biało kobieta.

–Spróbuj go jakoś opanować, a ja wpadnę do was za trzy dni – powiedziała z kolei ubrana w czarną kurtkę blondynka, sprawiająca wrażenie zupełnego przeciwieństwa swojej rozmówczyni.

Blondynkę Christo obserwował od pewnego czasu i wiedział już, że jest zawodowym agentem pracującym dla ludzi prezydenta, ale kobietę ubraną na biało widział pierwszy raz w życiu.

–Wstaje już z łóżka? – spytała agentka.

–Od dawna. Codziennie kilka razy spaceruje po lesie, ćwiczy, a co najgorsze... myśli o zemście.

–Cholera...

–Nie martw się. Damy sobie radę.

–To nie takie proste, jest uparty jak osioł.

Kobieta ubrana na biało uśmiechnęła się.

–On też cię bardzo lubi.

–Janti, prosiłam cię.

–Martwisz się o niego...

–Jego dziewczyna najprawdopodobniej żyje, ale nie chcę mu tego mówić, dopóki nie będę wszystkiego pewna. Dość już przeżył.

–Masz rację.

–O Boże, wystarczy już trupów w tej sprawie – westchnęła blondynka.

–Wszystko będzie dobrze. Muszę lecieć.

–Jak było na spotkaniu z Dadi Buralti?

–Bardzo interesująco, opowiem ci, jak wpadniesz.

–Podwieźć cię gdzieś?

–Nie, mam samochód. Jadę od razu do domu. *Om shanti.*

Agentka się uśmiechnęła.

–Ty też pozostań w spokoju.

Wstały z ławki, pożegnały się i ruszyły w przeciwnych kierunkach.

Christo podniósł się wolno, wyjął dyskretnie słuchawkę z ucha, wziął laskę z ławki i poszedł za kobietą ubraną na biało, modląc się w duchu, aby nie szła zbyt szybko. Na szczęście nie musiał już śledzić agentki.

–Dawno cię nie było. – Prezydent się uśmiechnął.

–Przepraszam, panie prezydencie, wciąż mamy dużo pracy w związku z zabójstwem senatora Kamińskiego – odparł oficjalnie Piotr Krentz.

–Wiem i cieszę się, że się dogadałeś z grubasem. Krentz wyczuł lekką ironię w głosie szefa, ale jak zwykle, nie dał tego po sobie poznać. Nie miał wątpliwości, że Skrobek rozpowie, gdzie tylko się da, że to on znalazł byłą żonę dziennikarza. Dotarcie tej wiadomości do prezydenta było tylko kwestią czasu.

–Myślę, że współpraca z policją układa się tak, jak tego oczekiwaliśmy – rzekł dumnie pułkownik, poprawiając przyciemniane okulary.

–Nie mam zbyt wiele czasu, Piotr, więc mów szybko, o co chodzi. Mam dziś

mianowanie dwóch ambasadorów.

–Wszystko wskazuje na to, że było to morderstwo polityczne. Podejrzewamy, że ktoś chciał ukryć ważne fakty zawarte w przywiezionej do Polski teczce i dlatego zginął senator.

–Czy to już pewne?

–Jeszcze nie.

–Jak sobie radzi ta twoja agentka...

–Ultra.

–Właśnie, Ultra.

–Jest w tej chwili w Warszawie. Nasz świadek jest bezpieczny, ale wszystko wskazuje na to, że nic nie wie. Próby zlikwidowania go oceniamy jako akt paniki ze strony kogoś, kto bardzo się boi jakiegokolwiek przecieku informacji, które chciałby ukryć. – Krentz wiedział, że Skrobek nie odważy się sprzedać komukolwiek podejrzeń co do „kuriera”, zanim nie zdobędzie dowodów.

Prezydent wolno spacerował po gabinecie. Każdy krok stawiał z rozmysłem, jakby symbolizował on kolejną myśl.

–Wiem już, że zabita dziewczyna nie jest tą, za którą ją uważaliście – rzekł po chwili.

–Badania genetyczne trwały jakiś czas. Poza tym to jej siostra bliźniaczka, są do siebie zdumiewająco podobne.

–Nie ma sprawy, ale dopilnuj, żeby to małe opóźnienie nie dotarło do prasy. Na razie dziennikarze nie mają pojęcia, że ta dziewczyna miała jakiś związek z senatorem.

–Tak jest, panie prezydencie.

Krentz obserwował uważnie szefa. Prezydent swoim zwyczajem przyglądał wciąż włosy i widać było wyraźnie, że coś go niepokoi. Zawsze gdy rozmowa stawała się bardziej poufna, zbliżał się do okna i sprawiał wrażenie spokojnego obserwatora przyrody. Chwila ciszy pomogła obu zebrać myśli.

–No dobrze – rzekł wreszcie prezydent. – Powiedz teraz, co powinno nas niepokoić. Bo coś powinno, prawda?

Pułkownik na szczęście spodziewał się tego pytania. Odczekał kilka sekund, poprawił oczywiście okulary i wolno wypuścił powietrze z ust.

–Obawiam się, że tak.

–Cholera! Jakby mało było kłopotów...

Krentz wyczuł, że prezydent gotów jest wreszcie dowiedzieć się o tym, co z jego punktu widzenia było najważniejsze. Jeszcze przez moment przyglądał się wyprostowanej postaci obserwującej wciąż drzewa za oknem, po czym zaczął ostrożnie:

–Mamy do czynienia z grupą ludzi, którą kieruje ktoś nie tylko doświadczony i bardzo niebezpieczny, ale przede wszystkim podejrzanie dobrze poinformowany.

–Jakiego rodzaju są to informacje?

Pułkownika zaskoczył spokój szefa.

–Praktycznie rzecz biorąc takie, które nie mają prawa dotrzeć do zwykłego

człowieka.

Prezydent odwrócił się od okna i lekko przymrużył oczy.

–Piotr... Kto zabija?

–Obawiam się, że ktoś z wyższych sfer rządowych albo...

–Niemożliwe!

Powiedział to wyjątkowo chłodno, ale Krentz kontynuował:

–Albo ktoś z pańskiego otoczenia.

Prezydent podszedł do biurka i ciężko usiadł na stojącym przy nim fotelu. Ukrył twarz w dłoniach, a następnie wolno, ale dość donośnie wypuścił powietrze. Po chwili wstał i zbliżył się do Krentza, siedzącego po drugiej stronie biurka. Oparł się o blat i ciszej niż zwykle, lecz bardzo wyraźnie powiedział:

–Już o tym rozmawialiśmy, ale chcę ci to jeszcze przypomnieć. Jeśli dowiesz się czegokolwiek złego o kimś, kto pracuje w tym budynku lub tam, naprzeciwko – tu wskazał budynek Rady Ministrów – chcę wiedzieć o tym pierwszy.

–To oczywiste. – Krentz wstał, odczytawszy ten rozkaz jako zakończenie rozmowy.

Prezydent podał mu rękę i odprowadził do drzwi.

–Powodzenia, pułkowniku – rzucił na pożegnanie.

–Dziękuję, panie prezydencie.

Mężczyzna, który wysiadł z białego forda mustanga, był nie tylko bardzo wysoki, ale także dość tęgi. Musiał ważyć co najmniej sto dwadzieścia kilogramów, może nawet więcej. Miał na sobie jasnoniebieskie dżinsy, lekką myśliwską kurtkę oraz czerwoną czapkę z daszkiem, która ledwie mieściła mu się na czubku zupełnie pozbawionej włosów głowy. Jego rumiana, okrągła twarz sprawiała wrażenie pogodnej, nawet wesołej, ale cała postać miała w sobie coś ponurego, wręcz budzącego obawę.

Mężczyzna zamknął samochód, pokonał kilkadziesiąt metrów i zszedł wolno ze skarpy w stronę jeziora. Na brzegu dostrzegł natychmiast łowiącego ryby niemal równie wysokiego jak on, choć znacznie szczuplejszego blondyna w kraciastej koszuli i woderach.

–Ma pan pozwolenie na połów na Zalewie Zegrzyńskim? – spytał oschłym tonem.

–Czego pan chce? – spokojnie odpowiedział pytaniem blondyn, nie odwracając wzroku od wędki.

–Nazywam się Mostowiec, Witold Mostowiec. Pan porucznik Hegier?

–Czego pan chce? – powtórzył wolno wędkarz.

–Dzwoniłem do pana...

–Wiem. Czego pan chce?

–Pomóc. Tak jak mówiłem przez telefon. – Mostowiec wyszczerzył oblesnie zęby, starając się, aby Hegier dostrzegł jego uśmiech.

Porucznik ściągnął żyłkę, odwrócił się i odłożył wędkę na ziemię. Przyjrzał się uważnie postaci, którą miał przed sobą po czym bez pośpiechu wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

–Ja nie potrzebuję pomocy – rzucił jakby od niechcienia, wkładając camela do ust.

– Ma pan ogień?

Mostowiec wyciągnął zapalniczkę i przypalił Hegierowi papierosa.

–Czyżby? – Jego wzrok osiadł na przerdzewiałym polonezie stojącym w trawie dziesięć metrów od nich.

Hegier odwrócił się ponownie w stronę zalewu. Pływało po nim kilka żaglówek, ale z pewnością było jeszcze za zimno, żeby się kąpać. Zejście do wody, na którym obaj stali, było całkowicie porośnięte trawą a rzadki lasek otaczający polankę sięgał aż do szosy, przy której Mostowiec zostawił swój samochód.

–Mówił pan przez telefon, że jest z policji. Mam jakieś kłopoty? – spytał Hegier.

–Moim zdaniem tak, ale nie przyszedłem pana aresztować – odparł Mostowiec. – Jestem tu w dość nietypowej sprawie.

–Proszę pana – porucznik zaciągnął się mocno – nie mam czasu na zagadki i nietypowe sprawy. Prosił pan o spotkanie, a ja się zgodziłem, mimo że nie postawiono mi żadnych zarzutów. O co chodzi? Źle zaparkowałem? Pobiłem kogoś? Kogoś zastrzeliłem?

–Nie jestem z drogówki ani z wydziału zabójstw.

–To skąd pan jest?

–Z wydziału wewnętrznego.

–Co?! – Hegier odwrócił się raptownie do Mostowca. – Ja nie jestem policjantem!

–To prawda. Jest pan, a raczej... był pan wojskowym, dokładnie zaś, porucznikiem w polskim korpusie specjalnym NATO.

–To żadna tajemnica.

–Operacje w Bośni, Chorwacji, Afganistanie. Pańskim bezpośrednim dowódcą był najpierw major Stasiak...

Hegier pokiwał ze znużeniem głową.

–...a później pułkownik Piotr Krentz – dokończył z naciskiem policjant.

Zaskoczenie porucznika było tak duże, że przez chwilę nie potrafił się zdobyć na żadną ripostę. Przymrużył tylko oczy, wpijając wzrok w Mostowca w oczekiwaniu na jakieś wyjaśnienie.

–A to już jest tajemnica, hmm? – Policjant uniósł lekko brwi, a na jego twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech.

–Skąd pan wie takie rzeczy?! – spytał chłodno Hegier.

–Dojdziemy do tego. Niech się pan nie unosi. Powtarzam: przyszedłem tylko panu pomóc.

Porucznik nabrał głęboko powietrza do płuc, wsadził ręce do kieszeni, po czym ruszył wolno wzdłuż brzegu, jakby chciał pójść na krótki spacer.

–Nie mogę rozmawiać o takich sprawach. To ściśle tajne. Nie wiem, skąd ma pan te informacje, a tym bardziej, dlaczego interesuje się tym wydział wewnętrzny policji.

–Powiedziałem, że to nietypowa sprawa – odparł Mostowiec, idąc za nim. – Niech nasza rozmowa ma charakter... nieoficjalny.

Hegier zatrzymał się na chwilę.

–Niech pan mówi. – Powiedział to nieco ciszej, ale każde słowo zaakcentował bardzo starannie, mając nadzieję, że Mostowiec wreszcie przejdzie do konkretów.

Policjant pokiwał z zadowoleniem głową zdjął na moment czapkę, podrapał się w potylicę, a następnie podszedł jeszcze bliżej do Hegiera, aby móc bez przeszkód obserwować jego reakcje.

–Przez przypadek weszliśmy w posiadanie materiałów dotyczących pewnego zadania, którym agencja pułkownika Krentza zajmowała się dwa lata temu.

Porucznik drgnął, ale jego spojrzenie pozostawało niezmiennie spokojne.

–Mówi panu coś nazwisko Arodajew? – spytał Mostowiec.

–Już panu powiedziałem. Nie mogę z panem rozmawiać o takich sprawach.

–Nie służy pan w agencji od dwóch lat.

–To niczego nie zmienia.

Policjant pokręcił z niedowierzaniem głową.

–Wyrzucono pana niesłusznie ze służby, pozbawiono przywilejów, przekreślono karierę, a w zamian dostał pan skromniutką zapomogę, którą nazwali... Właśnie, jak ją nazwali? – Zajrzał porucznikowi głęboko w oczy.

–Niech pan da mi spokój – mruknął chłodno Hegier.

–Rentą żołdową?

–Nie pańska sprawa.

Mostowiec ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu, poklepując porucznika po ramieniu.

–Ma pan rację. Przepraszam. Przypomnę jednak tę historię, bo wiąże się z nią moja propozycja.

Hegier odwrócił się raptownie w stronę policjanta i zlustrował go od stóp do głów. Wciąż nie wdawał się w tę dość dziwną i niebezpieczną rozmowę.

–Pan Achmad Arodajew wraz z żoną pojawił się na terenie Polski dwa lata temu w sierpniu – kontynuował Mostowiec. – Był wybitnym czeczeńskim działaczem niepodległościowym, zaciekle ściganym przez tajne służby rosyjskie. I to mimo że nie miał nic wspólnego z żadnym z ataków terrorystycznych...

–Nowi uchodźcy czeczeńscy wciąż pojawiają się w Polsce, to nic szczególnego – przerwał mu Hegier.

–To prawda, tyle tylko że Arodajew posiadał niezwykle istotne informacje, które bardzo interesowały pewnych naszych sojuszników z NATO. Po tej jatce w teatrze moskiewskim bezpieczne przerzucenie Arodajewów na Zachód stało się szczególnie ważne. Nie tylko Amerykanów rozwścieczyło to, że przez tydzień nie mogli się dowiedzieć, co tak naprawdę stało się z ich obywatelami, jakiego gazu użyto i tak dalej.

–Sam pan stwierdził, że Arodajew nie miał nic wspólnego z zamachów.

–Ale wiedział o Rosjanach i ich metodach wystarczająco dużo, by być oczkiem w głowie zachodnich służb specjalnych. Był kimś w rodzaju... tajnego agenta, szpiega. Ale przecież pan o tym doskonale wie.

–A niby skąd?

–Bo to pan był odpowiedzialny za bezpieczne dostarczenie ich do Berlina, gdzie sprawę mieli przejąć...

–Do Rudersdorfu.

–Słucham?

–Mieliśmy dostarczyć ich do Rudersdorfu – powtórzył ponuro Hegier.

–No właśnie – rzekł Mostowiec, uśmiechając się szeroko i dość nieszczercze. –

Pan i agentka o pseudonimie Ultra...

Porucznik odwrócił się plecami do wody, przeszedł kilka kroków w stronę swojego samochodu i usiadł ciężko na trawie.

–Panie...

–Mostowiec, komisarz Mostowiec.

–Panie Mostowiec – powiedział wolno, ale dobitnie – to było dwa lata temu, sprawa została dawno zamknięta. Nie mam pojęcia, skąd pan o tym wie, ale jedno wiem na pewno: lepiej dać sobie z tym spokój.

–Chciał pan powiedzieć: wyciszona. – Mostowiec usiadł obok Hegiera. – A trochę szkoda, bo Arodajewowie nigdy do Niemiec nie dojechali!

Porucznik zacisnął mocno usta.

–Zginęli, nim zdolali cokolwiek komukolwiek powiedzieć – kontynuował gorzko komisarz. – Zamordowano ich niemal na waszych oczach!

–Dosyć tego! – warknął Hegier. – Nie muszę tego słuchać!

–Spokojnie... – Policjant rozejrzał się uważnie, by sprawdzić, czy nie zwrócili przypadkiem czyjejs uwagi. W promieniu kilkuset metrów nie było żywej duszy. – Wiem, że to nie pańska wina. Ta agentka na kilka minut przed egzekucją sprytnie wyciągnęła pana z domu, w którym tej nocy ich ukrywaliście...

–Co pan sugeruje?! – Spojrzenie porucznika stawało się coraz groźniejsze.

–To nie była zwyczajnie spieprzona akcja...

–Dość!

–Ktoś musiał nadać tych biedaków Rosjanom! – ciągnął Mostowiec z pasją.

–Niech pan przestanie!

–To były bardzo duże pieniądze!

–Nieprawda!

–Broni pan kobiety, która była wówczas pańskim dowódcą poruczniku. Sprzedała Arodajewów, a ponieważ nie dał się pan przekupić, zwała wszystko na pana!!!

–Nie ma pan o tym pojęcia!

–Nie mam? Tonie pan w długach, jeździ rozwalającym się gratem i łowi przytrute ryby z Zalewu Zegrzyńskiego, a ona święci tryumfy. O czym tu trzeba mieć pojęcie? Jak to się stało, że to pan ponosi za wszystko odpowiedzialność, a ulubienica pułkownika Krentza jest nadal prymusem?

–Uznano, że to ja... byłem winny – odparł z rezygnacją Hegier.

–A czy przypadkiem to nie dowódca odpowiada za całą akcję?

–Nie wtedy, kiedy podwładny nie wykonuje rozkazów.

–Zatem uznano, że to przez pańską niesubordynację... – Mostowiec pokiwał głową. – I wszystko jasne – dodał nie bez ironii.

–Czego pan chce? – spytał cicho porucznik.

–Oskarżono pana o wzięcie pieniędzy?

–Nie, nie było żadnych pieniędzy! Niech pan da spokój!

–Wiem, że to nie pan. Gdyby było inaczej, nie traciłbym tu czasu. Ale Ultra...

–Posłuchaj pan! – Hegier ponownie zajął głęboko w oczy Mostowcowi. – Nie lubię jej, i to bardziej niż pan. Zwała na mnie całą winę, żeby ratować własną dupę, to racja. Ale nie wierzę, by zabiła tych ludzi dla pieniędzy. To suka, ale nie morderca.

–No, tego już chyba nie będziemy pewni nigdy... – Komisarz uniósł wysoko brwi, po raz kolejny szczerząc obłeśnie zęby.

Hegier powoli podniósł się z trawy.

–W porządku, dużo pan wie. Jestem pod wrażeniem. Ale to nic nie zmienia. Idę łowić ryby. Niech pan wraca, skąd przyjechał, i da mi spokój.

Odwrócił się i pomaszerował w stronę zalewu. Mostowiec szybko wstał i dogonił go.

–Jest pan w błędzie. To bardzo dużo zmienia!

Porucznik wziął do ręki wędkę, nie reagując na słowa komisarza. Policjant raptownie chwycił go za ramię.

–Reprezentuję bardzo ważnych ludzi. Takich, którzy mogą wszystko odwrócić.

–Niby jak?! – mruknął ze zniecierpliwieniem Hegier.

–Co by pan powiedział na powrót do służby i postawienie przed sądem prawdziwych winnych?

–Chyba pan śni!

–Czego się pan, do cholery, boi?!

–Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o Krentzu? Miesiąc, dwa tygodnie temu? Wczoraj? Nie ma pan o nim zielonego pojęcia. Jego agencja to jedna z najbardziej utajnionych jednostek w państwie. Pracują tam najlepiej wyszkoleni ludzie, wywodzący się z wojska, wywiadu i sił specjalnych. Co może im pan zrobić? Pomachać papierkami, które znalazł na jakimś śmietniku?

–Niech pan nie kpi! Takich papierków nie znajduje się na śmietniku! Pracuję dla rządu! Wykrywam wszelkie gówna i pilnuję, aby odpowiedni ludzie dobrze się go nawąchali. Taką mam robotę i jestem w tym dobry.

–Idę łowić ryby – rzucił Hegier i ruszył wzdłuż brzegu.

–Co ma pan do stracenia? – Mostowiec zastąpił drogę porucznikowi i wpił wzrok w jego twarz. – Ma pan dopiero trzydzieści lat i już jest skończony, a ja daję panu szansę!

–Czego pan, do cholery, ode mnie chce?!

–Te dokumenty to za mało. Musimy mieć świadków.

–Chyba pan zwariował...

–Zapewnimy panu ochronę, a po fakcie będzie pan mógł pracować dla nas. Chodzi tylko o to, aby we właściwym momencie powiedział pan co trzeba odpowiednim organom.

–Odpowiednim organom... – powtórzył porucznik i ominął komisarza.

–Nie teraz. Niech pan da mi działać. Wystarczy, by obiecał mi pan, poruczniku, że kiedy przyjdzie czas, zezna pan co trzeba i... – Mostowiec zatrzymał się na chwilę.

Hegier spojrzał na niego z niepokojem.

–...i powie mi pan, gdzie jest Anna Butyrska.

Porucznikowi wypadła z ręki wędka.

–Wie pan, gdzie ona jest, prawda? – Twarz policjanta znalazła się zaledwie kilka centymetrów od czubka nosa Hegiera. – Tylko ona i pan znacie prawdę. Nikt nie wie, gdzie się ukryła, ale coś mi mówi, że panu ufa. Pan wie, gdzie ona jest, i teraz mi pan to powie.

–Nie ma mowy – rzucił szybko porucznik. – Pan naprawdę zwariował. Myśli pan, że narażę ją tylko dlatego, że jakiś gliniarz odnalazł stare papiery i chce zdobyć punkty u szefa?

–Jesteście dla siebie gwarancją czyż nie? Jeśli jednemu coś się stanie, drugie wyjawia całą prawdę prasie.

–Wie pan, ile zła wyrządziłoby coś takiego?

–I dlatego jesteście w miarę bezpieczni.

–A pan chce to zmienić!

–Nikt z tym nie pójdzie do prasy. Agencja ocaleje i będzie jak dawniej. Tyle tylko że winni zostaną ukarani, no i zmieni się kierownictwo. Wystarczy przekonać prezydenta. Tu chodzi tylko o sprawiedliwość...

–Jaką mam gwarancję, że nic jej się nie stanie?

–To pan zorganizuje spotkanie, gdzie i kiedy pan zechce. Będę na nim tylko ja i oczywiście ona. Jeśli się nie dogadamy, każdy idzie w swoją stronę i zapominamy o sprawie.

Hegier powoli schylił się po wędkę.

–Niczego nie obiecuję.

–Tu jest telefon, który odbiorę o każdej porze dnia i nocy. – Mostowiec podał porucznikowi wizytówkę.

Były agent wziął ją z taką miną jakby komisarz dawał mu kostkę trotylu.

–Nie ma pan nic do stracenia – powtórzył policjant.

Porucznik obrócił się w stronę wody i zaczął zakładać przynętę na haczyk. Mostowiec uśmiechnął się pod nosem i ruszył do samochodu.

–Skąd pan ma te materiały?! – krzyknął za nim Hegier, nie odwracając się.

–Słucham?

–Powiedział pan, że dojdziemy do tego.

–Ma pan rację. Dojdziemy do tego – roześmiał się ponownie Mostowiec, nie zatrzymując się.

Ultra czekała pod drzwiami gabinetu Krentza.

–Coś się stało? – spytał, ujrawszy, jak podnosi się z krzesła.

–Chyba nie, ale mimo wszystko chciałabym porozmawiać.

–Długo czekasz?

–Pół godziny.

–Byłem u prezydenta, powiedziałem, że podejrzewamy kogoś z jego otoczenia. – Krentz sięgnął do kieszeni po klucz i szybko otworzył drzwi. – Proszę.

Ultra weszła i powiesiła kurtkę na wieszaku.

–Siadaj – rzucił pułkownik.

–Dziękuję.

–Napijesz się?

–Raczej nie. Jak poszła rozmowa, jeśli mogę spytać?

–Nie było mu raczej do śmiechu.

Rozległo się pukanie do drzwi.

–Proszę! – rzekł donośnie Krentz.

Do gabinetu wkroczył zamaszycie Bauer.

–Jak poszło?

–Powiedziałem, że podejrzewamy kogoś od niego.

–Po cholere?!
–

–Żeby zaczął uważać. Nie wiadomo, co to może być za skurwiel.

–Myślisz, że będą chcieli stuknąć prezydenta?!

–Chyba nie. Im nie chodzi o niego, tylko o to, żeby jak najdłużej kontrolować sytuację, najlepiej w Pałacu Prezydenckim. Może to jakiś pieprzony ruski szpieg jeszcze z czasów komunistycznych? Może jakiś polityk, któremu ktoś zbyt głęboko zajrzał w papiery? Dużo bym dał za tę cholerną teczkę. To wszystko nie mieści mi się w głowie. Ktokolwiek to jest, musielibyśmy już wcześniej coś wiedzieć. Niemożliwe, żeby skurwysyn uchował się tak długo.

–Może właśnie dlatego zabija bez zmrżenia oka – wtrąciła Ultra.

–Na razie to od kilku dni jest spokój – zauważył Bauer.

–Tylko dlatego, że Ultra ukryła dziennikarza – mruknął Krentz.

–Niezupełnie jest spokój – zaoponowała agentka.

–Co jest grane? – Pułkownik nie miał już siły na nowe niespodzianki.

–Wydaje mi się... – Dziewczyna na chwilę przerwała. – Ale może jestem tylko trochę przewrażliwiona... Myślę, że ktoś mnie obserwuje.

Krentz uśmiechnął się nieznacznie, odpowiadając na pełne zrozumienia spojrzenie Bauera. Ultra szybko wychwyciła tę ironię.

–To nie są zwykłe, szczeniackie wygłupy ani zryw jakiegoś napalonego romantyka – zapewniła szybko dowódcę. – Mam wrażenie, że ktoś jeździ za mną po całej Polsce. Był nawet w Białymstoku.

–Sledzą cię?! – zachnął się Bauer.

–To tylko wrażenie.

–Uważaj – mruknął Krentz. – Może chodzić o dziennikarza. Wyślę dzisiaj kogoś za tobą. Zobaczymy. A do Kniewicza pojedzie ktoś inny.

Ultra od kilkunastu sekund wpatrywała się badawczo w sufit, co zdradzało, że potrzebuje chwili na zastanowienie.

–Jezu! – wybuchnęła nagle, powodując niekłamane zdziwienie na obliczu Bauera.

–Przepraszam, panie pułkowniku.

–Daj spokój, co się znowu stało?

–Do tej pory myślałam, że to tylko wrażenie. Szczerze mówiąc, każdy z nas ma ciągle takie...

–Mów!

–Wczoraj rozmawiałam o nim...

–Z białymi?

–Z Janti, była w Warszawie.

–Gdzie rozmawiałyście?!

–W parku Łazienkowskim.

–Genialnie! A nie postarałyście się o mikrofony i dobre nagłośnienie?! Dzwon szybko do nich i niech Kniewicz stamtąd spierdala! I to natychmiast!

–Dokąd?

–Dokądkolwiek. Może się ukryć na trzy, cztery godziny, to już potrafi. Ty jak najszybciej go zdejmiesz.

Bauer siedział, nie odzywając się, ale czuł już ciarki na plecach. Właśnie tracili ostatniego świadka.

Ultra wybrała numer, nie podnosząc słuchawki, i przełączyła na głośnik, żeby wszyscy słyszeli. Telefon długo nie odpowiadał. Widocznie w pokoju Janti nikogo nie było. Wreszcie usłyszeli znajomy głos.

–Tak, słucham!

Nie był to rezolutny ton, do jakiego przyzwyczajona była Ultra.

–Cześć, Janti, mogłabym pogadać z Adamem?

–Jest na spacerze.

–W ogrodzie?

–Nie, w lesie.

–Nie wiesz, kiedy miał wrócić?

–Szczерze mówiąc – kobieta przerwała na chwilę – nie ma go od czterech godzin, szukamy go. Mam nadzieję, że nie zasłabł. Tak mi przykro...

–Kto go szuka?

–Andrzej i Karol.

–Posłuchaj mnie, Janti. Niech wszyscy wejdą do środka i nie otwierajcie nikomu, chyba że Adam wróci.

–Coś się dzieje?

–Nie, to tylko środki ostrożności. Będę za trzy, cztery godziny.

–Ultra, nie strasz mnie.

–Gdzie twoja świadomość duszy?

–Jakoś mi nie do śmiechu.

–Przepraszam. Nie martw się. To moja wina.

Ultra przerwała połączenie. W pokoju zapadła cisza. Nikt nie miał nic do powiedzenia. Dziewczyna podeszła do wieszaka i szybko wskoczyła w swoją kurtkę. Gdy sięgała po klamkę, doścignął ją głos Krentza.

–Weź dwóch ludzi!

–Myślę, że będzie lepiej, jeśli pojedę tam sama – odparła, starając się, aby jej głos brzmiał możliwie najbardziej pewnie.

–Ultra! – Krentz zmarszczył brwi, po czym utkwiał wzrok w dziewczynie.

–Tak jest.

Agent kiwnął porozumiewawczo głową w stronę Bauera.

Major wziął do ręki słuchawkę, aby wydać odpowiednie rozkazy.

Dziewczyna słuchała przez chwilę Bauera, starając się nie patrzeć na szefa.

–Ultra! – rzucił ponownie Krentz.

–Tak, panie pułkowniku!

Doskonale wiedziała, co chce powiedzieć, ale na szczęście dla niej jakoś się opanował.

–Melduj na bieżąco – wykrztusił tylko, choć jego spojrzenie nie wróżyło nic dobrego.

Wyszła szybkim krokiem z gabinetu, ale na korytarzu zatrzymała się, ujrawszy dwóch wysokich mężczyzn biegnących w jej stronę.

Śliski i Paulus, których wybrał dla niej przed chwilą Bauer, dogonili ją zapinając po drodze kurtki.

Śliski miał z pewnością powyżej metra dziewięćdziesięciu, gęste, kręcone czarne włosy, sumiaste wąsy i dość sztywne, ale czujne spojrzenie. Pół głowy niższy Paulus, rudy i piegowaty chłopak o miłym uśmiechu, nie przypominał klasycznego agenta, ale jak wielokrotnie już udowodnił, przemawiało to na jego korzyść.

Ultra przyjrzała się im, jakby się nad czymś zastanawiała, a następnie skinęła głową. Nie minęło kilkadziesiąt sekund, a byli już przy jej wozie. Wyjęła kluczyki z kieszeni i otworzyła drzwi toyoty. Poczowała nienaturalny chłód. Dawno nie bała się tak bardzo.

Zgodnie z instrukcją Ultry w ogrodzie nikogo nie było, a zanim otworzono jej drzwi, w oknie pojawiła się Krysia, aby dokładnie sprawdzić, kto przyszedł.

–I co? – spytała na powitanie agentka.

–Nie ma go – odpowiedziała Krysia.

Ultra zauważyła, że dziewczyna ma zaczerwienione spojówki. Ta, widząc, że agentka przygląda jej się, szybko objęła ją i przytuliła się mocno, po czym uciekła do kuchni. Ultra zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz.

–Gdzie jest telefon? – zapytała stojącego przy oknie Karola.

–Na górze. Co to za ludzie? – rzucił, dostrzegłszy dwóch mężczyzn chodzących po ogrodzie.

–Nie martw się, są ze mną. Przeszukają okolicę.

Wbiegła szybko na schody. W pokoju Adama zastała Janti siedzącą na łożku.

–Porwali go? – zapytała szybko Janti, starając się zachować zimną krew. Jej uśmiech zastąpiły smutna powaga i wyraźnie ciężki oddech.

–To by była dobra wiadomość – odpowiedziała szczerze agentka.

–Dlaczego?

Ultra usiadła obok przyjaciółki i położyła rękę na jej dłoni.

–Nie chcieli go porwać, tylko zabić. Był niewygodnym świadkiem, a przynajmniej... oni tak myśleli.

–Jak tu trafili?!

–Podśluchiwali nas wczoraj w parku.

–Przecież nikogo nie było w pobliżu...

Dziewczyna zdobyła się na smutny uśmiech.

–Nie żartuj. Dzisiaj można podsłuchiwać rozmowy z dwóch kilometrów, więc w parku mógł to być właściwie każdy.

Janti wpatrywała się hipnotycznie w obraz medytującej białej postaci.

–Co teraz zrobimy?

–Zaczekam tu jeszcze trochę, licząc na cud, a jeśli się nie zdarzy, pójdę go szukać.

Sygnal telefonu tak je zaskoczył, że mimo woli drgnęły. Janti spojrzała pytająco na Ultrę.

–No cóż, może właśnie stał się cud. – Agentka wzruszyła ramionami.

Janti odebrała telefon. Po chwili wyciągnęła słuchawkę w kierunku Ultry.

–Chyba do ciebie.

Agentka szybko zebrała myśli, po czym wzięła słuchawkę od przyjaciółki.

–Słucham.

–Witam koleżankę – odezwał się spokojny głos. – Mam nadzieję, że rozmawiam z przyjaciółką naszego drogiego dziennikarza.

–Cóż za wycucie czasu.

–Widziałem, jak dojeżdżałaś.

–Dziennikarz żyje?

–Tak.

–Z kim mówię?

–Dla przyjaciół, Christo.

–A dla nieprzyjaciół?

–Tracisz czas.

Ultra ugryzła się w język.

–Co proponujesz?

–Spotkanie. Ja, ty i nasz wspólny, kłopotliwy przyjaciel. Chłopaków zostawiasz tutaj.

–Daj mi go do telefonu.

–Masz pięć sekund.

–Cześć, Ultra – usłyszała głos Kniewicza. – Nic mi nie jest.

–Ultra... – Tym razem usłyszała głos Christa. – Ładny pseudonim. A teraz słuchaj. Z domu tych prześcieradłowców wyjdiesz za pięć minut. Wsiądziesz do samochodu, wyjedziesz na szosę i dotrzesz do tabliczki z nazwą „Gąbin”. Tuż za nią jest droga prowadząca do lasu. Po trzystu metrach zobaczysz leśny parking. Do jednego z drzew będzie przypięty łańcuchem rower. Obok drzewa zakopałem pudełko z kluczykiem i telefonem komórkowym. Czekam najwyżej piętnaście minut, a potem żegnaj na zawsze. Nie próbuj jednak startować zbyt wcześnie. Aha, jeszcze jedno. Jeśli wyczuję gliniarza w promieniu dwóch kilometrów, dziennikarz zakończy swój płodny żywot.

Christo przerwał połączenie.

–Skąd znał ten numer? – wykrztusiła Janti.

Ultra uśmiechnęła się, kwitując w ten sposób naiwność przyjaciółki.

–Posłuchaj, Janti. On zaraz na pewno przetnie kabel telefoniczny. Nie przejmuj się tym i nic nie rób. Gdyby chciał wam coś zrobić, nie czekałby na mnie. Po prostu siedźcie tu, aż to wszystko się skończy. Miejcie włączone komórki. Moi chłopcy

zostaną tutaj, dopóki wszystko się nie wyjaśni, więc będziecie bezpieczni.

–On jest w pobliżu, może warto...

–Nie ma po co ryzykować – przerwała jej Ultra. – On czegoś chce, inaczej już dawno załatwiłby Adama i zniknął. Jeśli tak bardzo ryzykuje, musi mu na tym cholernie zależeć. Znajdź mi jakiś szpadel.

–Nie zawiadomiłam policji.

–I bardzo dobrze. Nie rób tego. I niech nikt stąd nie wychodzi przez najbliższe kilka godzin.

–Ile minęło minut?

–Jeszcze trochę. Nie denerwuj się. Nic wam nie robi. Jemu chodzi o niego i o mnie.

–Niepokoję się o was. Ja się nie boję śmierci.

–A ja trochę tak i dlatego, wierz mi, będę bardzo uważać.

Janti uśmiechnęła się i szybko wstała.

–Chodź, w kuchni stoją zaparzone dobre zioła, zdążysz jeszcze wypić. Uspokajają ale i rozjaśniają umysł.

Ultra wyjęła z kabury krótkofalówkę.

–Paulus, Śliski! Wracajcie tu.

Zgodnie z tym, co powiedział Christo, tuż za tabliczką z napisem „Gąbin” niewielka kręta droga przecinała las i prowadziła wprost do parkingu. Wokół nie było żywej duszy i wszystko wskazywało na to, że raczej rzadko ktoś tu zaglądał. Na niewielkiej polance, pod ścianą drzew, tkwił bardzo już skorodowany stół, przy którym najpewniej przymocowane były kiedyś ławeczki. Tymczasem jednak ślad po nich zaginął. Nad stołem był daszek na podpórkach, stosunkowo w najlepszym stanie. Na blacie wyryto kilka zwierzeń, wśród których najbardziej świeżo prezentowało się „Kocham Jolkę”, ale już takie „Buzek na wózek” wyraźnie nadszarpał ząb czasu. Ultra nie miała czasu przyglądać się temu wszystkiemu. Szybko odnalazła rower, którym okazała się stara chłopska „koza” z zardzewiałym łańcuchem, najprawdopodobniej ukradziona z któregoś z pobliskich gospodarstw. Wyciągnęła szpadel z samochodu i zaczęła szukać świeżo skopanej ziemi. Wszystko było przykryte liśćmi, więc znalezienie właściwego miejsca zajęło jej kilkadziesiąt sekund. Pudełko, zakopane dość płytko, nie zdążyło jeszcze przesiąknąć zapachem ziemi. Ultra wydobyła mały telefon zawinięty w plastikową torebkę oraz dość duży klucz od kłódki. Szybko odpakowała aparat i znalazła zakodowany numer w MENU. Christo odebrał po pierwszym sygnale.

–Słucham.

–Ultra.

–Masz klucz?

–Tak.

–Zostaw tam samochód. Wsiądź na rower i wyjedź z powrotem na szosę. Skręć w lewo, a później w czwartą drogę leśną w prawo. Jedź nią aż cię nie zobaczą.

–Jak cię poznam?

–Czekam pięć minut, a później znikam. Spiesz się, to dość daleko.

Rozłączył się. Ultra przez chwilę rozważała nawiązanie kontaktu z Centrum, ale szybko zrezygnowała. Wiedziała, że Christo celowo gania ją po lesie w takim tempie, aby nie miała czasu na nic, zwłaszcza na zastanowienie. Przyjedzie do niego, najprawdopodobniej w ostatniej chwili, zdyszana, niezdolna do jakiegokolwiek konfrontacji. Był panem sytuacji, co na razie wykluczało jakikolwiek opór. On czegoś chce i dopóki tego nie dostanie, oboje są względnie bezpieczni.

Szybko wskoczyła na rower i pomknęła w stronę szosy.

„Koza” okazała się jeszcze gorsza, niż na to wyglądało, a przerdzewiały łańcuch piszczał niemiłosiernie. Agentka kręciła pedałami najszybciej jak mogła, nie siadając nawet na siodełku. Omal nie wpadła pod ciężarówkę, wyjeżdżając z lasu. Jazda po asfalcie była już znacznie łatwiejsza.

Nagle przypomniał jej się ciężki trening w CNM. Centrum Nadzwyczajnej Mordęgi, jak studenci nazywali zajęcia terenowe, prowadził w agencji niejaki porucznik Zwrot. Nie było chyba agenta, który na dźwięk tego nazwiska przynajmniej się nie uśmiechnął. Zwrot jednak szybko zyskiwał szacunek każdego, kto miał z nim dłużej do czynienia, i nigdy nie pozwalał sobie na to, aby go z jakiegokolwiek powodu stracić. Był twardym, uczciwym żołnierzem, który nie oszczędzał się na ćwiczeniach. Wszystkie zadania wykonywał wraz z podkomendnymi, udowadniając im w ten sposób, że wysiłek, do którego ich zmusza, można znieść. Wydolność jego organizmu była niezwykła. Po pewnym czasie większości aspirantów choćby zbliżenie się do jego wyników dawało satysfakcję. Ultra podziwiała go, ale nigdy nie potrafiła przebrnąć przez jego dziwną i – jak się wydawało – dość mroczną osobowość. Niemal nigdy nie pozwalał sobie na prywatne rozmowy z podwładnymi. Nikt nie widział go uśmiechniętego. Był jak maszyna do wykonywania zadań; po ćwiczeniach znikał z pola widzenia i pojawiał się dopiero na następnych zajęciach. Ultra pamiętała z tamtych czasów niewyobrażalne wręcz zmęczenie, brak tchu, świadomość własnej niedoskonałości i cholerną złość. Ale przecież tak naprawdę dopiero tam nauczyła się względnie opanowywać strach i gniew, emocje zaś stały się jej sprzymierzeńcem, nie przeciwnikiem.

Jechała tak szybko, jak tylko potrafiła, z trwogą stwierdzając, że przecina dopiero drugą drogę w las, podczas gdy mijają właśnie całe cztery minuty. Ze zdziwieniem zauważyła, że to nie płuca odmawiają jej posłuszeństwa, tylko mięśnie nóg. Zaczęły boleć tak dotkliwie, że zdawało jej się, jakby co pewien czas niektóre zupełnie się „wyłączały”. Tłumaczyła sobie, że to jedynie normalne przy nagłym wysiłku „pierwsze zmęczenie”. Trzeba szybko się z tym uporać i wszystko wróci do normy. Została niecała minuta. Gdzie ta cholerna trzecia przecznica?!

Wśród drzew ukazała się wreszcie kolejna droga, a niemal tuż za nią – następna. Ultra skręciła w prawo. Wjechała w gęsty las, z początku iglasty, a po kilkudziesięciu metrach coraz bardziej mieszany. Droga skręciła raptownie w lewo, tak że przez pewien czas biegła niemal równoległe do szosy, by później znów odbić w prawo. Minęło pięć minut. Na pewno już nie zdąży. Niewielka polana widoczna w oddali dała jej nadzieję, że jeszcze wszystko może się udać. Wjeżdżając na nią natychmiast dostrzegła stoliczek, ławkę i parking podobny do tego, na którym zostawiła toyotę.

Daszku tu nie zbudowano, ale przynajmniej było na czym siedzieć. Adam, który jak się domyśliła, przykuty był kajdankami do nogi stołu, patrzył na nią spokojnie, jakby się przed chwilą rozstali.

–Zwolnij! – usłyszała zza pleców. – Nie zdejmuj rąk z kierownicy. Spokojnie podjedź do stolika, zsiądź i połóż ręce na blacie.

Ultra wykonała rozkaz. Christo po chwili dobiegł do niej.

–Nie odwracaj się! – rzucił.

Poczuła, jak wyjmuje jej pistolet z tylnej kabury. Więcej broni nie miała. Wiedziała, że to bez sensu. I tak dokładnie by ją przeszukał. Tak też zrobił.

–Usiądź i trzymaj cały czas ręce na stole – zażądał spokojnie, po czym wyszedł zza pleców dziewczyny, aby móc spojrzeć jej w oczy. Usiadł obok Adama naprzeciwko agentki. Ultra miała przed sobą niskiego, drobnego facecika w okularach, choć jego oczy spoglądały przenikliwie i zdecydowanie. Ubrany był w zieloną kurtkę „moro”, spod której wystawał wojskowy podkoszulek, również w kolorze zgniłej trawy. Twarz miał spokojną opanowaną pozbawioną jakichkolwiek emocji. Krótko ostrzyżone, rzadkie blond włosy zaczesane były do tyłu, a na dość wysokim czole zaznaczyły się już wyraźnie pierwsze zmarszczki.

–Dobry trening od czasu do czasu nie zaszkodzi. – Uśmiechnął się.

Ultra zignorowała uwagę.

–Musisz mi wybaczyć – ciągnął. – To tylko środki ostrożności.

–Puścisz go? – burknęła dziewczyna, wciąż ciężko oddychając. Pot ściekał jej z czoła, ale twarz miała spokojną.

–Tak, ale najpierw załatwimy pewną sprawę. Tu mało kto zagląda, więc nikt nie powinien nam przeszkadzać.

–To ty zabiłeś senatora – powiedziała beznamiętnie, patrząc mu prosto w oczy.

–Nie. – Christo ponownie się uśmiechnął. – Ja tylko pociągnąłem za spust. Zabił go kto inny, ale dobrze, że o tym wspomniałaś, bo o nim właśnie chcę porozmawiać.

–Po co ta gadka?! – warknął Adam. – I tak chcesz nas wykończyć!

–Mylisz się, drogi kolego – odparł chłodno zabójca. – Mamy nie tylko wspólnych przyjaciół – tu spojrzał na dziewczynę – ale i wrogów.

–O czym on mówi?! – Kniewicz rzucił pytające spojrzenie w kierunku Ultry.

Agentka dostrzegła w jego oczach zmęczenie i silne zdenerwowanie. Mogła tylko sobie wyobrazić, jak bardzo dziennikarz się boi.

–Mówi nam chyba o tym, że w którymś momencie dowiedział się za dużo o kimś, dla kogo pracował, i wpadł w podobne tarapaty jak ty. Nie myślę się, panie cyngiel, co?

–Daruj sobie sarkazm – rzucił zimno Christo. – Biorąc pod uwagę różnicę wieku, nie sądzę, żebyś miała gorszy wynik ode mnie.

–Ale ja to robię dla rządu i kraju, a ty tylko dla forsy.

–Oboje wykonujemy zawody oparte na tych samych zasadach. Skoro jednak uważasz, że zasłanianie się skorumpowanym i nierzadko przestępczym rządem usprawiedliwia cię, to twoja sprawa.

–Stajesz się niesmaczny – skrzywiła się dziewczyna. – Czego chcesz?

–Dojdziemy do tego. Najpierw pogadajmy o teczce.

–Najpierw powiedz, dlaczego zabiłeś Martę! – wybuchnął Adam.

–Przestań, do cholery! – skarciła go Ultra. – On chce się dogadać.

–O czym ty mówisz?! On przecież...

–Ponownie się mylisz, drogi kolego – przerwał mu Christo. – Marta Karska żyje.

–Co?! – Kniewicz poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Ultra po raz pierwszy spuściła wzrok z Christa i zwiesiła głowę.

–Wiedziałaś o tym... – jęknął Adam, przeciągając łańcuchem kajdanek po drewnianym palu podtrzymującym blat stołu. – Jak to możliwe? Policja miała ją przecież w kostnicy.

–Nie mówiłam ci, bo nie byliśmy niczego pewni – odparła agentka. – Dziewczyna z kostnicy to jej siostra bliźniaczka. To ona najprawdopodobniej dzwoniła, jak to twoja dziewczyna ujęła, „z zaświatów”.

–To prawda – potwierdził Christo.

–Skąd możesz to wiedzieć? – spytała Ultra.

–Ponieważ sama mi to powiedziała.

–Nie zlikwidowałaś jej?

–Nie.

Christo wyjął zdjęcie z kieszeni kurtki i położył je przed Kniewiczem. Była na nim Marta czytająca „Gazetę Wyborczą”. Wyglądała na pogodną choć nieco wystraszoną.

–To wczorajszy numer – wyjaśnił.

Ultra wzięła zdjęcie do ręki i uważnie mu się przyjrzała.

–Ona nie wie, kim jesteś – powiedziała wolno, kładąc fotografię na stole. – Pewnie nawet nie wiedziała, że zrobiłeś jej to zdjęcie.

Christo pokiwał głową z uznaniem.

–To nieistotne. Ważne jest, żeby nikt nie zrobił teraz żadnego głupstwa.

Adam poczuł, jak ciężko ślina przechodzi mu przez gardło. Zakrztusił się. Christo mocno klepnął go w plecy.

–Teraz się uspokoisz? – zapytał.

–Tak – mruknął Kniewicz.

Belg wyjął z kieszeni kluczyki i uwolnił go. Dziennikarz roztarł bolące przeguby.

–Co chcesz z nią zrobić? – spytała Ultra.

–Pozostanie moim gościem do chwili, aż wy zrobicie to, o co proszę.

–Domyślam się, że nie chodzi o forszę.

–Spokojnie. W tym momencie praktycznie chodzi nam o to samo.

–Chcesz zniknąć bez śladu?

–Bez śladu już się nie da. Znacie moją twarz, ale to teraz nie ma większego znaczenia. Znają ją niestety także moi obecni wrogowie...

–A dawni pracodawcy.

–Powiedzmy, że czas na emeryturę. Muszę wyjechać spokojnie z tego kraju i zniknąć na zawsze.

–Co cię powstrzymuje? Przecież nawet my ani ABW nie ma twojego zdjęcia.

–Dopóki żyje człowiek, dla którego tu pracowałem, nie mam szans przekroczyć żadnej granicy. A nawet jeśli jakimś cudem mi się to uda, będzie mnie ścigał, aż mnie wykończy. Wiem o nim zbyt wiele, a on niestety, wie także zbyt wiele o mnie. Nie mogę liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Każda policja będzie przeciwko mnie. A on nie zrezygnuje, wierzcie mi.

–Kto to jest? – Ultra zadrżała mu głęboko w oczy i zacisnęła odruchowo usta.

Christo cicho westchnął i rozejrzał się po okolicy, jakby chciał zacząć opowieść o otaczającej ich przyrodzie.

–Musimy się trochę cofnąć. Wiesz, czym była grupa S-KONTAKT?

–Lata osiemdziesiąte?

–Tak.

–Na ten temat wiem niewiele. Nigdy się tym nie zajmowałam. O ile pamiętam, to grupa osób wydelegowanych z kręgów najbardziej zaufanych ludzi opozycji do kontaktów z CIA, Watykanem, wywiadem zachodnim... z wszystkimi, którzy mogli pomóc. Pieniądze, sprzęt, taktyka... wiesz, o co chodzi. To byli agenci bardzo blisko związani z kierownictwem podziemia. Sama elita.

–No, trochę idealizujesz. – Christo się uśmiechnął. – Byli zwykłymi ludźmi Solidarności. Pamiętaj, to tylko ruch robotniczy, nie wierz w legendy. Tam nie było żadnych supermanów szkolonych w CIA. Ale S-KONTAKT, choć nie składał się tak naprawdę z agentów, miał bardzo duże znaczenie. Ci, którzy wchodzili w jego skład, byli nie tylko wykształconymi doradcami i mediatorami, ale przede wszystkim cenionymi specjalistami w kilku najistotniejszych dla sprawy dziedzinach. Politologia, socjologia, psychologia, ekonomia... W sumie siedem osób. Nie byli jedyną taką grupą ale koordynowali działania pozostałych. – Christo przerwał na chwilę, aby rozejrzeć się po okolicy. Kiedy się upewnił, że wszystko jest w porządku, spokojnie kontynuował: – Wspomniałem, że S-KONTAKT nie składał się z agentów, ale to nie do końca prawda. Jeden ściśle współpracował z nimi jako łącznik i koordynator. Doskonały i najbardziej chyba utajniony w tamtych czasach agent, tyle że... SB.

–O kurwa... – wyrwało się Adamowi.

–Wiedziało o nim ledwie kilka osób z ministerstwa, z których do niedawna żył tylko jeden człowiek: jego bezpośredni przełożony. To starszy facet, zmarł na raka kilka dni temu. Spotkałem się z nim przed jego śmiercią.

–Nie mów, że coś od niego wyciągnąłeś – mruknęła Ultra.

–Kiedyś być może byłoby trudno, ale teraz umierał. Było mu już wszystko jedno. Nie chciał, żeby zadawano mu ból.

–Nie masz serca. – Kniewicz zmrużył lekko oczy i popatrzył beznamiętnie na Christa.

–Ten biedny, umierający dziadek był jednym z najbardziej bezwzględnych oficerów SB, przy którym ja jestem dobrym samarytaninem. Gdybyś zobaczył listę jego ofiar, stwierdziłbyś, że mimo wszystko byłem jednak zbyt łagodny. Dlatego zresztą ten właśnie oficer był jedyną osobą, której ufał agent umieszczony w S-KONTAKT.

–Kim był ten agent? – spytała Ultra, pocierając lekko rękami o stół.

–Wtedy miał pseudonim Zygzak. A teraz jest jedną z najważniejszych osób w państwie, wy zaś macie z nim bardzo dużo kłopotów. Zresztą ja też. To on zabija. I wierzcie mi, jest w tym dobry.

–Nigdy go nie wykryto?

–Nigdy, choć kilka razy był o włos od wpadki. Kariera w Solidarności szybko utorowała mu drogę do wysokich stanowisk. Czasy się zmieniły, ale on przystosował się do nich zadziwiająco sprawnie. Należało tylko wymazać jak najszybciej swoją przeszłość.

–Oczywiście żadna z osób, które wiedziały o nim w ministerstwie, nie zmarła we własnym łóżku? – upewniła się Ultra.

–Cóż, niezupełnie, ale właściwie żadna z nich prócz dowódcy, o którym wam mówiłem, nie doczekała lat dziewięćdziesiątych. Być może nie byłoby aż tak źle, gdyby nie tak zwana „Sprawa zakopiańska”.

–Sprawa zakopiańska? – Dziewczyna nie ukrywała zdziwienia. – Jesteś lepiej poinformowany niż cały rząd...

–Przeceniasz mnie. Po prostu wiem, co jest w teczce.

–Wiesz, co jest w teczce – powtórzyła jak echo.

–Co jest w teczce? – Kniewicz wyręczył Ultrę.

–Za chwilę. Najpierw o tym, co się stało w Zakopanem w lutym 1988 roku.

Szesnastego S-KONTAKT spotkał się z niejakim Gregiem Tarrence'em, przemysłowcem amerykańskim. Tarrence zajmował się w Polsce usprawnianiem produkcji w dużych zakładach przemysłowych. Był znanym na rynku rzeczoznawcą a także cenionym inżynierem mechanikiem. Był także szpiegiem CIA, który stale współpracował z S-K. W spotkaniu tym nie byłoby niczego szczególnego, gdyby nie fakt, że Tarrence'a od dawna już obserwowała SB. Musiał więc powoli ewakuować się z Polski. To ostatnie spotkanie było dla niego cholernie niebezpieczne, ponieważ wiedział, że przeciek na jego temat mógł powstać tylko w S-K.

–Musiał więc mieć bardzo ważny powód – wtrąciła się Ultra.

–I miał. Tarrence wiedział, kim jest Zygzak. Mało tego, miał całą jego teczkę, którą sprzedał mu jeden z esbeckich łączników Zygzaka. Do dziś nie wiadomo, który to zrobił i za ile. Oprócz dowódcy w 1988 roku żyły jeszcze trzy osoby, które wiedziały o Zygzaku. Wszystkie pracowały w ministerstwie. Mogła to zrobić każda z nich. Zygzak szpiegował opozycję od 1976, był jednym z najlepiej zakamuflowanych agentów bezpieczeństwa w Solidarności. Dowódca zlikwidował więc całą trójkę.

–Niemożliwe... – jęknął Kniewicz.

–Nie dziw się. Ci faceci nie przebierali w środkach. Chodziło o śmiertelną walkę o władzę. Jednostki nie liczyły się w ogóle.

–Tarrence przyjechał do Zakopanego ostrzec pozostałych członków S-K? – spytała Ultra.

–Tak – odparł Christo. – Liczył na to, że Zygzak dowie się o wszystkim, kiedy on już będzie bezpieczny, a komisja krajowa Solidarności powiadomiona. Na normalnym spotkaniu załatwiali więc zwykle sprawy, natomiast później Tarrence zagrał w dość nietypowy sposób. Wtajemniczył tylko jednego z członków S-K: Jacka

Szczepańskiego, nie wyróżniającego się niczym specjalnym czterdziestoletniego ekonomistę. Po prostu dobrego fachowca i negocjatora. Jemu oddał teczkę.

–Dlaczego właśnie jemu? – spytał Adam.

–Cholera go wie. Być może tylko jemu ufał, być może tak mu kazano, może chciał jak najbardziej zmniejszyć ryzyko. Ale niezwykle jest to, że Zygzak mimo wszystko dowiedział się, iż Tarrence przyjechał do Zakopanego nie tylko po to, aby rozmawiać o finansowej pomocy USA dla polskiej opozycji.

–Próbował go zlikwidować? – spytała agentka.

–Myślę, że tak, ale w teczce nie ma o tym ani słowa.

–Czyli nie wiadomo, co się stało z Tarrence'em?

–Wiadomo tylko, że zniknął. Nie sądzę, aby przeżył. Zygzak dowiedział się o wszystkim zbyt wcześnie.

–Szczepański powiedział o tym kolegom?

–Tego nie wiem, ale jak się później okazało, nie miało to większego znaczenia.

–Nigdy nie dojechali do Warszawy – stwierdziła cicho Ultra.

–Tak. Samochód rozbił się pięćdziesiąt kilometrów od Zakopanego. Wszyscy zginęli na miejscu. Dla większości członków opozycji byli to po prostu koledzy z podziemia. Tylko bardzo wąska grupa ludzi wiedziała, że byli w grupie S-K. Oczywiście spiskowa teoria dziejów była domeną większości działaczy, więc szybko się rozeszło, że wypadek sprowokowano, a zamordowała ich SB. Jak na ironię, nawet najwięksi zwolennicy tej teorii nie przypuszczali, jak bliscy są prawdy, nie mówiąc już o tym, że nikt właściwie nie miał pojęcia, dlaczego eksperci zginęli.

–Teczka zniknęła? – wtrąciła się Ultra.

–Tak, ale nie było jej w samochodzie. Jacek Szczepański wysiadł w Nowym Targu, żeby odwiedzić przyjaciela. Najprawdopodobniej kazał mu tak zrobić Tarrence. Mimo że obaj nie zdawali sobie sprawy z tego, co wie Zygzak, chcieli być ostrożni. Wtedy nie było komórek, a stacjonarne telefony miały podsłuch. Chodziło o to, aby ukryć teczkę i na wszelki wypadek zrobić kopię. W Nowym Targu rzeczywiście mieszkał podobno stary przyjaciel Szczepańskiego, nawiasem mówiąc, nie związany z opozycją.

Christo na moment przerwał i ponownie rozejrzał się po okolicy, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi lub nie nadjeżdża.

Ultra przyglądała mu się badawczo, próbując go rozgryźć. Wiedziała już, że nic im nie grozi, więc rozluźniła się i uważnie słuchała spowiedzi Christa. Domyślała się, dlaczego opowiada im o tym wszystkim, ale nie potrafiła zrozumieć, z jakiego powodu wciąż ukrywa prawdziwe nazwisko Zygzaka; przecież musiał je znać. Postanowiła, że poczeka jeszcze z tym pytaniem. Na razie najważniejsze były dowody.

–Czy teczka Tarrence'a to dokładnie to samo co teczka Kamińskiego? – spytała, przerywając chwilowe milczenie.

–Prawie. W teczce Tarrence'a znajdowały się dowody na agenturalną działalność Zygzaka: meldunki, zapisy rozmów, które zdążył sporządzić, ale w większości były to materiały MSW. Senator dostał teczkę uzupełnioną o kilka dokumentów, jednak

najważniejszą jej częścią jest zeznanie Jacka Szczepańskiego, dzięki któremu wiem teraz tak wiele.

–Co się stało ze Szczepańskim?

–Z początku wszystko szło zgodnie z planem. Chciał zrobić kopię, którą miał zabrać ze sobą a oryginał ukryć. Rano dowiedział się jednak o wypadku i dopiero wtedy tak naprawdę zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Wyprawa do Warszawy byłaby samobójstwem. Musiał zniknąć. Nie wiadomo, czy zdążył zrobić kopię. W każdym razie ten „przyjaciel” to dość tajemniczy facet. Do dzisiaj nie wiadomo, kim jest, a nawet, czy w ogóle istnieje. Zygzak dowiedział się o nim dopiero przed kilkoma dniami, przy okazji wypłynięcia „kuriera”, który dostarczył teczkę senatorowi. Gdy „kurier” się pojawił, Zygzak wpadł w panikę i znowu zaczął zabijać.

–A wtedy wynajęli ciebie – wtrącił Adam.

–Tak, chociaż nie miałem pojęcia, dla kogo w gruncie rzeczy pracuję. Zlecał i płacił Szczękuś. Zygzaka nigdy nie widziałem na oczy. Oprócz, oczywiście, telewizji.

–Kim on, do cholery, jest?! – nie wytrzymał Kniewicz.

–Tego już dowiecie się sami – odparł spokojnie Christo.

–Zwariowałaś? – jęknęła Ultra. – Opowiadasz nam to wszystko i nie podajesz nazwiska? W co ty grasz?

–Nie zapominaj, kim jestem. Wykorzystasz każdą nadarzącą się okazję, żeby mnie dostać. Rozegramy to po mojemu. Ja was naprowadzę, a wy zdobędziecie dowody.

–Zapewnimy ci bezpieczeństwo i specjalne traktowanie. Jeśli powiesz wszystko, załatwimy faceta w kilka godzin!

–Dosyć! – uciał Christo. – Zachowaj tę gadkę dla tych jełopów Szczękusia. Nie mam teczki ani żadnych dowodów. Jediną gwarancją jest dla mnie jego dziewczyna i, powiedzmy, wasza częściowa niewiedza. Wiecie tyle, ile trzeba.

–To co mamy teraz, kurwa, robić?! – warknął dziennikarz.

–Znaleźć Jacka Szczepańskiego i, oczywiście, teczkę.

–Jesteś pewien, że on żyje?

–Wszystko wskazuje na to, że tak. Świadczy o tym fakt, że teczka znowu po latach wypłynęła. Znajdźcie ją i udupcie tego skurwysyna esbeka. Tam są także dowody przeciwko Szczękusowi.

–A gdzie jest kurier? – spytała Ultra.

–Nie zajmowałem się nim. To była robota tych gnojków Szczękusia. Kurier nie tylko zdołał dostarczyć teczkę senatorowi, ale także wykiwał ich jak dzieci i zniknął. Szczękuś przestraszył się Zygzaka, więc nawcisnął mu kitu o tym, że załatwili kuriera, ale niestety dopiero po tym, jak teczka wpadła w ręce senatora.

–I wtedy wynajęli ciebie, żebyś posprzątał?

–To była robota na wariata. Bez przygotowania, bez niczego. Szczękuś chciał, żebym załatwił faceta natychmiast i zabrał jakąś teczkę, a później szybko przywiózł ją pod wskazany adres. Miałem w ogóle nie kontaktować się ze Szczękusiem. Senator na ich szczęście był łatwym celem, inaczej robota byłaby niewykonalna.

–Zawiozłeś teczkę.

–Tak. Odebrała ją kobieta podobna jak dwie krople wody do twojej dziewczyny. – Tu Christo spojrział na Kniewicza. – Powiedziała hasło, zabrała teczkę i tyle. Wróciłem do siebie.

–Wtedy nie znalazłeś jeszcze zawartości teczki? – spytała Ultra.

–Nie. To nie była moja sprawa. Następnego dnia zadzwonił Szczękuś z poleceniem, żebym odebrał pakunek z dworca. To był dawno umówiony sygnał, który zwiastował nową robotę. Pojechałem na dworzec, wyjąłem ze skrytki paczkę i nie zgadniecie, czyje zdjęcie tam znalazłem.

–Kobiety, która odebrała od ciebie teczkę – powiedziała spokojnie agentka.

–Brawo. Miałem tylko czekać na sygnał.

–Ktoś musiał tego od Szczękusia zażądać.

–Właśnie. Zygzak nie tylko kazał mu sprzątnąć wszystkich, którzy choć przez chwilę mieli kontakt z teczką ale też musiał go ostro opierdolić za to, że zamiast dostarczyć mu teczkę natychmiast, bawi się w jakąś konspirację. Szczękuś był tymczasem po prostu ostrożny. Znam go od lat. On zawsze załatwia sprawy po swojemu i nigdy nie dotyka bezpośrednio czegoś, co bardzo parzy. Tym razem jednak sprawa była gardłowa, bo nie sądzę, żeby Szczękuś tak łatwo zdecydował się zlikwidować dziewczynę kumpla, z którym współpracował od lat.

–Kerthoff... – mruknęła Ultra.

–Dowiedziałem się o nim trochę później. Mimo że pracowaliśmy dla tego samego faceta, nigdy się nie poznaliśmy. Wiedziałem, kim jest, ale nie miałem pojęcia, że przyjechał z tą dziewczyną do Polski.

–Nie wydawało ci się to wszystko trochę podejrzane?

–Do tego momentu uważałem tylko, że to jest, hmm, dziwne. Nie przyszło mi nawet do głowy, że Szczękuś będzie miał odwagę próbować załatwić też mnie. Poza tym nie znałem zawartości teczki. Za robotę płacili wyjątkowo dobrze, więc pomyślałem, że reszta to nie moja sprawa.

–Co za jatka... – mruknął dziennikarz.

–Nie ja to wymyśliłem. Gdybym się nie zgodził, wynajęliby kogoś innego. To tylko biznes, kolego. Nic osobistego.

–Załatwiłeś ją... – przerwała mu Ultra.

–Nie od razu. Dostałem sygnał i pojechałem. Właśnie wybiegała z domu. Spieszyło się jej. Wskoczyła do samochodu i błyskawicznie ruszyła. Na Wisłostradzie miałem szczęście. Chyba wybierała się gdzieś dalej, bo zajechała na stację benzynową. Najprawdopodobniej po prostu uciekała. Poszła płacić, a ja ukryłem się w jej samochodzie. Gdy wróciła, była tak zaaferowana, że tylko wsiadła i wystrzeliła z piskiem opon. Spluwa przystawiona do głowy tak ją zaskoczyła, że nawet nie krzyknęła. Paplała tylko coś, że nie ma teczki, ale wie, gdzie jest, i że zapłaci dwa razy więcej, jeśli daruję jej życie. Wyrwała kartkę z notatnika samochodowego, nabazgrała coś i przysięgała, że to prawdziwy adres.

–Ale tobie nie chodziło o teczkę... – mruknęła Ultra.

–No właśnie. Wykonałem zadanie i zadzwoniłem do Szczękusia.

–Co powiedział?

–Kazał mi wrócić i wykończyć Kerthoffa.

–O Boże... – jęknął Kniewicz. – Przecież to jego kumpel!

–No właśnie, ciężko było w to uwierzyć. Robiła się za duża jatka. Jeśli mieli zginąć wszyscy, którzy widzieli teczkę, to czemu nie ja?

–Co zrobiłeś? – spytał dziennikarz.

–Musiałem wrócić do mieszkania, ale byłem prawie pewien, że czekają tam na mnie. Nic się nie kleiło. Dlaczego dziewczyna uciekała sama? Gdzie wtedy był Kerthoff? Dlaczego Szczękuś nie powiedział mi o nim wcześniej? Skoro teoretycznie miałem ją załatwić w mieszkaniu, oni musieli być pewni, że jego tam wtedy nie będzie. Kerthoff musiał grać na dwa fronty i choć nie jestem tego pewny, ale chyba zdradził dziewczynę i zniknął, żeby wystawić ją mnie.

–Po czym wrócił i czekał na dalsze polecenia Szczękiego? – wtrąciła agentka.

–Pewnie tak, tylko że ona musiała się czegoś domyślić i próbowała uciec. Ale to jedynie teoria.

–Byli tam? – spytała wreszcie Ultra.

–Dwóch zakapiorów. Mieli mniej szczęścia niż ja.

–To byli ludzie Szczękiego? – spytał Adam.

–Chyba tak.

Lekki powiew wiatru poruszył gwałtowniej liśćmi za plecami Christa. Dość szybko, ale spokojnie odwrócił głowę, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ultra, chyba z zawodowego przyzwyczajenia, zrobiła to samo.

–Dlaczego chcą zabić mnie? – wykrztusił wreszcie Kniewicz.

–Myślę, że właśnie przez Kerthoffa. Gdy Dorota, która od pewnego czasu nazywała się Karin Blazevic, i Marta spotkały się w tym ich cholernym mieszkaniu, twoja dziewczyna musiała o tobie opowiadać, a tym samym nieświadomie wmieszała cię w całą aferę. Marta nie miała zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Po prostu przyjechała spotkać się po latach z siostrą. Kerthoff jednak był ostrożny. Myślę, że najpierw namówił Karin... to znaczy Dorotę, aby wykorzystwała siostrę i pozbyła się gorącej teczki, a dopiero dużo później, gdy był już bezpieczny, oświecił Szczękiego, że jest jeszcze Marta, no i ty. Dorota wcisnęła jej jakiś kit i poprosiła, aby oddać jej znajomemu pewną teczkę. Wyglądało to na błahą sprawę. Za trzy godziny z Martą miał się spotkać „kolega” siostry, żeby odebrać służbowe dokumenty. Dorota „nie mogła” tego zrobić, bo nie zdążyłaby na samolot.

–Jak Marta mogła to kupić? – jęknął Adam.

–A dlaczego nie? – odparł Christo. – Mało razy robiłeś takie rzeczy dla przyjaciół? Tym bardziej zrobiłbyś to dla siostry. Proste, nic w tym podejrzanego. Gdyby Kerthoff nie zdradził Doroty, najprawdopodobniej twoja dziewczyna byłaby teraz martwa, a Karin Blazevic bez problemu opuściłaby kraj. Posłaniec, który zjawił się w umówionym miejscu, był pewien, że bierze teczkę od Doroty, którą, jak sądzę, znał ze zdjęcia.

–Marta czytała zawartość teczki? – wtrąciła Ultra.

–Nie.

–Posłaniec myślał, że Marta to Dorota, a ty miałeś niedługo ją załatwić?

–Podobno wyglądał niepozornie. Wziął teczkę i nie powiedział słowa. Nie bawił się nawet w żadne hasła.

–Kiedy do niej przyszedłeś?

–Od razu po rozróbie u Kerthoffa. Próbowali mnie zabić, więc musiałem zdobyć teczkę. Nie bardzo wierzyłem w adres na kartce, ale musiałem spróbować.

–Jak ją porwałś? – mruknął Kniewicz.

–Żartujesz? Nietrudno było mi ją przekonać, że oboje musimy uciekać, aby ratować życie. Pokazałem jej zdjęcie martwej siostry. Uwierzyła we wszystko. Teczki już niestety nie miała.

–Tyle tylko że ona nie wie, kim jesteś... – Ultra uśmiechnęła się gorzko.

–Nie musi wiedzieć. Czuje się w miarę bezpieczna, a ja nie muszę jej pilnować.

–Jako kto się przedstawiłeś? – spytał dziennikarz.

–Nie twoja sprawa. Dość tej spowiedzi, szkoda czasu. Wiecie, co trzeba. – Christo po raz pierwszy od początku spotkania spojrzął w górę, jakby zapragnął nagle podziwiać czubki drzew.

–Jeszcze jedno – wtrącił Adam. – To ty podłożyłeś bombę w moim mieszkaniu.

–Nie. Nawet o tym nie wiedziałem.

–Zginał mój przyjaciel! – warknął Kniewicz.

–Przykro mi, kolego, nie ja to wszystko wymyśliłem. To biznes, a teraz jesteśmy, powiedzmy, po tej samej stronie. Ciesz się, że ty żyjesz.

–Kiedy Kerthoff dogadał się ze Szczękim? – spytała Ultra.

–Nie wiem. To starzy kumple, myślę, że Holender wiedział od początku, że będzie gorąco. Dorota była tylko narzędziem, ale bardzo wygodnym. Miała siostrę bliźniaczkę, no i stanowiła pewne zabezpieczenie. – Christo przerwał, poprawiając się nieznacznie na ławce. Zdjął okulary, wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł pedantycznie szkła. – Kiedy chodzi o życie i pieniądze, nie wierzysz nawet najlepszemu przyjacielowi – powiedział po chwili nie bez goryczy. – Myślę, że stąd ten cyrk z podstawieniem Marty. Mógł w ten sposób cały czas trzymać na dystans Szczękiego i Zygzaka, a jednocześnie w odpowiedniej chwili wystawić Dorotę i zgarnąć forszę. Kerthoff musiał powiedzieć Szczękiemu o Marcie dopiero wtedy, gdy był już pewien, że oddała teczkę. No i oczywiście po śmierci Doroty. To nie było głupie. Do końca trzymał kilka asów w rękawie. Za te wiadomości musiał dostać kupę szmalu.

–Skurwysyn... – nie wytrzymała Ultra.

–Trzeba przyznać, że siostrunia nie lepsza. Przesympatyczna była z nich para. Ale to właśnie dzięki panu Holendrowi mogłem bezpiecznie zabrać Martę z jej mieszkania i zameldować o tym Szczękusiowi.

–Raczej nie był tym zachwycony... – mruknęła z przekąsem agentka.

–O to chodziło. Możliwe, że dopiero wtedy Szczękuś dowiedział się o Marcie i o tobie, wyciągając to od Kerthoffa za dużą kasę.

–Pewnie dlatego przez pewien czas Adam był w mieszkaniu Marty względnie bezpieczny. Szczękuś był pewien, że osoba, która oddała teczkę, to Dorota i że ona nie żyje – wtrąciła Ultra.

–I mamy teraz pewną przewagę – zauważył Christo.

–Kto nadał ci mnie? Sulig? – Agentka lekko przymrużyła oczy. – Oczywiście, jego żona... Ty ją...

–Nie. Ja tylko wpasowałem się w sytuację. Ci kretyni od Szczękiego zachowywali się jak słonie w składzie porcelany. Można było wykorzystywać każdy ich ruch i ukrywać się w ich cieniu, a Zygzak wciąż nie wiedział, gdzie jestem.

Ultra zastanawiało, dlaczego ten niebezpieczny człowiek traci czas na wyjaśnianie im aż tylu rzeczy. Może chciał bardziej przekonać Adama i ją że nie robi ich w konia i jedzie z nimi na tym samym wózku? Może zbierał punkty dla sądu i ławy przysięgłych, gdyby coś się nie udało? Nieważne. Adam żyje, dziewczyna jest w miarę bezpieczna. Christo podniósł znacząco rękę.

–Dosyc – powiedział spokojnie. – Wiecie więcej, niż trzeba. Teraz znajdźcie Szczepańskiego i sprowadźcie go tutaj.

–Tak? A niby gdzie mamy go szukać?! – spytała nie bez ironii Ultra.

–Tu. – Christo wyjął z kurtki niewielką szarą kopertę i wręczył ją Kniewiczowi. Ośłupiały dziennikarz wziął kopertę z miną jakby właśnie przejmował ładunek wybuchowy.

–Spokojnie – uśmiechnął się Belg. – To nie raport z zabójstwa Kennedy’ego, ale przyda ci się. Pojedziesz z nią i jej ludźmi.

–Po co?! – wybuchnęła Ultra.

–Bo ja tak mówię, a jeśli się dowiem, że wysadziliście go gdzieś pod Skierniewicami, nici z naszej umowy, likwiduję Karską i dzwonię do kogo innego.

–Skąd ty to wszystko wiesz?! – nie wytrzymała agentka.

–Tego nigdy nie będę mógł wam powiedzieć – mruknął tajemniczo. – Dojedziecie rowerami do twojego samochodu – ciągnął. – Nie musicie ich zwracać. – Uśmiechnął się na pożegnanie, po czym ruszył w stronę swojego wozu. Wyjął z bagażnika jeszcze jeden rower i rzucił go na ziemię.

–Posłuchaj! – krzyknął za nim dziennikarz. – Jeśli zrobisz jej krzywdę, zabiję cię!

Christo zignorował tę groźbę, choć trudno mu było powstrzymać śmiech. Ultra ukryła tylko twarz w dłoniach, licząc na to, że Adam wreszcie się zamknie.

–Choć już! – burknęła do Kniewicza, wciskając mu do ręki kierownicę swojego roweru, aby się czymś chwilowo zajął.

–Co?

–Nic. Wsiadaj!

ROZDZIAŁ 8

Prezydent wciąż patrzył na Piotra Krentza, potrząsając z niedowierzaniem głową.

–Co radzisz? – spytał po chwili.

–Przyczaić się i odczekać – odparł pułkownik. – Zygzak musi działać, inaczej koniec z nim. Nie musimy go szukać, sam się znajdzie.

–Kto to, do cholery, jest?!

–Były agent bezpieki, obecnie według wszelkiego prawdopodobieństwa silnie związany z rządem. W innym wypadku nie mógłby działać tak sprawnie.

–To skurwiel! – Prezydent wstał raptownie, aby pokonać kilka metrów po swoim gabinecie. – Dowiedzcie się możliwie najwięcej o tej sprawie... zakopiańskiej.

–Wszystkie dokumenty najprawdopodobniej spalono w osiemdziesiątym dziewiątym lub dziewięćdziesiątym. Nie ma świadków, zeznań, nawet raportów milicyjnych. Niczego nie możemy znaleźć. Nikt nic nie wie o Zygzaku. Jego współpracownicy, o których wiemy, nie żyją. Oprócz jednego, wszyscy zginęli w dość dziwnych okolicznościach. Jedyny, który umarł śmiercią naturalną to jego bezpośredni przełożony, prawdopodobnie „mózg” całości. Rak trzustki. Zmarł zaledwie tydzień temu. Nie dotarliśmy do niego.

–To Zygzaczek został sam... – westchnął cicho prezydent, siadając.

–I, jak widać, chyba nie najlepiej sobie radzi. – Krentz uśmiechnął się nieznacznie.

–Nie pocieszaj mnie. W tej chwili na najwyższych szczeblach władzy działa w Polsce człowiek, który być może pracuje dla Rosjan, Kubańczyków, Chińczyków, cholera wie dla kogo jeszcze. Ma władzę, pieniądze i morduje moich polityków!

Krentz milczał, widząc, że szef traci cierpliwość.

–A ja jestem bezradny! – ciągnął prezydent. – Mój najlepszy człowiek nie wie nawet, jak on wygląda, a ABW i gliniarze nie mają zielonego pojęcia, o czym mówię!

–To kwestia najdalej kilku dni. Teraz już znajdziemy go szybko.

–Pośpiesz się, Piotr – mruknął prezydent. – To się robi bardzo brudne.

–Ludzi z grupy S-KONTAKT znało ledwie kilka osób, wśród nich Zygzak, ale o jej istnieniu wiedzieli prawie wszyscy z otoczenia kierownictwa. Co prawda, bezpośrednio zajmowała się tym jedynie garstka działaczy, lecz krąg ludzi się zawęża. Większość z tych osób czynnie działa dziś w polityce, zajmując wysokie stanowiska państwowe. Przecież ten facet musi być znany. Może nawet każdego dnia udziela wywiadów w prasie i telewizji, a wszyscy mają go za starego kumpla z Solidarności. Być może ma wielu przyjaciół, którzy działali z nim w podziemiu, dzięki czemu całkowicie mu ufają bo żaden z nich tak naprawdę nic o nim nie wie. Oprócz Szczepańskiego.

–Właśnie... – Prezydent nabrał głęboko powietrza. – Sprowadźcie go tu choćby z Atlantydy. – Ponownie wstał, aby przespacerować się po gabinecie.

Chwila ciszy pozwoliła pułkownikowi zebrać myśli.

–Posyłamy do Hiszpanii grupę...

–Niczego nie chcę wiedzieć – przerwał mu prezydent. – Po prostu go tu sprowadźcie.

–Tak jest.

Krentz spodziewał się, że to zakończy rozmowę, więc powoli zaczął wstawać.

–Piotr! – Prezydent podniósł trochę głos, ale tylko na moment. – Dlaczego... ten Szczepański tyle lat milczał?

Agent nie odpowiedział od razu, wykorzystując chwilę zastanowienia na przetarcie okularów.

–Chyba się bał. To zwykły inżynier.

–Podobnie mogą się bać jeszcze inni, o których nie mamy pojęcia.

Pułkownik nic nie powiedział, tylko kiwnął głową. Widząc, że szef nie żegna się z nim, stał w bezruchu i czekał na kolejne pytanie.

–Pozdrów... jak jej tam... Ultrę – rzucił prezydent na odchodnym, wstając i podając Krentzowi dłoń.

–Dziękuję w jej imieniu. Spisała się naprawdę na medal.

Agent odetchnął z ulgą. Miał wolną rękę, a szef najwyraźniej spuścił gliniarzy z klozetem. Ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to kolejna pyskówka z grubasem.

Komisarz Witold Mostowiec wyszedł z chińskiej restauracji Chi Gon najedzony i bardzo zadowolony. „Wołowina różności w sosie o smaku smutnego błękitu” szczególnie przypadła mu do gustu, choć słodko-kwaśna zupa z pędów bambusa również była wspaniała. W drodze do samochodu rozkoszował się przyjemnymi planami na wieczór, konkretnie zaś meczem bokserskim Gwardii z Czarnymi Słupsk, na który miał pojechać już za dwie godziny. Wcześniej, niestety, musiał wrócić do domu, gdzie czekał na niego paskudny buldog angielski, który nie był na spacerze przynajmniej od ośmiu godzin, co mogło – ku przerażeniu Mostowca – zdecydowanie wyprowadzić go z równowagi. Z chwilą gdy pomyślał o psie, stanowczo przyśpieszył kroku. Paskuda (imię nadane na cześć filmowego czworonoga Brudnego Harry’ego) raczej nie należała do zwierząt wyrozumiałych i guzik ją obchodziły rozliczne zajęcia jej właściciela, nawet jeśli dzięki nim mięcho, które wcinała na obiad, było chwilowo lepszej jakości. Wisielcze spojrzenie, którym witała komisarza od kilku dni, wyraźnie zdradzało dezaprobatę, a obśliniony do granic możliwości dywan w salonie symbolizował kategoryczne żądanie natychmiastowych zmian.

Być może właśnie pośpiech, z jakim Mostowiec otwierał drzwi samochodu, spowodował, że głos, który usłyszał zza pleców, całkowicie go zaskoczył.

–Mogę pana podwieźć? – Głos był znajomy i Mostowiec rozpoznał go od razu.

Odwrócił się szybko. Porucznik Hegier stał trzy metry za nim z papierosem w ustach.

–Miał pan zadzwonić! – Komisarza wyraźnie rozdrażnił fakt, że dał się zaskoczyć, więc jego głos zabrzmiał oschle, a nawet nieprzyjemnie.

–Chce pan poznać Annę czy nie?

–Teraz?!

–Teraz albo znikamy oboje. I już nas pan tak łatwo nie znajdzie.

–Zagryzie mnie ten kundel! – warknął przez zęby Mostowiec i utkwiał rozdrażnione spojrzenie w poruczniku.

–Słucham?

–Nie, nic. Wsiadaj pan.

–Pojedziemy moim.

–A co to za różnica?

–Niech pan posłucha – rzekł spokojnie Hegier. – Albo zrobimy to po mojemu, albo w ogóle.

–No dobrze już, dobrze... – mruknął Mostowiec, rozglądając się dookoła. – Jak pan mnie tu znalazł?

–A co w tym trudnego? – Hegier wzruszył ramionami i obrócił się na pięcie.

Komisarz ruszył za nim. Dziesięć metrów dalej, po tej samej stronie ulicy, stał polonez porucznika.

–Mam do tego wsiąść? – skrzywił się policjant. – Chce pan pozbawić mnie życia?

–Wyostrzył się panu dowcip – uśmiechnął się z przekąsem Hegier, po czym wsiadł szybko do samochodu.

Mostowiec tymczasem stał wciąż na ulicy, jakby zastanawiał się nad czymś.

–Wsiada pan czy nie? – popędził go porucznik, wychylając się z okna.

Komisarz niechętnie obszedł samochód, otworzył drzwi od strony pasażera i usiadł ciężko na fotelu.

–Gdzie jedziemy? – mruknął pod nosem.

–Zobaczy pan.

–Nie traci pan nawyków – zauważył Mostowiec.

Porucznik nie zareagował na tę uwagę. Uruchomił silnik i ruszył spokojnie w kierunku Mokotowa.

–Po co ten cały cyrk? – burknął po dłuższej chwili policjant. – Nie możemy zwyczajnie pogadać?

–Już panu mówiłem – odparł spokojnie Hegier. – Jeśli coś panu nie pasuje, w każdej chwili może pan wsiąść.

Komisarz pokręcił z dezaprobatą głową.

–Mogę zadzwonić? – spytał, wyjmując telefon komórkowy.

–Nie.

–Tylko do sąsiadki. Chcę ją poprosić, żeby wyszła z moim psem!

–To nie potrwa długo, jeszcze tylko kilka przecznic.

Mostowiec schował komórkę i obrócił się w prawą stronę. Utkwił wzrok w jakimś nie istniejącym punkcie za oknem i postanowił szybko przygotować się do rozmowy z Butyrską.

–Jaka rasa? – spytał nagle Hegier.

–Co?

–Jakiej rasy ma pan psa?

–Buldog angielski.

–Wspaniale zwierzęta, ja mam owczarka niemieckiego.

–Jak pan ją przekonał? – Mostowiec zdecydował się przejść do rzeczy.

–Nie przekonywałem jej. Przekazałem zwyczajnie pańską propozycję.

–Nie zadawała żadnych pytań?

–Zadawała, ale o tym porozmawia z nią pan osobiście. To już tutaj.

Hegier skręcił w prawo w bramę kamienicy, za którą ujrzeli rząd garaży. Podjechał

do czwartego z kolei i wysiadł, aby go otworzyć. Następnie podszedł do samochodu.

–Proszę, czeka na pana w środku – rzucił do komisarza.

Mostowiec wysiadł z poloneza i wszedł do garażu. Niemal natychmiast drzwi zamknęły się za nim. Hegier zatrzasnął je z zewnątrz.

Garaż był niewielki, przeznaczony dla jednego samochodu. Pod ścianą naprzeciwko drzwi, na niewielkim krzeselku siedziała kobieta w wieku lat około trzydziestu i przyglądała się uważnie potężnej postaci komisarza. Panował półmrok, więc Mostowiec musiał poświęcić kilka sekund na to, aby jego wzrok przyzwyczał się do skąpego światła. Kobieta miała czarne, dość długie włosy i przyjemną, choć raczej surową twarz.

–Proszę, niech pan siada – zachęciła go przyjaźnie, wskazując stołek oddalony o trzy metry od swojego krzeselka.

–Pani Anna Butyrska? – spytał Mostowiec.

–Umówimy się tak: pan powie, co pan wie, a ja będę zaprzeczać, jeśli coś się nie będzie zgadzało. – Wyraz twarzy kobiety był pogodny, ale zdecydowanie poważny. W jej głosie policjant nie wyczuł wschodniego akcentu, jakiego się spodziewał.

–Używa pani nazwiska Anna Butyrska, choć kiedyś nazywała się Gordajewa. – Odczekał chwilę, mając nadzieję, że kobieta jakoś zareaguje, ale ponieważ nadal przyglądała mu się uważnie, nie reagując na jego słowa, postanowił kontynuować. – Jest pani Czechenką zamieszkałą w Polsce... niestety nie wiem od ilu lat.

–Jestem Polką i tylko raz, przez kilka miesięcy, byłam w Czeczenii. Mój ojciec jest Czechenem, ale wychowywała mnie matka, która tak jak ja jest Polką. Mieszkam tu od urodzenia.

–Rozumiem. – Mostowiec pokiwał głową. – Dlatego tak dobrze mówi pani po polsku, bez obcego akcentu...

–Słabo znam język ojca. Niech pan kontynuuje.

–Bierze pani czynny udział w przetrucaniu rodaków ojca na Zachód. Ci uchodźcy zakładają tam ośrodki informacyjne, będące czymś w rodzaju nieoficjalnych ambasad czecheńskich. Nie wiem tylko, jak to pani robi.

–O tym nie będziemy rozmawiać. Co jeszcze pan wie? – Butyrska niemal nie zmieniła wyrazu twarzy.

–Dwa lata temu przetruciała pani znanego działacza Arodajewa wraz z żoną. Akcja zakończyła się tragicznie. Zawiodły polskie służby specjalne. Podejrzewam, że agentka o pseudonimie Ultra została przekupiona przez zabójców, których wynajęły rosyjskie służby specjalne, i wystawiła Arodajewów, pozbawiając porucznika Hegiera możliwości ich obrony.

Butyrska zacisnęła dłonie, a jej wzrok stał się przenikliwy i gniewny.

–Zorganizowałam kontakt, ale nie brałam udziału w tej akcji. Agentka wywabiła porucznika z domu, w którym tej nocy ukrywali się Arodajewowie, pod pozorem obserwacji terenu. Dom wyleciał w powietrze. Nikt nie przeżył.

–Była pani jednak świadkiem – stwierdził z naciskiem Mostowiec.

–Byłam świadkiem przekazania Arodajewów porucznikowi Hegierowi i jego dowódcy, czyli agentce, o której rozmawiamy. Towarzyszyłam im przez pewien czas,

później jednak musiałam wracać. Przebieg wydarzeń tej tragicznej nocy znam tylko z relacji porucznika.

–To, czego była pani świadkiem, wystarczy mi. Chcę jednak wiedzieć, jak...

–To musi panu wystarczyć – przerwała mu Butyrska.

–W porządku. Proponuję pięćdziesiąt tysięcy.

Kobieta uniosła lekko głowę.

–To za mało. Chcemy co najmniej sto dwadzieścia.

–Za zeznania porucznika i pani?

–Tak.

–Muszę się z kimś skontaktować. Nie mogę sam podjąć takiej decyzji.

–To niech się pan skontaktuje, ale nie stąd i nie teraz. Kiedy uzyska pan aprobatę swoich zwierzchników, proszę zadzwonić do porucznika. Warunki pan zna. Nie podlegają negocjacji.

Mostowiec wyjął papierosa.

–Niech pan tu nie pali! – rzuciła zdecydowanym tonem kobieta.

Komisarz schował wolno papierosa do paczki.

–Dlaczego stawia pani tak twarde warunki? – zapytał spokojnie, ale z nutą pretensji w głosie. – Przecież nienawidzi jej pani, tak jak Hegier. A ja chcę tylko ukarać winnych.

–Mówmy szczerze – odparła mocno Butyrska. – Nie chce pan ukarać winnych, tylko zniszczyć lub przynajmniej mocno nadszarpnąć reputację agencji.

–Skąd pani może wiedzieć takie rzeczy?! – oburzył się Mostowiec.

–Nie kłóćmy się. Pan ma swoje powody, ja swoje. Pańskie mnie nie obchodzą. Potrzebuję gotówki na pewne przedsięwzięcia oraz na spłatę poprzednich. Dlatego zgodziłam się na rozmowę z panem. Albo przyjmuje pan te warunki, albo zapominamy o rozmowie.

Mostowiec przez pewien czas siedział jeszcze na stołku, drapiąc się po tysej czaszce, po czym ciężko wstał.

–Skontaktuję się z wami – rzucił oschle.

–Z porucznikiem – poprawiła go Butyrska. – Taksówka czeka na pana przy bramie.

Komisarz zapukał w drzwi garażu. Hegier niemal natychmiast mu otworzył. Mostowiec, nie żegnając się, szybko ruszył w stronę bramy.

–Wejdiesz? – rzuciła ze środka Butyrska.

Hegier upewnił się, że policjant zniknął za bramą i wszedł do blaszaka.

–Jak poszło? – spytał, nie zamykając drzwi.

–Tak jak mówiłeś, ten skurwysyn zapłaci.

Hegier westchnął głęboko, kręcąc z niedowierzaniem głową.

–Jedźmy stąd.

Adam był głodny i chciało mu się spać. Wygodny fotel zachęcał do krótkiej przynajmniej drzemki. I tak przez okna samochodu nic nie było widać. Van miał silnie przyciemniane szyby, które od środka były po prostu lustrami. Nie wiedział, dokąd jadą ani którędy. Wiedział tylko, z kim mają się spotkać. Naprzeciwko niego Ultra

rozmawiała cicho z jakimś mężczyzną którego Kniewicz nigdy przedtem nie widział, i mówiąc szczerze, był na tyle zmęczony, że guzik go obchodził temat dyskusji. Wciąż pobolewała go rana, choć musiał przyznać, że moc uzdrawiania Janti zrobiła swoje. Poprawił się na fotelu. Silnik pracował cicho i miarowo, co pozwalało przypuszczać, że jeszcze nie dojechali do miasta. Po raz pierwszy od wielu dni czuł chwilowy przynajmniej spokój. Marta żyła i to było najważniejsze. Teraz musiał wydostać ją z rąk Christa. Wierzył, że ten nie zabije dziewczyny. Nie miało to sensu. Oni również widzieli jego twarz, a jako świadek Marta nie mogła mu zaszkodzić. Samochód zatrzymał się na chwilę, po czym znowu ruszył. Być może wjechali już do Warszawy. Adam przymknął oczy.

–Nie ma sensu, za parę minut dojedziemy – mruknęła w jego stronę Ultra. – Dlaczego wcześniej nie spałeś?

Adam nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się do niej nieznacznie, zamknął oczy i próbował medytować. Dziewczyna i jej partner co chwila spoglądali na niego, jakby pilnowali, żeby nie wyparował. Jego myśli jednak łagodnie przepływały przez mózg, jak gdyby już całkowicie przyzwyczyił się do całej tej sytuacji. Postanowił wyrównać oddech, skupić się i trochę „odpłynąć”. Poczł przyjemne rozluźnienie i spokój. Ultra chyba jeszcze coś do niego mówiła, ale nie zwracał na to uwagi. Potrzebował spokoju. Samochód coraz częściej się zatrzymywał i ruszał, ale był tak dobrze wyciszony, że do Kniewicza właściwie nie docierał szum ulicy. Pomyślał ni z tego, ni z owego o seksie. Wyobraził sobie piersi Marty, jej pośladki, brzuch. Płynął myślami po jej ciele i uśmiechał się do siebie. Nie widział dziewczyny od trzech tygodni, a wydawało mu się, że minęło przynajmniej pół roku. Samochód znów zwolnił, ale teraz po to, żeby łagodnie skrócić w prawo. Jechał przez pewien czas wolno, jakby slalomem, aż wreszcie się zatrzymał. Silnik umilkł. Minęło jakieś trzydzieści sekund, nim drzwi vana otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna w ciemnym garniturze oraz ciemnych okularach, co było o tyle śmieszne, że dookoła panował półmrok.

–Zapraszamy – rzekł spokojnie.

Adam wciąż miał przymrużone oczy, ale dobrze widział elegancika. Otworzył szerzej powieki i leniwie wstał z fotela. Odruchowo otrzepał spodnie i obciągnął pulower. Całe ubranie dostał od Janti, wskutek czego wśród ciemnych garniturów otaczających ich mężczyzn i zgnięzionego „moro” Ultry wyglądał jak reklama mąki pszennej z Szymanowa. Spodnie oczywiście były białe, ale na szczęście Janti w ostatniej chwili zlitowała się i znalazła jasnoniebieski – o zgrozo! – pulower. Mężczyzna w ciemnych okularach poprowadził wszystkich dość mrocznym korytarzem aż do windy, w której wreszcie zrobiło się jasno. Ultra przestała plotkować z kolegą, co pozwoliło Adamowi rzucić jej pytające spojrzenie. Uśmiechnęła się do niego ciepło i lekko skinęła głową jakby chciała powiedzieć „już niedaleko”. Winda zjechała kilka pięter, po czym otworzyła widok na długi, tym razem bardzo jasny korytarz o dość futurystycznym wyglądzie. Ściany i niemal przezroczysta podłoga sprawiały wrażenie mytych co godzinę. Kniewicz wyszedł za elegancikiem i postawił ostrożnie kilka kroków, ale podłoga wbrew pozorom nie była śliska. Obejrzał się do tyłu, w stronę Ultry, ale ta znowu była zajęta kolegą szła

korytarzem, niemal nie patrząc przed siebie. Widać było, że zna drogę na pamięć, a całe otoczenie traktuje jak własny przedpokój. Po dwóch zakrętach w prawo cała grupa dotarła do drzwi. Otworzył je oczywiście elegancik, wpuszczając do środka Ultrę i Adama. Reszta została na korytarzu. Dziewczyna, nieco jeszcze zaaferowana rozmową jakby z roztargnieniem przywitała się z gospodarzem gabinetu, który wyszedł zza biurka, aby podać im rękę.

–Siadajcie – mruknął cicho i wskazał miejsce na kanapie.

Miał około pięćdziesięciu lat, był krótko ostrzyżony, a idealnie skrojony ciemny garnitur leżał na nim tak, jakby się w nim urodził. Przyciemniane okulary nie pozwalały dokładnie przyjrzeć się jego oczom, ale cała postać robiła wrażenie skupionej i doskonale opanowanej. Miał niski, spokojny głos. Adam pomyślał z rozbawieniem, że mógłby zatrudnić go w telewizji do „czytania” amerykańskich filmów sensacyjnych. Dwa metry od biurka siedział wygodnie w fotelu inny mężczyzna, wyglądający na rówieśnika gospodarza, tyle że trochę wyższy, bardziej opalony i bez okularów.

–Jestem pułkownik Piotr Krentz, a to mój zastępca, major Krzysztof Bauer – oznajmił zwięźle ten w okularach i usiadł za biurkiem.

–Coś do picia? Kieliszek wina, może piwo? – spytał Bauer.

–Coś do jedzenia. I szklankę wody – odparł bez namysłu dziennikarz.

Major uśmiechnął się życzliwie i podszedł do telefonu.

–Aniu! – rzucił cicho do słuchawki. – Zrób kilka kanapek i chodź tutaj.

Ultra również się uśmiechnęła, podziwiając szczerze zupełny brak respektu Kniewicza dla jej dowódców. Adam usiadł na kanapie, jakby wpadł tu na wywiad.

Bauer podszedł tymczasem do automatu z wodą, aby nappełnić szklankę.

–To, co pan tutaj usłyszy – zaczął, podając wodę dziennikarzowi – jest ściśle tajne. Nie będzie panu wolno o tym z nikim rozmawiać. Kiedy to wszystko się skończy, pułkownika Krentza pan nie zna, mnie pan nie zna, Ultry też pan nie zna. A to jest klauzula poufności. – Major podał Kniewiczowi kartkę. – Proszę podpisać. Czytelnie.

Adam szybko złożył podpis pod dokumentem i spojrzał pytająco na pułkownika.

Krentz wyszedł ponownie zza biurka, podsunął sobie stojące w pobliżu krzesło i usiadł blisko Ultry i Adama.

–Wiemy, że chce pan wiedzieć, kim naprawdę jesteśmy, ale nie możemy tego panu zdradzić. I tak wie pan za dużo. To po prostu niebezpieczne. Pan się na tym nie zna. Musi panu wystarczyć wiadomość, że w tej chwili jesteśmy po to, aby chronić takich facetów jak pan i zapobiegać kolejnym zbrodniom.

–Od tego chyba jest policja? – odparł Adam.

–To nie były zwykłe zabójstwa rabunkowe czy akty zemsty. To polityka, i to z tej najwyższej półki. Ale o tym przecież pan wie.

–Tak tylko pytałem – rzucił Kniewicz, pociągając kolejny łyk ze szklanki.

Pułkownikowi od razu spodobał się dziennikarz, więc postanowił nie strofować go za te małe docinki. Chłopak był wyczerpany nerwowo i chyba powoli zaczynał mieć już dość całego tego zamieszania.

–Wie pan, że pańscy rodzice są bezpieczni?

–Tak.

–Na razie nie możemy zorganizować spotkania, ale już niedługo.

–Dziękuję.

Pułkownik sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów.

–Przykro mi, że to wszystko pana spotkało, ale przyznam szczerze, że ikry panu nie brak.

Adam obrócił się do Ultry, usiłując odgadnąć, co mogła nagadać Krentzowi. Do gabinetu weszła tymczasem sekretarka i położyła talerz z kanapkami na małym stolczku obok kanapy.

–To, co mówił Krzysztof – ciągnął Krentz, żegnając wzrokiem sekretarkę – jest bardzo ważne. Jeśli mamy być skuteczni, musimy działać całkowicie tajnie. Nie odkryłem chyba przed panem Ameryki?

–A jesteście naprawdę skuteczni?

–Jesteśmy, może mi pan wierzyć. – Pułkownik miał w tym momencie tak poważną minę, że Adam postanowił wstrzymać się od jakichkolwiek żartów na ten temat.

–Co robimy dalej? – spytał Kniewicz po chwili milczenia.

Krentz westchnął, przyglądając się uważnie dziennikarzowi.

–Nie za bardzo podoba mi się pomysł pańskiego wyjazdu do Hiszpanii po Szczepańskiego.

–Nie mam wyjścia – odparł Adam.

–Ten cały Christo to nie nadczłowiek. Nie widzi przez ściany i nie może o wszystkim wiedzieć. Moglibyśmy ukryć pańską nieobecność, no ale cóż... jest pan dorosły. Nie mogę pana aresztować.

–Chcę tam tylko pojechać, odnaleźć faceta, zdobyć odpowiednie dowody i nagłośnić sprawę w mediach. Jeśli będziecie mnie osłaniać, zrobię to szybciej i bezpieczniej. Jeśli nie, będę musiał załatwić sprawę sam.

–Naoglądał się pan za dużo filmów, ale cóż... Moi współpracownicy uważają, że będzie pan bezpieczniejszy wśród moich ludzi, niż działając na własną rękę. – Przerwał na chwilę, aby zebrać myśli. – Zakładam, że to, co napisano w kopercie, którą pan nam dał, jest prawdą i Szczepański rzeczywiście przebywa w Hiszpanii. Człowiek, który ma pańską dziewczynę, ma też bez wątpienia duży kłopot i nie widzę powodów, dla których miałby wprowadzać nas w błąd. Jedno tylko mnie niepokoi...

–Skąd on to wie – wtrącił Adam.

–Właśnie. Ale tym zajmiemy się później. A jeśli chodzi o pana, mam nadzieję, że wie pan, co robi. Teraz ma pan ostatnią szansę, żeby się wycofać. Możemy pana dobrze ukryć i zapewnić całkowite bezpieczeństwo. My naprawdę dobrze się na tym znamy.

–Wiem, ale z całym szacunkiem, nie zaryzykuję. Chcę to doprowadzić do końca.

–Jak pan sobie życzy. Jedzie pan na własną odpowiedzialność. Pomożemy panu, ale pod jednym warunkiem.

–Tak?

–Kiedy zacznie pan mówić o tym w telewizji, zeznawać i tak dalej, ani słowa o nas.

Mówi pan tylko o Zygzaku, o polityce i całej aferze, najlepiej po uzgodnieniu z nami szczegółów. Ale nas, jak już mówiłem, nigdy pan nie znał. Nas po prostu nie ma.

Kniewicz pochłonął kolejną kanapkę, wstał z kanapy i przeszedł się wolno po pokoju.

–Zgoda – rzekł po chwili.

–Z pewnością jesteście zmęczeni. My zajmiemy się szczegółami. Dzisiaj przenocuje pan tutaj, dwa piętra wyżej. Chyba że ma pan coś przeciwko temu?

–Nie, oczywiście, że nie – odparł Adam.

–Powodzenia. – Krentz uśmiechnął się, podając rękę Kniewiczowi. – Był pan kiedyś na polowaniu? – spytał nagle, nie puszczając dłoni dziennikarza.

–Nie.

–Zranione zwierzę jest znacznie groźniejsze niż zdrowe, któremu nic nie grozi.

–Podobno tak.

–Niech pan o tym pamięta.

Marta Karska budziła się wolno i mówiąc szczerze, wcale nie była pewna, czy ma już ochotę wstać. Właściwie nie było po co się śpieszyć. Czekał ją kolejny nudny dzień w tej opustoszałej ruderze pośrodku lasu, a nic nie zapowiadało, aby w najbliższym czasie coś miało się zmienić. Znowu zjedzą śniadanie, pograją trochę w szachy lub w go, pooglądają telewizję i dzień się skończy. Już od dobrych kilku minut słyszała kroki na górze, ale chyba nigdy się nie zdarzyło, aby to ona obudziła się pierwsza. Paweł sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie spał, ale nigdy też nie wyglądał na zmęczonego albo wyczerpanego. Myśl o znajomości z prawdziwym agentem ekscytowała Martę, co owocowało licznymi próbami poznania jego życia, zwykle zresztą skazanymi na niepowodzenie. Była niemal pewna, że Paweł to nie jest jego prawdziwe imię, a o nazwisko właściwie nie było co pytać. Wiadomości w tym wypadku należało zbierać podstępnie. Na przykład, pytając najpierw o ulubiony film, książkę, najciekawsze wakacje, później o przyjaciół, jeszcze później o poglądy... i tak dalej. Oczywiście, nigdy żadnej sensownej odpowiedzi nie otrzymała, ale zabawa była przednia. Może to trochę dziecinada, ale co jej pozostało? Trochę śmieszyło ją że Paweł jest niższy od niej, ale właściwie jakie to mogło mieć znaczenie? Był z pewnością zwinny jak lampart i piekielnie inteligentny. Marta roześmiała się zbyt głośno, więc schowała nos w poduszkę, żeby jej nie usłyszał. Trzeba przyznać, że był aż nadto opiekuńczy i pilnował jej tak, jakby była dzieckiem. Najbardziej jednak dokuczało jej to, że nie mogła nigdzie wychodzić. Od czasu do czasu przechadzała się tylko przed leśniczówką – i to wszystko.

Kiedy Paweł wyjeżdżał, zamykał ją na dole od zewnątrz i usilnie prosił, aby zachowywała się jak najciszej, a już broń Boże nie dawała znać o sobie, gdyby przyszedł ktoś obcy. Mogło to być śmiertelnie niebezpieczne i nie trzeba było tego Marcie dwa razy powtarzać. Zresztą nawet gdyby chciała uciec, nic by z tego nie wyszło, bo ściany, sufit i drzwi podziemia zbudowane były z solidnych, grubych bali. Paweł codziennie przywoził Marcie świeżą prasę, co upewniało ją w tym, że większość tego, co mówi, jest niestety prawdą. To było jak czarny sen: śmierć Doroty, wybuch w mieszkaniu Adama, śmierć Ryśka Snopczyka, a wszystko przez tę

cholerną teczkę.

Starła się nie myśleć o Dorocie. Mimo wszystko zaskoczyło ją to, co próbowała zrobić. Trudno było jej ukryć myśl, że właściwie w pewnym momencie całkiem zapomniała o siostrze i, co dziwne, Dorota przestała ją obchodzić. Kiedy zadzwoniła po latach... tak, to chyba było ekscytujące. Gdyby nie ciekawość, pewnie by się z nią nie spotkała. Dorota była tak miła, serdeczna i jednocześnie jakby przestraszona, że naprawdę wzruszyła Martę. Oczywiście, nie przeszkadzało jej to narazić siostry na śmierć. No cóż, pani na łacinie wielokrotnie powtarzała: „Najbardziej lękajcie się Greków, kiedy przynoszą wam dary...” Lata spędzone w sierocińcu nauczyły Martę rezerwy do siostry i braku zaufania do większości ludzi. Takie życie. Trzeba przyznać, Dorota zawsze była pieprzoną kurwą ale chyba nie zasługiwała na śmierć z ręki zawodowego mordercy. Szkoda tylko, że jak mówi Paweł, ten sam morderca chce zabić również ją.

Na parterze Christo kroił kielbasę w plasterki i sypał na patelnię. Suchy żółty ser był już starty, więc pozostawały jeszcze tylko cebula, pomidory i papryka. Uwielbiał gotować i nie lubił, gdy ktoś gotował jemu. Może zawodowe uprzedzenie? Trudno powiedzieć, w każdym razie był autorem dziesiątek wymyślnych przepisów. Każde z dań otrzymywało nową nazwę, którą z podziwu godną dokładnością zapamiętywał raz na zawsze. „Krojona kielbasa w sosie pełnym niepokoju” właśnie się dosmażała, kiedy Marta pojawiła się w drzwiach.

–Cześć, Paweł.

–Dzień dobry – rzucił Christo z uśmiechem.

Marta szybko podbiegła do patelni, a on cierpliwie czekał na ocenę.

–Pachnie super – zawyrokowała dziewczyna.

–To „Krojona kielbasa w sosie pełnym niepokoju”. – Uśmiechnął się ponownie. – Taka Krwawa Mary do jedzenia. Ostra potrawa pobudzająca podniebienie.

–Hmm – mruknęła tajemniczo, po czym ruszyła do łazienki, wciąż jednak łowiąc smakowite zapachy.

Christo wyjął z szafki dwa talerze i wytarł je pedantycznie. Kiedy rozkładał sztucce, zaczął dzwonić telefon komórkowy. Wiedział, kto dzwoni, bo tylko jedna osoba miała ten numer.

–Tak, słucham – powiedział spokojnie, zdejmując patelnię z gazu.

–Wszystko załatwione?

–Tak. Powiedziałem naszym przyjaciółom, dokąd mają jechać.

–Co z dziewczyną?

–W porządku, jest w dość dobrym nastroju.

–Pytam o jej bezpieczeństwo, a nie o nastrój.

–Panuję nad sytuacją. Czy nasza umowa jest aktualna?

–Oczywiście, ale jeśli dziewczyna złamie choćby paznokieć, możesz zacząć szukać wygodnej trumny.

Christo wciągnął trochę głębiej powietrze, ale niezauważalnie dla rozmówcy.

–Jak zwykle jesteś pełen uroku – mruknął zimno.

–Nie jesteś tym dobrym chłopcem, Christo... – odpowiedział głos pogodnie, ale z

pewną rezerwą.

–Czy są szanse na jakieś gwarancje? – spytał pojednawczo Belg.

–Czy ja cię kiedyś oszukałem? Nigdy. Natomiast ty mnie...

–Raz.

–To był ważny „raz”. Zresztą w tej chwili to mniej istotne. Postępuję z tobą uczciwie. Agentka i dziennikarz lada chwila jadą po teczkę i inżyniera, a Zygzaka załatwię natychmiast po akcji.

–Po cholereę ciągniesz tam tego dziennikarza?

–Jest mi potrzebny. Poza tym to jedyny człowiek, któremu mogę całkowicie zaufać. Myślę, że agentka też jest czysta, ale wolę być ostrożny. Zresztą będę o krok za nimi, nic im się nie stanie.

–Jest dobra.

–Wiem. Bardzo dobrze, że to kobieta. Pamiętasz Grace?

–Stare, dobre czasy. – Christo się uśmiechnął. – Ona była najlepsza z nas wszystkich.

–To prawda. Była najlepsza z nas wszystkich...

Do pokoju weszła Marta, wycierając wciąż jeszcze mokre włosy.

–Muszę kończyć – rzucił Christo.

–Czekaj na kontakt – odpowiedział głos.

–Będę czekał. – Christo odłożył telefon.

Marta usiadła przy stole gotowa do jedzenia.

–Kto dzwonił? – spytała, obserwując, jak Christo nakłada śniadanie na jej talerz.

–Dawny przyjaciel.

–To musi być dobry przyjaciel, skoro ma twój numer...

–Pomaga nam. Kiedyś... pracowaliśmy razem.

Kiedy podporucznik Kamil Koziejuk zapukał do drzwi gabinetu Piotra Krentza, zarówno pułkownik, jak i major Krzysztof Bauer spodziewali się, o co może chodzić. Przerwali więc na moment naradę i wpuścili natychmiast podporucznika.

Koziejuk wyprężył się w drzwiach jak struna i zameldował:

–Panie pułkowniku, panie majorze, na górze oczekuje na spotkanie pan podinspektor Skrobek w towarzystwie dwóch panów.

–W porządku. Sprawdź, czy obu tym panom wolno przebywać na terenie agencji – rzekł Krentz.

–Już to zrobiłem, panie pułkowniku. Pan komisarz Wojciul jest na liście, natomiast pan komisarz Witold Mostowiec nie ma niestety stosownego pozwolenia.

–Mostowiec... – mruknął pod nosem Krentz. – W porządku, wpuść wszystkich. Za chwilę podpiszę przepustkę.

–Dokąd zaprowadzić gości?

–Załatwisz to? – spytał Krentz zmęczonym głosem Bauera.

–Jasne, przejrzyj papiery, które ci dałem.

Major odwrócił się w stronę podporucznika.

–Zaprowadź ich do mojego gabinetu.

–Tak jest. – Koziejuk zniknął za drzwiami.

Bauer westchnął ciężko i wstał z kanapy.

–Uważaj – ostrzegł Krentz.

–Zawsze uważam – uspokoił go major i wyszedł.

Pokonał kilka metrów korytarzem i wkroczył do swojego pokoju. Usiadł spokojnie za biurkiem, otworzył szufladę i wyjął z niej odpowiednią teczkę. Rozsznurował ją przejrzał raz jeszcze dokumenty i z powrotem zamknął. Na pukanie do drzwi czekał nie dłużej niż minutę.

–Proszę! – powiedział głośno.

–Pan podinspektor Skrobek, pan komisarz Mostowiec oraz pan komisarz Wojciul – zameldował Koziejuk.

–Wprowadź panów.

Skrobek swoim zwyczajem wtoczył się zamasyście do gabinetu i nie pytając nikogo o zgodę, rozsiadł się na kanapie. W rękę dzierżył nieodłączną chusteczkę, którą ocierał spocone czoło. Mostowiec i Wojciul, nieco zdezorientowani, stali trzy metry od biurka, nie wiedząc właściwie, jak się zachować.

Bauer wstał i podszedł do kanapy, aby przywitać się z gośćmi. Skrobek niechętnie się podniósł, żeby podać mu rękę. Obaj jego podwładni, zadowoleni, że formalnościom stało się zadość, spoczęli po bokach podinspektora.

–Czekamy na pułkownika Krentza? – spytał oschle Skrobek.

–Niestety, w tej chwili jest bardzo zajęty, ja panów wysłucham – odparł uprzejmie major.

–Sprawa jest najwyższej wagi – naciskał podinspektor.

–Mogę panów zapewnić, że otrzymałem od pułkownika wszelkie pełnomocnictwa, które pozwolą mi w razie potrzeby podjąć odpowiednie decyzje.

Skrobek wytarł czoło chusteczką.

–Jak chcecie. Przejdę od razu do rzeczy. To, jak wyglądała nasza współpraca przy sprawie, nad którą wszyscy pracujemy, było dla nas nie do przyjęcia.

–Nie rozumiem, podinspektorze. Przecież dopiero co odbyliśmy spotkanie robocze.

–Za późno, majorze. Dużo za późno. W dodatku narada, o której pan mówi, została wymuszona przez premiera. Obaj wiemy, że ukrywacie przed nami informacje i dane, które bardzo pomogłyby nam w pracy.

Bauer potarł ręką czoło, starając się zachować cierpliwość.

–Drodzy panowie. Ile już razy wyjaśnialiśmy sobie, że nasza agencja jest instytucją całkowicie niezależną od Policji Państwowej? My zajmujemy się swoimi sprawami, wy swoimi. Nie wchodzimy sobie w drogę, a kiedy obie strony stwierdzają że konieczna jest współpraca, wtedy do niej dochodzi.

–Nie mam zamiaru kolejny raz wysłuchiwać tych bredni! – warknął opryskliwie Skrobek. – Przyszliśmy załatwić sprawę raz na zawsze!

–I otrzymać laury za innych? – nie wytrzymał Bauer. – Podszywać się pod cudze sukcesy i zbierać za darmo punkty?

Podinspektor wpił w majora spojrzenie pełne pasji i dezaprobaty.

–Dorównuje pan arogancją swojemu szefowi, więc pora chyba na chwilę

szczerości.

–Zamieniam się w słuch.

–Witold! – rzucił do Mostowca. – Daj panu materiały.

Komisarz wstał i położył na biurku Bauera zieloną teczkę.

Major otworzył ją i przejrzał szybko dokumenty.

–To materiały dotyczące sprawy Arodajewa, którą prowadziliście dwa lata temu.

Konkretnie agent Hegier i agentka Ultra.

–Wiem, co to za sprawa – odparł spokojnie Bauer.

–Oczywiście, że pan wie. Bo była to jedna z najbardziej kompromitujących wpadek naszych służb specjalnych! – wybuchnął Skrobek.

–Niech pan się nie bawi w szpiega, podinspektorze – ostrzegł lodowatym tonem major. – Nie nadaje się pan do tego. Kopie pan dołek pod sobą.

Skrobek, zamiast wybuchnąć, niespodziewanie roześmiał się głośno.

–Przejrzyj to sobie, wodzu – syknął złośliwie. – A jak już przejrzysz, to spytaj się grzecznie, co chcemy z tym zrobić.

–Znam te materiały – powtórzył spokojnie Bauer. – Czego pan teraz oczekuje?

–Jeśli ta sprawa ujrzy światło dzienne, nie wywiniecie się. A jeśli jeszcze udowodnimy, że wasza agentka dała się przekupić, przez co wzięła czynny udział w zamordowaniu znanych działaczy wolnościowych, i to pochodzących z zagranicy... – Skrobek zawiesił na chwilę głos – nie wyjdziecie z pudła.

Mostowiec milczał jak grób, ale słuchał nabożnie szefa, czując, jak rośnie w nim duma z własnego dzieła. Wojciul drżał z przejęcia, czekając, aż Bauer pęknie i zacznie im jeść z ręki.

–Czego sobie, panowie, w związku z tym życzy? – spytał major.

–Nie chcemy skandalu – odparł szybko podinspektor. – Ale nie popuścimy wam. Po pierwsze, od dzisiaj chcemy mieć pełny dostęp do waszych akt, planów akcji i środków technicznych. Jak to rozwiążecie, to już wasza sprawa. Ja chcę mieć każdego dnia na biurku raport, a nasz drogi pułkownik ma codziennie o dziewiątej dzwonić i grzecznie się pytać, czy nie chcielibyśmy wziąć udziału w organizowanym akurat przez was przedsięwzięciu.

–Pan zwariował! – Bauer pokręcił głową z niedowierzaniem. – Przecież to są tajne akta, udostępnianie ich, nawet wam, jest przestępstwem. Niby jak mamy to zorganizować?

–To już mnie nie obchodzi. Wybierajcie: to – tu Skrobek rozłożył ręce, po czym wskazał na teczkę leżącą na biurku majora – albo to.

–To wszystko?

–Nie. Ultra ma się jutro podać do dymisji.

–Widzę, że idzie pan na całość.

–Takie życie, wodzu. Wybieraj albo leć na ratunek do swojego pułkownika.

–Jak to wszystko udowodnicie? – spytał major, niedbale przeglądając materiały zgromadzone przez Mostowca.

–Mamy wasze dokumenty z akcji oraz zeznanie świadków. Na początek wystarczy.

–Widzę tu tylko notatki. Nikt nie podpisał zeznań – zauważył Bauer.

–Kiedy przyjdzie czas, złożą zeznania pod przysięgą.

–Ach tak... – Major uniósł słuchawkę i nacisnął niebieski przycisk.

–Gdzie pan dzwoni? – zainteresował się Skrobek.

–Po kogoś, kto pomoże nam w rozmowie. Przepraszam. – Bauer uniósł rękę,

prosząc o chwilę ciszy, po czym rzekł spokojnie do telefonu: – Przyślij mi tu Emilię i Sławka. Tak... Do gabinetu. – Odłożył słuchawkę i ponownie zwrócił się do gości: – Na czym to skończyliśmy?

–Mamy dwójkę świadków – kontynuował Skrobek. – Bezpośrednich świadków tych wydarzeń. Oboje zeznają co trzeba, może być pan tego pewien.

–Dwójka świadków – powtórzył jak echo Bauer.

Rozległo się pukanie, po czym do gabinetu weszła trzydziestoletnia, ciemnowłosa kobieta w towarzystwie wysokiego blondyna.

–Podobni trochę do tych? – spytał niedbale major.

Na ich widok Skrobkowi wypadła chusteczka z ręki.

–Porucznika zna pan chyba ze zdjęć, podinspektorze? – kontynuował Bauer.

–Co to ma znaczyć?! – Zdezorientowany Skrobek wbił wzrok w przerażonego Mostowca.

Komisarz próbować opanować zaskoczenie.

–Hegier? Pani Butyrska? – spytał, nedorzecznie machając rękami. – Przywrócono pana do służby?!

–Nie wiem, o czym pan mówi – odparł trzeźwo Hegier. – Nigdy mnie nie zwalniano.

–Jak to? Przecież mówił pan...

–Nie przypominam sobie, żebym z panem rozmawiał. Może to ktoś podobny?

Majorze – zwrócił się do Bauera – możemy się odmeldować?

–Oczywiście.

Gdy oboje zniknęli za drzwiami, Mostowiec nie dawał za wygraną.

–Dlaczego on kłamie?! – wybuchnął. – Mam dokumenty, w których stoi czarne na białym, że wydalono go dwa lata temu!

–Dość tego! – wrzasnął poczerwieniały ze złości Skrobek. – To na pewno oni?!

–Tak – jęknął Mostowiec.

Wojciul skulił się tylko na kanapie, pragnąc jak najszybciej uciec.

–To nie koniec! – wrzeszczał Skrobek. – To, że przekupił pan Hegiera i Butyrską, na niewiele wam się zda. Odpowiedcie za to wszystko!

–Widzę, że pan nie rozumie. – Bauer pokręcił głową. – Nie ma pan żadnych papierów.

–A to co to jest?! – Podinspektor wskazał palcem teczkę na biurku.

–To jest lipa, którą dwa lata temu spreparowaliśmy dla Rosjan goniących Arodajewów.

–Spreparowaliście dokumenty?! – Skrobek otworzył szeroko usta i niestety przez pewien czas miał trudności z ich zamknięciem.

–Od początku do końca. Sprawa była zbyt poważna, aby coś mogło się nie udać.

–Przecież Arodajewów zamordowano!

–Nie, panie podinspektorze. To my upozorowaliśmy śmierć tych Czeczenów, aby mogli bezpiecznie dotrzeć do Niemiec. Ultra, na mój rozkaz, rzeczywiście dała się „przekupić” trójce likwidatorów wysłanych przez rosyjskie służby specjalne, uprzednio zręcznie ukrywszy Arodajewów. O tym, jak dokładnie to wyglądało z technicznego punktu widzenia, nie możemy wam powiedzieć. Tamci wysadzili w powietrze kryjówkę i zameldowali swoim, że akcja się udała.

–Rosjanie to kupili? – bąknął Mostowiec.

–Na pewien czas, tak. Kiedy byliśmy pewni, że mordercy zameldowali co trzeba, udało nam się ich zlikwidować.

Skrobek ukrył twarz w dłoniach, nadal nie wierząc, że tak dał się podejść.

–Gdzie są teraz Arodajewowie? – spytał nieśmiało milcząco do tej pory Wojciul.

–W Stanach Zjednoczonych. Ich miejsce pobytu okryte jest oczywiście tajemnicą ale mamy z nimi kontakt.

–Podrzuciliście Rosjanom raporty z tej teczki, tak jak teraz nam? – pytał już spokojniej Mostowiec.

–Tak. To dało nam sporo czasu. Ale oni nie szukali ani Hegiera, ani wymyślonej przez nas Anny Butyrskiej. Jednak gdyby szukali, podobnie jak wy, znaleźliby.

–Ty sukinsynu! – nie wytrzymał Skrobek.

–Mówiłem już panu, podinspektorze, niech pan się nie bawi w szpiega. To nie pańska działka.

–Oszukaliście funkcjonariuszy Policji Państwowej! Jesteście z tego dumni?!

–Nie, panie podinspektorze. My tylko pozwoliliśmy wam znaleźć dokumenty, które tak bardzo chcieliście znaleźć. Reszta to... no cóż. Potraktujmy to jak wspólne ćwiczenia.

–Po co to wszystko?! – jęknął załamany Skrobek.

–Mnie pan pyta? – Bauer był naprawdę zaskoczony. – Niech pan spojrzy na siebie. Od miesięcy szukacie czegokolwiek, co mogłoby podważyć naszą wiarygodność w oczach prezydenta. A kiedy już to znajdujecie, urządzacie amatorskie kilkudniowe śledztwo, po czym przychodzicie tu i próbujecie nas szantażować, a nawet nakłaniać do przestępstwa. Posunęliście się do tego, że waszym „świadkom” chcieliście zapłacić z kieszeni podatników sto dwadzieścia tysięcy za zeznania. I mnie pan pyta, po co to wszystko?!

–Czego pan chce za to, żeby to pozostało w tych czterech ścianach? – mruknął cicho Skrobek, nie patrząc na majora.

–Niczego – odparł Bauer. – Dajcie nam działać i zajmijcie się wreszcie swoimi sprawami.

–Jak szlachetnie – syknął z przekąsem podinspektor. – Idziemy! – rzucił do Mostowca i Wojciula.

Chyba jeszcze nigdy tak szybko nie podniósł się z kanapy i nie zniknął za drzwiami bez słowa pożegnania. Obaj komisarze wyszli w milczeniu tuż za nim. Na korytarzu przejął ich podporucznik Koziejuk, aby odprowadzić do wyjścia.

Bauer rozparł się w fotelu, po czym westchnął głęboko.

Chwilę później drzwi się otworzyły i wszedł Krentz.

–Po wszystkim? – spytał krótko.

–Tak.

–Nie róbmy tego więcej – rzekł pułkownik, opadając ciężko na kanapę.

–Nie daliby nam spokoju, Piotr. Trzeba było.

–No dobra, nie zajmujmy się tym teraz. Najważniejsza jest akcja. Jada?

–Jadą.

–Bez kłopotów?

–Bez.

–No, to idę na obiad. Melduj o wszystkim.

–Jasne.

–Albo wiesz co? Za chwilę. Każ nam zrobić kawy. Napijemy się.

ROZDZIAŁ 9

Granatowy, czyściutki, jakby dopiero co opuścił fabrykę, ford transit powoli wyjeżdżał z Barcelony. Przedmieścia metropolii nie były już tak urokliwe jak centrum i przypominały zwykle osiedla mieszkaniowe. Gdziekolwiek widać było nawet wysokie bloki, brzydkie jak nieszczęście, ale za to pięknie usytuowane na pagórkowatym terenie.

Turyści zwykle spodziewają się po przedmieściach pięknych willi otoczonych śródziemnomorskimi ogrodami, ale w tej części miasta spotyka ich raczej rozczarowanie. Ociekające bogactwem posiadłości, rzadko dostępne dla turystów, rozciągają się niżej, nad samym wybrzeżem, i nie da się ukryć – znacznie bardziej na południe.

Mimo to z reguły nie widać tu biedy i ciężko byłoby znaleźć w tych okolicach prawdziwe slumsy.

Barcelona jest stolicą najbogatszej prowincji Hiszpanii, choć Katalończycy wolą swoje ziemie nazywać „krajem historycznym” lub – mniej pretensjonalnie – regionem autonomicznym. Autonomię tę wywalczyli ostatecznie po obaleniu Franco, mimo że przez wiele stuleci zaznaczali swoją obecność we wschodniej części Półwyspu Iberyjskiego, ciesząc się pewnymi przywilejami już w dwunastym wieku. Wciąż jednak byli obiektem zazdrości sąsiednich ludów, a ich bogactwo kłuło w oczy wrogich wodzów jeszcze za czasów unii z Aragonią.

Katalończycy mają dobrą pamięć, co pozwoliło im zachować przez wieki chłodną rezerwę wobec tak zwanych rdzennych Hiszpanów. Niejednokrotnie nawet darzyli większą sympatią Francuzów.

Miasto zniknęło ostatecznie z horyzontu i samochód nabrał szybkości. Autostrada miała wspaniałą nawierzchnię, była szeroka i bezpieczna. Nie czuło się tłoku, co jeszcze bardziej umilało podróż.

Adam zamknął oczy i pozwolił słońcu przyjemnie ogrzewać twarz przez szybę.
–Kiedy dotrzemy w okolice wybrzeża, zjedź z autostrady, zjemy coś – mruknęła Ultra do Grubego.

–Daleko jeszcze?

–Do Denii parę godzin. Nie dojeżdżaj do Tarragony – odparła dziewczyna, nie odrywając wzroku od mapy. – Przystojniak, schowaj sploty.

–Tak jest. – Przystojniak zanurkował pod siedzenie i przez chwilę mocował się z zamkiem schowka.

Kniewicz zauważył, że co pewien czas mijali rozstawione na poboczach wielkie tekturowo-metalowe byki. Wszystkie były właściwie takie same, doszedł więc do wniosku, że to pewnie reklama jakiegoś narodowego wina bądź korridy.

–Tu jest zjazd – rzucił Gruby w stronę Ultry, która siedziała obok niego na prawym fotelu.

–Chyba... Taaa... Tamarit. Widzę, zjeżdżaj.

Kierowca zwolnił, by skręcić w prawo.

–Dlaczego nie zjemy po prostu przy autostradzie? – spytał Przystojniak.

–Nie znoszę tego zakurzonego żarcia. Byłeś kiedyś w prawdziwej hiszpańskiej

tawernie? – dociekała Ultra.

Agent nie odpowiedział, ale uważnie obserwował, jak zatrzymują się przed wejściem przypominającym wjazd do garażu. Gruby wyskoczył z samochodu, żeby obejrzyć knajpę. Poruszał się zwinnie i lekko, jakby zupełnie nie przeszkadzało mu jego sto dwadzieścia kilogramów. Nie minęły dwie minuty, kiedy wrócił.

–Fajnie. – Uśmiechnął się, zwieszając zawadiacko głowę przez opuszczoną szybę.

–Adam, znasz angielski? – spytała Ultra.

–Tak.

–Dobrze, mówimy po angielsku. Tylko pamiętajcie: o dupie Maryni.

Właściwie knajpa znajdowała się prawie na powietrzu. Nie było podłogi, a zamiast tego stoliki stały na białym, dość grubym żwirze. Prawą stronę zajmował samochód, chyba właściciela, bo młody chłopak, który obsługiwał klientów, właśnie zaczął wyjmować coś z bagażnika na polecenie starszego mężczyzny siedzącego za barem.

Do morza nie było więcej niż sto pięćdziesiąt metrów. Knajpę dzieliły od wody tylko plaża i niezbyt szeroki deptak.

W całym lokalu stało pięć stolików, z czego zajęty był tylko jeden. Siedziało przy nim dwóch kibiców i oglądało jakiś mecz Barcelony. Telewizor ustawiono tak, aby szef również mógł widzieć, co się dzieje. To musiała być jakaś powtórka, gdyż widzowie zachowywali się spokojnie, a poza tym dochodziła dopiero trzecia. Po prawej stronie szefa, zanurzone w dziwnej mazi i przykryte szklanymi naczyniami, pływały jakieś obrzydlistwa, które niestety przeznaczone były najprawdopodobniej do jedzenia.

–To tapasy – wyjaśnił Kniewicz. – Dodatki do głównych dań.

Grubas się wzdrygnął.

–Czy jest coś normalnego? – spytał z nadzieją.

–Na pewno – mruknęła Ultra. – Chodźcie do stolika.

Młody kelner skończył grzebać w samochodzie i podszedł do nowych klientów.

–*Ola!* – Przystojniak się uśmiechnął.

–*Ola!* – odwzajemnił się miły kelner.

–*Paella con azeitonas, uva blanca, bistek i la terrnera... duo.* – Przerwał na chwilę, aby spojrzeć na Grubasa. – Chcesz stek czy coś hiszpańskiego?

–Zdecydowanie stek... i wodę – odpowiedział agent z niepokojem.

–Okay. – Kelner najwyraźniej zrozumiał po angielsku.

Ultra i Adam postanowili spróbować hiszpańskiej paelli.

–Przepiękny kraj. – Agentka uśmiechnęła się do chłopaka. – Czy jest tu może w pobliżu jakiś ładny hotel?

Kniewicz ani pozostałych dwóch nie zdziwiło to pytanie.

–O tak... – rozmarzył się Gruby. – *Espania, Espania...*

–Najbliższy jest dwieście metrów stąd – odpowiedział chłopak uprzejmie, a co najważniejsze, płynnie po angielsku, po czym szybko zniknął za drzwiami kuchni.

–Jeśli nie chcesz, żeby ten facet zamiast steku podał ci owoce morza złowione dwa lata temu, wstrzymaj się od zbytniego wychwalania Hiszpanii – rzucił Adam w stronę Grubego, uśmiechając się przy tym tajemniczo.

–Dlaczego? – zdziwił się agent.

–Ci ludzie nie uważają się za Hiszpanów – wyjaśnił cicho i spokojnie Kniewicz. – To Katalończycy. Mają nawet swój język. Nie lubią Hiszpanów. Walczą z nimi od tysiąca lat. Dopiero kiedy miniemy Tarragonę, wjedziemy do prawdziwej Hiszpanii.

Gruby podejrzliwie spojrział na Przystojniaka i Ultra. Oboje poważnie skinęli głowami.

–Cholera – mruknął pod nosem.

–Nie przejmuj się, są wyrozumiali.

Adam ledwo powstrzymał się od śmiechu. Ultra zachichotała, ale szybko spoważniała.

–Co to jest ta paella? – spytał zmieszany Gruby, udając trochę obrażonego.

–Rodzaj ryżu pomieszany z owocami morza i czasem z innym mięsem – odpowiedział Kniewicz, bawiąc się sztucami, które zostawił kelner, ale dostrzegłszy niepewność na twarzy agenta, kontynuował: – No wiesz, krewetki, ślimaki, kawałki langusty.

–Kawałki langusty... – powtórzył z obrzydzeniem Gruby.

–Cała by się nie zmieściła – wyjaśnił dziennikarz. – To półmetrowy skorupiak. Zjadłbyś ośmiokilogramowego kraba?

–Nie zjadłbym nawet grama tego paskudztwa!

–Nie przesadzaj – wtrąciła dydaktycznie Ultra. – Smakuje jak delikatny kurczak. To nic takiego, musisz tylko pozbyć się północnoeuropejskich uprzedzeń.

–Pozbyć się północnoeuropejskich uprzedzeń?! – Gruby się wykrzywił. – Jak można jeść coś takiego?

Kniewicz zostawił wreszcie w spokoju widelec.

–Lubisz kiszzone ogórki? – spytał, nie odrywając wzroku od obrusa.

–Jasne.

–A tutaj takie ogórki uważane są za zgniłe. Nikt nie wziąłby ich do ust.

–Poważnie? – zdziwiła się Ultra.

–Nie tylko tutaj, we Francji również – wyjaśnił Adam. – Kiedyś robiłem spory film o wybrzeżu śródziemnomorskim. Poza tym przyjeżdżam tu co roku na wakacje.

–Dziennikarze... – zachichotał Przystojniak. – Zarabiacie więcej niż nauczyciele, lekarze i my razem wzięci.

–To dawne czasy – poprawił go Kniewicz. – Poza tym my żyjemy o połowę krócej niż lekarze i nauczyciele, być może nawet krócej niż wy. No i, wierz mi, trzeba się ostro naharować.

–Krócej żyjecie? – zainteresowała się Ultra.

–Na drzwiach gmachu telewizji na Woronicza codziennie zmienia się klepsydra. Średnia wieku czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Najczęstsze przyczyny śmierci to zawał i wylew. Nikt nie ma bardziej stresującej pracy niż my. Poza tym nikt nie jest pewny dnia ani godziny. W każdej chwili mogą cię zwolnić. Dziś jesteś gwiazdą jutro nikim. Szef może wypieprzyć cię dokładnie za nic. Najczęściej robi to dlatego, że jego siostrzeniec albo jakiś gówniarz z rodziny dostał się właśnie na dziennikarstwo lub inny kierunek i chce być sławny.

Adam westchnął głęboko, jakby zabrakło mu tchu. Mimo że nieco zaskoczone twarze Przystojniaka i Grubego wskazywały, iż chyba się zagalopował, nie tracił impetu.

–Możesz wypaść z łask – ciągnął z pasją – bo jakiemuś tępakowi, którego ktoś przyniósł w teczce do dyrektorskiego gabinetu, nie podoba się lub znudziła twoja twarz. Rano pokłócił się z żoną a jego bachor przyniósł wcześniej lufę ze szkoły, i gotowe. Twój program nagle jest do dupy, choć jeszcze dwa tygodnie wcześniej był genialny. I nie ma tu nic do gadania publiczność, bo twój szef uważa, że widzowie to banda półmózgów, którzy mają tylko płacić abonament i siedzieć cicho, żebyśmy mieli z czego żyć. Nie mówiąc już o tym, że towarzystwo wzajemnej adoracji i głębokiej nieadoracji z Sejmu nie potrafi od osiemdziesiątego dziewiątego sklecić przyzwoitej ustawy, która pozwoliłaby rządowi sprawiedliwie dzielić wpływ z abonamentu. Na razie zasila on tylko telewizję publiczną. Tak więc tacy goście, jak szefowie Polsatu, TVN-u czy Canal+ muszą płacić na konkurencję. I potem spotykam na ulicy kolegów, z którymi kiedyś pracowałem, a którzy są teraz w tej konkurencji, a oni mnie pytają: I co, wciąż pracujesz dla tych złodziei? Nikt jakoś nie wpadnie na pomysł, żeby zlikwidować tę idiotyczną opłatę z czasów naszego kolegi Zygzaka, bo ręka rękę myje.

Ponieważ Adam od pewnego momentu zaczął mówić po polsku, Ultra uznała, że już najwyższy czas, aby się zamknął. Co prawda ściszył znacznie przy okazji głos i z pewnością nikt oprócz nich nie mógł go usłyszeć, ale stwierdziła, że przyda się trochę dyscypliny.

–Jest szansa, że pogadacie wreszcie o pogodzie? – mruknęła wstępnie.

–Skoro jest tak kiepsko, to po co tam pracujesz? – spytał Gruby.

–Gruby... – tym razem jej głos zabrzmiał groźniej.

W drzwiach kuchni pojawił się kelner niosący obiad. Adam przez chwilę wstrzymywał się z odpowiedzią. Gruby oczywiście z dużą nieufnością przywitał to, co leżało na talerzach.

–Od razu zapłacimy – oświadczyła Ultra.

Chłopak przyjął pieniądze i zniknął za drzwiami.

–No, po co? – nie dawał za wygraną Gruby, przyglądając się Ultrze z zawadiackim uśmiechem.

–Bo jest romantykiem – wtrącił z marzycielskim zadęciem Przystojniak.

–Myślałam, że chociaż ty jesteś rozsądny! – Ultra zaczynała być wkurzona. – Zamknijcie się wreszcie i dajcie w spokoju zjeść.

Pablo spokojnie kosił trawnik. Starał się zdążyć przed największym upałem, bo popołudnie zapowiadało się rzeczywiście gorące. Wjechał właśnie kosiarką w cień, dzięki czemu mógł chwilę odsapnąć. Lubił w takich momentach patrzeć na szczyt góry, na zboczu której wybudowano niegdyś willowe osiedle, w części tylko zamieszkane, bo przeznaczone głównie dla turystów. Sezon powoli się rozpoczynał, więc Pablo miał powód do radości – wakacje zawsze oznaczały pieniądze. Obsługiwał kilkanaście ogrodów na tym osiedlu, ale u siwego jankesa pracowało się najłatwiej. Jankes mieszkał tu od niedawna, wyglądał jednak na czystego, porządnego i miłego

gościa. Nie biegały tu żadne bachory, od krzyków których tylko głowa by bolała i które z ogrodu robiłyby śmietnik, jak w sąsiedztwie. Jankes był cichy i spokojny. Nie przeszkadzał nikomu, nie słuchał głośno muzyki, tylko przesiadywał całymi dniami na tarasie, czytając, pisząc i rysując. Czasem schodził na plażę, ale rzadko.

Jankes nie był właściwie całkiem siwy. Powiedzmy, że był... szpakowaty. Miał na oko sześćdziesiąt lat, może sześćdziesiąt kilka. Był wysoki i dość chudy. Trudno nawet powiedzieć, czy to Amerykanin, bo nawet Anglicy są tutaj rzadkością. Poza tym jego angielski był raczej podobny do mowy Gregory'ego Pecka niż księcia Karola.

Najwięcej na osiedlu mieszkało Niemców. Zwykle byli to turyści, ale gdzieniegdzie zdarzała się rodzina osiadająca tu na stałe lub przynajmniej na kilka lat. Najczęściej właściciele lub wyżsi pracownicy biur turystycznych. Niemcy bardzo lubili Hiszpanię i trzeba powiedzieć, że w pewien sposób ją „skolonizowali”. Ale siwy jankes na pewno nie był Niemcem, a Pablo lubił myśleć, że to Amerykanin. Kilka razy próbował z nim porozmawiać, gospodarz wówczas zwykle uprzejmie przeproszał i szybko wracał do swoich zajęć. Mimo wszystko jednak Pablo lubił go. Nie był może gadatliwy, ale za to miły, zawsze grzeczny i nigdy się nie wywyższał. Mówił najprawdopodobniej kilkoma językami. Nieźle radził sobie z hiszpańskim i niemieckim, a raz Pablo znalazł na trawie książkę w dziwnym języku, może jugosłowiańskim albo jakim czeskim, ciężko powiedzieć. W willi pojawiał się też inny Amerykanin. Dobrze zbudowany, przystojny blondyn. Był zawsze wesoły i nigdy nie splotował Pabla, przeciwnie – nawet wdawał się z nim w pogawędki, podczas których opowiadał o Ameryce i innych krajach. Był turystą obieżyświatem i poszukiwaczem przygód, możliwe, że bratem lub kuzynem szpakowatego. Zwykle zostawał na kilka dni, czasem trochę dłużej.

Pablo powoli kończył. Przejechał jeszcze kilka metrów i stanął. Odłączył kosiarkę i ruszył w kierunku tarasu, aby powiedzieć, że już wychodzi. Siwy jankes siedział na leżaku i rozmawiał przez telefon. Pablo trochę znał angielski, więc czekając, aż tamten skończy, postanowił trochę popodsłuchiwać.

–Myślisz, że dojadą już dzisiaj...? Wieczorem...? Dobrze, wiem wszystko, wiem, co mam robić... Daj spokój... Bądź tu jak najszybciej... No dobrze, poczekamy do jutra...

Pewnie znowu przyjedzie ten drugi Amerykanin, pomyślał Pablo. Znowu będzie wesoło.

Branowski usłyszał, jak otwierają się drzwi.

–Co się dzieje, Kalafior?

–Są już. – Łącznik wyprężył się jak struna.

–Dzięki Bogu. – Branowski wstał, włożył swój ulubiony długopis do kieszonki i szybko przeszedł przedpokój, aby wejść do głównego pomieszczenia. Niemal równocześnie w przeciwległych drzwiach pojawiła się Ultra z całą swoją ekipą.

–Witam, bardzo proszę – przywitał ich szybko. – Porucznik Branowski z...

–Wiem. – Ultra się uśmiechnęła.

Wojskowy odpowiedział uśmiechem.

–Resztę poznacie później.

–Oczywiście – mruknęła dziewczyna. – Cześć, Kalafior! – rzuciła w stronę zaganianego łącznika.

–Cześć, Ultra!

Zmieszany porucznik rozejrzał się po pokoju, jakby czegoś szukał.

–No dobrze, bierzemy się do roboty.

–Może daj im trochę odpocząć, są po podróży! – usłyszeli tubalny głos wchodzącego właśnie olbrzyma ubranego w nieprawdopodobnie niegustowny komplet plażowy.

–Milimetr! – wykrzyknął z radością Przystojniak.

–Przystojniak! Cha, cha, cha! – roześmiał się na całe gardło wielkolud, ale żyrandol jakimś cudem utrzymał się na swoim miejscu i nie spadł im na głowy.

–Dobrze się bawicie? – mruknął z lekka poirytowany Branowski.

–Daj spokój! – rzucił wesoło Milimetr. – Wy z wywiadu nie potraficie narażać życia w przyjemnej i radosnej atmosferze!

–Gdzie możemy rzucić graty? – spytał Gruby.

–Kalafior zaprowadzi was na górę – odparł już poważniej, ale wciąż pogodnie Milimetr.

–Trochę się rozpakujemy, zgoda, poruczniku? – spytała Ultra.

–Dobrze, rozgoście się. Jutro ciężki dzień.

Agentka, zanim weszła na górę, rzuciła jeszcze raz okiem na pomieszczenie. Meta wyglądała jak zwykle mieszkanie i najprawdopodobniej kiedyś mieszkaniem była. Tyle tylko że stare meble nieprzyjemnie kontrastowały z nowoczesnym sprzętem komputerowym i łączności. Miało tu być czterech ludzi i było. Oczywiście wszystkich znała, lecz porucznika – o którym czytała tylko w materiałach, choć był człowiekiem pewnym – miała mieć na oku. Krentz nie przepadał za waźniakami z wywiadu, choć przecież sam spędził tam tak wiele czasu.

–Idziesz? – mruknął Adam ze schodów.

–Tak, jasne. – Ultra szybko wspięła się na piętro.

Kniewicz leżał spokojnie na łóżku i myślał. Na dworze dawno już zapadły ciemności, ale był zbyt podekscytowany, by spać. Na dole krzatali się ludzie, słyszał nawet cichą muzykę. Nie tak wyobrażał sobie tajną akcję. Ci wszyscy mężczyźni nie mieli w sobie nic nadzwyczajnego. Byli prości, bezpośredni i mili. Nie przybierali wyniosłych min rodem z kryminalnych seriali. Nie rzucali na zawołanie zgrabnymi tekstami, podsumowującymi bezbłędnie ich złożoną osobowość. Nie rozdawali na prawo i lewo mściwych spojrzeń, nie wykonywali świadczących o zmęczeniu życiem gestów, nie mieli też – obowiązkowych w filmach – kłopotów z żonami.

Grubas był przysadzystym, swojskim kierowcą o rubasznym poczuciu humoru i wyrazie twarzy radosnego buldoga. Przystojniak, codziennie nienagannie uczesany i ubrany, sprawiał wrażenie lekkoducha, choć raczej były to tylko pozory. Jego twarz modela z pism dla nastolatek – zawsze zadbana i pogodna, ale poważna – zdradzała często ironię, z jaką zwykł podchodzić do tak zwanych poważnych spraw. Dziennikarz nie wątpił jednak, że nie przeszkadza mu to solidnie wykonywać swojego zawodu. Reszta napotkanych tu ludzi przypominała bardziej zwykłych wojskowych

niż szpiegów. Branowski był nasztywniejszy z nich wszystkich, ale próbował się wpasować w otoczenie możliwie najmniej hałaśliwie. Miał osobowość wykształconego, lecz jednak trepa.

Adam uniósł się, oparł głowę na łokciu i postanowił pogapić się na odpoczywającą Ultrę.

–Co jest? – mruknęła dziewczyna, nie odwracając głowy od ściany.

Nie widział jej twarzy, ale uśmiechnął się na myśl, że wyczuła jego wzrok. Ich łóżka dzieliły zaledwie dwa metry, tak że mógł bez problemu usłyszeć jej oddech. Za ścianą spokojnie chrapali Gruby i Przystojniak. Przydział kwater oczywiście podekscytował Grubego, ale jego „kosmate” uwagi, których wszyscy się spodziewali, zostały szybko ucięte przez Ultrę. W pracy nie uznawała różnicy płci, a to, że była z Adamem w jednym pokoju, uważała za naturalne.

–Co cię właściwie z nimi łączy? – spytał cicho Kniewicz.

–Z kim?

–Z Janti i białymi.

–Co ci odbiło?! Teraz chcesz o tym gadać?

–A dlaczego nie? Nie chce mi się spać.

Ultra westchnęła ciężko, ale odpowiedziała.

–Sporo. Kiedyś bardzo mi pomogli, ale pewnie wiesz już coś o tym.

–Obiło mi się o uszy.

–No widzisz. W każdym razie jest kilka rzeczy, o których wiem tylko ja i oni, i to raczej nie obiło się nikomu o uszy. To ważne. Dobrze mieć niekiedy kogoś takiego w życiu. Inna sprawa, że jeśli chodzi o te orientalne rzeczy, to czasem przeginają.

–Nie mów tak.

–A tobie co znowu?

–Może to głupie, ale właśnie w takich chwilach jak ta myślę o Bogu.

–No tak, tego się spodziewałam. Po kilku dniach u nich i ty zaczniesz przeginać.

–Przeginają ci, którzy klepią codziennie pacierze, nie mając nawet pojęcia, o co w nich chodzi.

–Daj spokój, to tylko religia.

–Janti doskonale wie, o co jej chodzi. Nie we wszystkim się z nią zgadzam, ale to, o czym mówi, jest niezwykle.

–Ale ci się zebrało...

–Sama mnie tam zawiozłaś.

–Daj spokój, mówiłam ci, żebyś nie słuchał tych ich wymysłów. Pomieszali ci w głowie i teraz świrujesz. To naprawdę szlachetni ludzie, ale nie czas dziś na gadki o takich sprawach. Jak wyjdiesz z kłopotów, możesz tam pojechać i walić medytacje po dziesięć godzin dziennie, ale teraz się skup i spróbuj pomyśleć poważnie o tym, co tu robimy.

–Nie boisz się śmierci?

Ultra odwróciła się w jego stronę i ponownie westchnęła.

–Nie myślę o tym.

–Nie myślisz o tym?!

–Nie. Moja praca jest niebezpieczna, ale staram się być jak najsprawniejsza, żeby dobrze ją wykonywać i jak najmniej się narażać. Gdybym zaczęła myśleć o śmierci, szybko wpakowałabym się w kłopoty.

Adam ponownie złożył głowę na poduszce i wpatrywał się chwilę w sufit.

–Myślisz, że Marta jest bezpieczna?

–Na pewno – skłamała Ultra.

–Przestań! Powiedz, co myślisz!

–Co ci to da?

–Nie wiem, powiedz.

–Jeśli wszystko pójdzie według planu, jest duża szansa. Christo i tak musi się wycofać. Zabicie dziewczyny sprowadzi na niego nowe kłopoty, a nie przyniesie żadnych korzyści. I tak stracił anonimowość. Teraz chce tylko uratować tyłek.

Kniewicz przez chwilę nic nie mówił, jakby się zastanawiał nad tym, na ile Ultra może mieć rację.

–To co, filozofujemy czy dasz mi pospać? – Uśmiechnęła się dziewczyna.

Starła się, aby jej głos brzmiał możliwie najbardziej rzeczowo, co miało określać status ich stosunków. Lubiła go niestety bardziej, niż przewidywał jej głos rozsądku, i ciężko było coś na to poradzić. Pociągały ją w nim nieporadność i pewnego rodzaju naiwność wobec funkcjonowania mechanizmów, w które się wplątał, a jednocześnie odwaga i inteligencja, które pozwoliły mu jednak przetrwać. Był upierdliwy do bólu, ale od pismaka braku tej cechy wymagać raczej nie mogła. Coraz częstsze myśli, w których widziała, jak Adam zrywa z niej ubranie i rzuca ją na łóżko, na razie odpędzała dość skutecznie.

–Chciałem tylko chwilę pogadać...

O Boże, modliła się w myślach Ultra, śpij, kretynie, bo zaraz przyjdę do ciebie i stanie się etyczna tragedia!

–Jasne – jęknęła, przewracając się na drugi bok i zaciskając powieki.

Kniewicz jeszcze chwilę przyglądał się sufitowi, potem jednak nagle poczuł znużenie. Obrócił się na bok i niespodziewanie szybko zasnął.

Poranek w Denii, na środkowym wybrzeżu hiszpańskiej riwiery, był tego dnia słoneczny i ciepły. Czerwcowy wietrzyk delikatnie muskał liście tunii za oknami „mety”. Przy dużym stole w zaimprovizowanej sali posiedzeń stał już Branowski i przyglądał się mapie miasta. Zaznaczył coś ołówkiem w prawym górnym rogu i podniósł wzrok, aby sprawdzić, czy wszyscy są. Po drugiej stronie pokoju poziewował Kalafior, mażąc coś w swoim notatniku.

Cichy – najbardziej, zdaniem Adama, tajemniczy z mężczyzn – siedział przy stole, spokojnie czekając na naradę. Miał czujne, bystre spojrzenie, barczyste ramiona i całkowicie pozbawioną owłosienia głowę. Ultra popędziła zdecydowanym gestem schodzących z góry Grubego i Przystojniaka.

–No dobrze, popatrzmy na mapę – rozpoczął porucznik, wskazując ołówkiem kółko narysowane w prawym górnym rogu. – Tu jest dom, w którym teraz mieszka Szczepański. Obserwujemy go od pięciu dni, a obecnie jest tam Milimetr. Sprawa wygląda na czystą. Wszystkie fakty, miejsca, opisy i zdjęcie z koperty Christa się

zgadzają. Jeśli ten cyngiel nie robi nas w konia, cała ostrożność jest zupełnie niepotrzebna.

–Nie wiemy, co tak naprawdę wie Zygzak, więc proponuję dmuchać na zimne – wtrąciła się Ultra.

–Racja – przytaknął porucznik. – Trzymamy się planu. W razie czego odbędziemy miłą przejażdżkę powrotną z krótkich wakacji w Hiszpanii. Szczepański używa nazwiska Tom Spiltzer. Zwykle wstaje około ósmej, czasem dziewiątej. Wygląda na to, że nigdzie tu nie pracuje. Rzadko wychodzi na dłużej z domu. Zazwyczaj do sklepu lub na spacer nad morze. W ciągu ostatnich pięciu dni nie był w kinie ani nawet w restauracji. Sprząta i gotuje sam. Ogrodem zajmuje się niejaki... – przerwał na moment, aby przyrzeć się dokładniej kartce, którą przed chwilą wyjął z teczki leżącej przed nim na stole -...hmm... Paulo... nie, Pablo Gutieres. To nikt ważny. Pracuje tu od dwudziestu lat. Jest raczej nieprawdopodobne, aby był czyjąkolwiek wtyką. Szczepański wygląda na ostrożnego samotnika. Od pięciu dni nikogo u niego nie było. On także nikogo nie odwiedził. Cztery razy był nad morzem, pięć razy w sklepie spożywczym, raz kupował żarówkę. Kilkakrotnie rozmawiał przez telefon, ale nie wiemy z kim i o czym. Nie zakładaliśmy podsłuchu. Hiszpanie o niczym nie wiedzą i nie ma potrzeby ryzykować międzynarodowej afery. Cicho przyjechaliśmy i cicho wyjedziemy. Zawiadomimy ich w ostateczności. Wszystko. Ultra?

Gruby i Przystojniak mieli poważne, tajemnicze miny, choć dziewczyna była pewna, że obaj agenci pokpiwają w myślach z Branowskiego.

Skinęła głową i wstała, aby lepiej wszystkich widzieć.

–Kontakt, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, nawiązuje Adam. Myślę, że on ma największe szanse przekonać klienta, że nie jesteśmy od Zygzaka. Ponieważ teren wygląda na czysty, to na razie nasz największy problem. On po prostu może nam nie uwierzyć.

–Co z rodziną? – spytał nagle Cichy.

–Ma w Polsce tylko siostrę. Mieszka w Skierniewicach. Zamężna, jedna córka. Po ucieczce brata jej dom spłonął, straciła wszystko. Nie została jej nawet jedna fotografia Szczepańskiego, więc nie wiem, skąd Christo wytrzasnął to zdjęcie. Zygzak musiał szantażować ją od osiemdziesiątego ósmego. Myślę, że to główny powód tego, że teczka wypłynęła tak późno. Dlaczego Szczepański zaryzykował akurat teraz, nie wiemy. Trzymali się nawzajem w szachu. Jeden miał teczkę, drugi rodzinę przeciwnika. Tuż przed pojawieniem się kuriera w Polsce siostra, jej mąż i córka nagle zniknęli. Mamy nadzieję, że gdzieś się ukryli, ale mogą też nie żyć. Ona z pewnością nawet nie wiedziała, kim jest Zygzak, ale gdybyśmy ją znaleźli, byłoby łatwiej. Mogłaby nam powiedzieć coś, co pomogłoby przekonać Jacka Szczepańskiego.

–Co proponujesz? – spytał Kalafior.

–Adam spróbuje przekonać go, że jest znanym polskim dziennikarzem. Mamy kilka kaset z jego programami. Widać na nich logo telewizji oraz ludzi polityki. Wybraliśmy te, w których Adam pokazuje się na ekranie, a nie te, które tylko produkował. My jedynie go osłaniamy. Idzie do Szczepańskiego sam. Szanse są

niewielkie, ale może to wypali. Może facet zadzwoni do kogoś w Polsce, żeby to potwierdzić.

–Będzie ciężko. – Cichy pokręcił głową. – Ten człowiek jest bardzo ostrożny i niegłupi. Mógł przecież już tysiąc razy wysłać teczkę faksem do tysiąca gazet, urzędów, prokuratury, a jednak tego nie zrobił. Wiedział, że po pierwsze, to wyrok dla siostry, której Zygzak nie dał wyjechać nawet ze Skierniewic. Po drugie, takateczka mogłaby zostać uznana za zwykłą podróbkę. Pamiętacie sprawę Oleksego czy nawet Bolka. Bez świadków i niepodważalnych dowodów mogłoby to co najwyżej narobić Zygzakowi niewielkich kłopotów. Wywinąłby się. Nigdy nie udowodniono by mu morderstw, sprawy zakopiańskiej, a działalność agenturalna pozostałaby jedynie niebezpiecznym domysłem. Żadna gazeta nie wydrukowałaby tego bez potwierdzeń, żaden z polityków nie zaatakowałby go na podstawie faksu znikąd. W najlepszym razie Zygzak musiałby na pewien czas wycofać się z polityki, a rodzinę inżyniera wymordowałby bez wahania. Szczepański o tym wie.

–To prawda – zgodziła się Ultra. – Ale być może teczka, mimo że gorąca, nie jest jeszcze pełna. To, moim zdaniem, główny powód, dla którego Szczepański zdecydował się dopiero teraz. Na sto procent ktoś mu pomaga. Kurier w Polsce, zniknięcie siostry: to pachnie kimś, kto zna się na robocie. Czuję przez skórę, że ktoś uzupełniał i wciąż uzupełnia teczkę, a akcja z senatorem Kamińskim to tylko rekonesans.

–W wypadku senatora popełnili błąd, teraz będą jeszcze ostrożniejsi – zauważył Cichy.

–Po prostu nie spodziewali się, że Zygzak posunie się aż do zamordowania polityka – wtrącił się Przystojniak. – Takie rzeczy w Polsce raczej się nie zdarzają. Generał Pupała był policjantem, Dębski miał powiązania z mafią. Do senatorów i posłów nikt u nas nie strzela.

–Nie ma wyjścia – zdecydowała Ultra. – Trzeba spróbować. Szczepański wie, że poruszył lawinę, i musi się spodziewać, że zrobi się ciasno. Myślę, że on ma plan.

–Ja też tak uważam – mruknął Gruby. – Po prostu tam pójdźmy i dajmy mu działać.

–Może poczekamy jeszcze na waszych chłopaków? Może znajdą w Polsce coś, co nam pomoże? – rzucił Branowski.

–Nie ma czasu. – Przystojniak machnął ręką. – Moim zdaniem damy sobie radę.

–Dobrze – zgodził się porucznik. – Kiedy wróci Milimetr, zaczynamy.

ROZDZIAŁ 10

Kniewicz zatrzymał się na chwilę przed alejką przecinającą główną ulicę. Jeszcze dwieście metrów w górę, drugi zakręt w prawo i powinien zobaczyć dom Jacka Szczepańskiego. Poprawił słuchawkę w uchu.

–W porządku? – usłyszał głos Ultry.

–Tak, za parę minut tam będę.

–Rozejrzyj się.

Raz jeszcze zmierzył wzrokiem okolicę.

–Chyba wszystko w porządku – powiedział cicho. Wsadził ręce do kieszeni, odetchnął trochę głębiej i ponownie ruszył do przodu. – Widzicie mnie?

–Tak – potwierdził Gruby.

Dziennikarz przyśpieszył kroku. Powtórzył w myślach kilka pierwszych zdań, które sobie ułożył, i znów obejrzał się za siebie.

–Spokojnie – usłyszał głos Ultry. – Nie tak często. Jak coś będzie nie tak, od razu ci powiemy.

–Jasne – mruknął jeszcze ciszej.

Dochodziła czwarta po południu. Turystów w Denii było na razie niewiele, więc ulice świeciły pustkami. W ogródkach mijanych przez Adama domów krzątali się gospodarze, przygotowujący się najczęściej na przyjazd klientów. Strzygli trawniki, czyścili baseny, czasem wygrzewali się na leżakach, korzystając ze słońca. W lipcu temperatury tak tu podskoczą że Europejczycy z północy będą mieć kłopoty nawet ze snem; powszechnie szuka się wówczas chłodu pod zmoczonymi zimną wodą prześcieradłami. Na to jednak trzeba będzie trochę poczekać.

Kniewicz doszedł do ostatniego zakrętu i tym razem bez namysłu ruszył w prawo, nawet nie oglądając się za siebie.

Po kilku minutach stał przed furtką gotowy na wszystko. Za ogrodzeniem dostrzegł wypełniony już wodą niewielki basen w kształcie fasolki. Po prawej stronie rośło kilka drzew nie znanego Adamowi gatunku. Basen otaczała krótko przystrzyżona trawa. Od furtki do drzwi domu, którego z tego miejsca nie było widać, prowadził kamienny chodniczek.

–Dzwonię – powiedział cicho.

–Śmiało – odparł Gruby.

Dziennikarz nacisnął fikuśny guziczek dzwonka i czekał. Po chwili usłyszał bzyk zwalniający blokadę furtki i spokojny, niski głos dochodzący z głośnika:

–*Entre, Pablo.*

Kniewicz nie odpowiedział, tylko szybko pchnął furtkę i ostrożnie, ale zdecydowanie przeszedł kilka metrów chodniczką. Skręcił w lewo i dostrzegł drzwi wejściowe. Wiedział, że tu Ultra i reszta nie mogą go już obserwować. Zanim dotarł do schodków, drzwi uchyliły się i stanął w nich lekko szpakowaty mężczyzna. Adam na moment się zatrzymał, ale zauważył w jego spojrzeniu całkowity spokój i opanowanie. Wydawało mu się dziwne, że mężczyzna zupełnie nie jest zaskoczony jego widokiem.

–Jestem... – zaczął szybko Kniewicz, ale nagle umilkł, bo gospodarz przyłożył

energicznie palec do ust, a następnie wskazując ucho Adama, pokiwał znacząco palcem.

Kniewicz wyjął słuchawkę z ucha i podał ją mężczyźnie, a ten z kolei wskazał koszulę Adama, za którą ukryty był podsłuch. Zaskoczony dziennikarz wyciągnął przewody i wręczył bez słowa mężczyźnie.

–Jestem z Polski. Adam...

–Wiem, kim pan jest – odparł spokojnie gospodarz. – Proszę.

Kniewicz przypomniał sobie słowa Ultry z narady, że Jacek Szczepański ma najpewniej swój plan i należy dać mu działać, więc śmiało przekroczył próg, idąc za nim. Kiedy minął przedpokój, by wejść do salonu, poczuł, jak ktoś łapie go silnie od tyłu za ramię i przykłada do ust wilgotną, śmierdzącą szmatkę.

Szpakowaty mężczyzna odwrócił się i spokojnie obserwował, jak Adam traci przytomność.

–Adam, odezwij się! Adam, odezwij się! – po raz kolejny powtórzyła Ultra do mikrofonu.

–Nic? – spytał Gruby.

–Nic – rzuciła i kopnęła ze złością krzesło.

–Co robimy?

–Nie wiem, kurwa, czekamy! Nie spuszczaaj domu z oka!

–Jasne.

Dziewczyna przełączyła nadajnik.

–Milimetr!

–Odbiór.

–Na pewno nikt nie wchodził dzisiaj do tego domu?

–Na sto procent. Odkąd tu jesteśmy, nikt oprócz klienta tam nie wszedł.

–To co tam jest grane?!

Obleciał ją strach. Potarła nerwowo spocone czoło.

–Przystojniak!

–Melduję się!

–Chodź tu szybko, chcę pogadać!

–Biegnę.

–Milimetr, zamelduj Branowskiemu, że straciliśmy kontakt. Niech wszyscy będą gotowi do wejścia. Jak daleko stamtąd są chłopcy?

–Cichy, sto metrów. Z drugiej strony Gruby, nie więcej.

–Gruby, Cichy, macie być gotowi.

–Podchodzę powoli – zameldował Cichy.

–Ja też – rzucił Gruby.

Do pokoju wbiegł Przystojniak. Od razu złapał lornetkę i wyjrzał przez okno.

–Co myślisz? – spytał błyskawicznie.

–Nie wierzę, żeby Christo wpakował nas w jakąś pułapkę. To bez sensu. Nie miałyby szans w Polsce. Najpierw się ujawnia, pokazuje nam twarz, a potem pakuje nas w jakieś gówno? Gdyby chciał, mógłby nas zabić bez problemu wtedy, w lesie. To nie Christo. W tym domu coś nie gra. Szum nadajnika przerwał agentce.

–Ultra, jesteś tam?! – Głos Grubego nie wróżył nic dobrego.

–Jestem.

–Dwóch ludzi wchodzi od bramy, z drugiej strony kolejnych dwóch... Ja pierdołę!

Co tu się dzieje?!!!

–Cichy? – przerwał Przystojniak.

–Mają broń – rzucił Cichy.

–Dość tego! – warknęła Ultra. – Milimetr, leć do Cichego i wchodzimy.

Przystojniak i ja idziemy do was!

–Gruby?

–Mamy kontakt wzrokowy.

–Wchodzimy!

–Tak jest.

–Ultra? – Dziewczyna rozpoznała głos porucznika. – Robi się niezły pasztet.

–To ma być ta wasza obserwacja?! – nie wytrzymał Przystojniak. – Jest ich więcej niż turystów! Skąd się, do kurwy nędzy, wzięli?!

–Dobrze, o tym później – przerwała mu Ultra. – Proponuję, żebyś koordynował, my wchodzimy.

–Zgoda. Uważajcie.

Ultra i Przystojniak zbiegli szybko ze schodów i ruszyli pędem w stronę willi. Mieli do pokonania nieco ponad trzysta metrów, ale wydawało im się, że odległość jest znacznie większa. Po kilkudziesięciu sekundach dostrzegli na wzgórzu po drugiej stronie domu Szczepańskiego Grubego oraz Milimetra, który właśnie do niego dołączył. Dziewczyna skinęła zdecydowanie ręką i obaj przeskoczyli ogrodzenie. Przystojniak i Ultra usłyszeli pierwszy, cichy strzał. Podbiegli jeszcze kilka kroków i padli na ziemię metr od furtki. Tu chronił ich niewysoki ceglany murek.

–Też mają tłumiki – stwierdził cicho Przystojniak i przeładował pistolet.

–I tak prędzej czy później zlecą się tu gliny.

–Jak wchodzimy? – spytał Przystojniak.

–Ja przeskakuję i próbuję dobiec do tej ściany. Ty osłaniasz.

–Dobrze. Na „raz”.

–Raz! – szepnęli równocześnie i Ultra najszybciej, jak tylko potrafiła, wspięła się na bramę. Zeskoczyła i po krótkim biegu przyłgnęła do ściany. Tu przez pewien czas była bezpieczna. Skinęła na Przystojniaka. Agent spojrzął raz jeszcze za siebie i wspiął się na bramę. Bez problemu zeskoczył na drugą stronę i dołączył do Ultry.

–Gdzie oni wszyscy są? – rzucił do dziewczyny.

–Ci czterej znikąd chyba już w środku. Gruby, Cichy i Milimetr raczej też.

–Tamci, do cholery, też chyba mają jakąś osłonę?

–To miało być pocieszenie?

Z domu dobiegły kolejne strzały i hałas przewracanych mebli.

–Wchodzimy – rzuciła Ultra.

Ostrożnie podeszli do końca ściany. Przystojniak powoli wyjrzał zza rogu. Natychmiast zauważył kryjącego się za framugą mężczyznę w lekkiej brązowej kurtce. Mierzył do kogoś w środku. Agent miał go jak na dłoni. Spokojnie wycelował i

nacisnął spust. Tamten upadł prawie w tym samym momencie, trafiony w tył głowy.

Przystojniak wyszedł ostrożnie z za rogu i podbiegł do drzwi. Stał za ościeżnicą obok ciała. Skinął na Ultrę. Agentka przytaknęła, wybiegła i wskoczyła do domu, natychmiast padając na podłogę. Błyskawicznie wycelowała broń w głąb salonu, ale nie napotkała żadnego celu. Trzy metry od niej leżał za fotelem Cichy, który usłyszawszy, jak wbiega, wymierzył w nią pistolet. Dostrzegłszy Ultrę, ponownie skierował broń w kierunku schodów i pokazał dziewczynie, dokąd pobiegli napastnicy. Po chwili ciszy padł kolejny strzał, po nim szybko dwa następne.

–Są na górze – syknął Cichy.

Na schodach pojawił się wysoki blondyn próbujący szybko zbiec na dół, ale widok dwójki agentów leżących na podłodze w salonie zaskoczył go tak bardzo, że na sekundę znieruchomiał. Cichemu to wystarczyło. Dwa szybkie strzały w klatkę piersiową i w głowę wygięły mężczyznę do tyłu. Stał tak przez moment już bez świadomości, po czym przełożył schodami w dół i wylądował na podłodze w salonie. Chwilę ciszy przerwał szum w krótkofalówce Ultry.

–Na górze czysto – zameldował szeptem Gruby.

–Ilu tam masz? – spytała Ultra.

–Jednego załatwionego, drugi zleciał do was.

–Przed domem jest jeszcze trzeci, chyba został jeden.

–Schodzimy.

–Ostrożnie.

Dziewczyna podczołgała się do Cichego.

–Cały jesteś? – spytała.

–Tak, idziemy na dół.

Na schodach pojawili się Milimetr i Gruby. Agentka machnęła im ręką na znak, że teren na razie jest czysty. Milimetr wskazał, że powoli schodzą do sutereny. Ultra kiwnęła głową i odwróciła się do Przystojniaka, aby pokazać mu, żeby został przed domem.

–Zabezpieczysz? – spytała szybko Cichego.

–Tak. Idziesz za nimi?

–Poasekuruję ich. – Wstała i cicho, ale dość szybko dobiegła do schodów.

Gruby i Milimetr zeszli powoli do sutereny i na moment zniknęli jej z oczu. Po chwili zjawili się Milimetr, aby przywołać dziewczynę.

–Co jest? – spytała.

–Ten czwarty. Nie żyje.

Ultra zeszła na dół.

–A gdzie Adam i Szczepański?

Gruby tylko wzruszył ramionami.

–No przecież się nie rozplnęli. Wy go zlikwidowaliście? – spytała, pokazując leżącego pod ścianą mężczyznę.

–Nie – zaprzeczył Milimetr.

–Co tu się dzieje? – Dziewczyna otarła twarz lewą dłonią. W prawej wciąż trzymała gotowy do strzału pistolet.

–Nie wiem, kurwa! – wkurzył się Gruby. – Czuję się, jakby ktoś ostro robił nas w konia.

–Przeszukajcie szybko cały dom, ale ostrożnie.

–Jasne.

Poszli na górę. Ultra została na dole. Suterena była niewielka. Na wysokości głowy znajdowało się jedno małe okienko, po prawej stronie były jakieś drzwi. Wymierzyła w tamtym kierunku broń, ale postanowiła poczekać na resztę. Po kilku minutach ponownie zjawili się Gruby i Milimetr.

–Pusto w całej chałupie – rzucił Gruby.

–No, to teraz trzeba tylko otworzyć te drzwi – mruknęła, pokazując nosem białą klamkę.

Milimetr podszedł tam ostrożnie, po czym spytał wzrokiem resztę, czy są gotowi. Skinęli głowami. Pociągnął raptownie klamkę. Drzwi łatwo ustąpiły. Za nimi nikogo nie było. Agent szybko znalazł włącznik światła. Gdy je zapalił, ujrzeli długi, wąski korytarz kończący się po kilkunastu metrach następnymi drzwiami.

–No, to teraz wiesz, jak wyparowali – westchnął Gruby.

–Dobrze. Milimetr, powiedz tym na górze, żeby się zrywali, zanim przyjadą gliny. My idziemy tym korytarzem – powiedziała Ultra.

Adam dość szybko dochodził do siebie. Kiedy samochód się zatrzymał, był już właściwie przytomny.

–Może pan iść? – spytał uprzejmie jakiś mężczyzna łamaną polszczyzną i otworzył mu drzwi wozu.

Kniewicz przetarł oczy i starał się przypomnieć sobie, co się stało.

–Pomogę panu – oznajmił ten sam człowiek i chwycił go silnie za ramię. Mimo lekkich zawrotów głowy Adam dzielnie wysiadł i się wyprostował. Przywitał go uśmiech łysego okularnika stojącego przy drzwiach imponującej willi otoczonej wysokim murem. Dziennikarz nie zdążył jej się przyjrzeć.

–Proszę tędy – przywołał go okularnik.

–Da pan radę? – spytał ponownie mężczyzna, który pomógł mu wysiąść z samochodu.

–Chyba tak – odpowiedział Adam, czując, że wszystko wraca do normy.

Kierowca puścił Kniewicza, wsiadł do wozu i odjechał.

–Proszę tędy – powtórzył okularnik.

Adam ruszył za nim, coraz bardziej dochodząc do siebie. Drzwi okazały się jedynie wejściem na małe wewnętrzne podwórze. Przeszli jego środkiem, mijając kilku ludzi, którzy nie zwrócili na nich uwagi, zajęci czymś, o czym dziennikarz nie miał zielonego pojęcia. Kolejne drzwi prowadziły do krótkiego korytarza zakończonych wejściem do niewielkiego pokoju urządzonego na gabinet. Za biurkiem pod przeciwległą ścianą siedział postawny mężczyzna, na pierwszy rzut oka około sześćdziesiątki. Mimo siwizny spojrzenie zdradzało dobrą formę i pewność siebie. Przypominał trochę Szczepańskiego, ale był chyba odrobinę starszy.

Mężczyzna wyszedł z gabietka i podał rękę Adamowi. Dziennikarz niepewnie wyciągnął dłoń.

–Co się ze mną stało? – spytał.

–Musi pan nam wybaczyć. To bardzo łagodny środek i działa najwyżej dziesięć minut. Musieliśmy pana szybko stamtąd zabrać, a nie było czasu na wyjaśnienia. – Mężczyzna mówił płynnie po polsku, z pewnością jednak nie był Polakiem.

–A moi...

–Pańscy towarzysze? Niedługo do nas dołączą. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończyło.

–Co się miało dobrze skończyć? – Kniewicz był już całkowicie przytomny. Nie czuł strachu. Czekał.

Mężczyzna wyjął z kieszeni paczkę davidoffów.

–Zapali pan?

–Nie, dziękuję.

–Ten dom był obserwowany nie tylko przez was. Kiedy tu przyjechaliście, mówię oczywiście o waszej pierwszej grupie, niemal wszyscy zainteresowani już tu byli.

Adam ciężko westchnął i wlepił na chwilę wzrok w sufit.

–Zostawił ich pan samych w tym domu?

–Wszystko jest pod kontrolą. Nie są sami. Poza tym to zawodowcy. Dadzą sobie radę.

–Kim pan jest?

–Przepraszam, że od tego nie zacząłem. Nazywam się Greg Tarrence, amerykańskie Centralne Biuro Śledcze.

–CIA?!

–Tak.

–Człowiek z Zakopanego?

Tarrence uśmiechnął się życzliwie.

–Widzę, że Christo był dokładny.

–Christo?! – Kniewicz był całkowicie zaskoczony.

–A skąd, pańskim zdaniem, mógł mieć kopertę z danymi o tym miejscu, którą panu wręczył?

–To pan nas tu sprowadził...

–Taki był plan.

–Skoro Christo pracował dla pana, to dlaczego...

–Nie pracował dla mnie – uciął Tarrence. – Wykorzystaliśmy tylko sytuację, w jakiej się znalazł. Mamy wspólny interes. Jemu również bardzo zależy na usunięciu Zygzaka.

–Ale znaliście się...

–Och, wy, dziennikarze... – Agent się uśmiechnął. Przyjrzał się uważnie Adamowi i zapalił papierosa. – Dawno temu pracował dla rządu. Wykonywał zadania... No cóż, nie mogę panu powiedzieć jakie.

–Takie jak teraz, tyle tylko że obecnie pracuje „prywatnie”.

Tarrence nic nie powiedział, podszedł jedynie do barku, aby wyjąć butelkę coli.

–Napije się pan czegoś?

–Bez alkoholu.

–Jasne. Może być cola?

–Poproszę.

–Niech pan posłucha. – Tarrence wlał nieco napoju do szklanki i podał ją Adamowi. – Ta sprawa jest dla nas bardzo istotna. Jesteście w NATO, a kilka miesięcy temu Zygzak wszedł do rządu. Dopóki był tylko zwykłym członkiem swojej partii, nie był aż tak groźny. Teraz musimy z tym jak najszybciej skończyć.

–Kto to jest? – Kniewicz poczuł, że robi mu się gorąco.

Tarrence podszedł do biurka, wyjął teczkę i podał ją dziennikarzowi, po czym zaciągnął się mocno papierosem. Kniewicz otworzył teczkę i nagle odniósł wrażenie, że włosy stają mu dęba.

–O Boże, przecież to minister infrastruktury, wicepremier... – wydukał osłupiały.

–Właśnie. Kolej, transport, łączność...

–Zawsze mówiłem, że wicepremier nie powinien być jednocześnie ministrem infrastruktury – zachnął się Adam.

–Niech pan nie przesadza, było już kilku zupełnie nie związanych z takimi aferami, na przykład Marek Pol. Zygzak jest pierwszy i, mam nadzieję, ostatni.

–Próbowaliście go zlikwidować?

–Niech pan nie żartuje. Amerykański rząd ma strzelać do wicepremiera sojuszniczego rządu? Kto by to zatwierdził?

–Ale pracowaliście nad nim.

–Od osiemdziesiątego dziewiątego roku. Sama teczka, którą mi sprzedano w osiemdziesiątym ósmym, nie mogła udupić Zygzaka. Tam nawet nie było zdjęć, a dokumenty wymagały potwierdzeń i dowodów na to, że nie są spreparowane. Praca nad uzupełnianiem tej teczki była niezwykle żmudna. – Tarrence westchnął głęboko. – Niestety nie mogliśmy współpracować z polskim rządem. Nie wiedzieliśmy, gdzie Zygzak ma wtyki, a później okazało się, że nasze podejrzania przerosły najśmielsze założenia.

–To pan był tym kurierem.

Tarrence ponownie się uśmiechnął.

–Senator Kamiński był pewniakiem. Ufałem mu całkowicie, sprawdziliśmy go wielokrotnie, a jednak nawet u niego w gabinecie były przecieki, on sam zaś był pod obserwacją. Nie mieliśmy pojęcia, że Zygzak zareaguje tak nerwowo.

–Mieliście nadzieję, że jeśli nawet Zygzak dowie się, że teczka przybyła do Polski, tylko go to wypłoszy.

–Nikomui nie była potrzebna duża afera, ale widać nie zrozumiał aluzji.

–Zamiast przestraszyć się szantażu, urządził rzeź.

Tarrence ponownie ciężko westchnął.

–Nawet nas to zaskoczyło. Dostarczenie teczki do prokuratury nie stanowiło technicznego problemu, ale byłby to jeszcze większy błąd. Nawet jeśli założyć, co mało prawdopodobne, że Zygzak nie ma tam swoich ludzi. Wyjaśnianie tego trwałoby miesiącami. Takich dokumentów pojawia się tam kilka tygodniowo.

–Myślę, że tę teczkę potraktowaliby wyjątkowo poważnie.

–Być może, ale myśli pan, że zapobiegłoby to rzezi podobnej do tej, jaką Zygzak

urządził teraz?

–Powinniście bardziej nam ufać.

–Tak? A zna pan nazwisko Sulig?

Adam pokręcił z dezaprobatą głową.

–Ultra mi mówiła.

–No właśnie. Sam pan widzi. Musieliśmy najpierw wydostać rodzinę Jacka z Polski, potem przygotować grunt, sprawdzić wszystko i w końcu uderzyć błyskawicznie ze wszystkich stron.

–Nie mieści mi się to w głowie.

–Niech pan się napije i doceni tę chwilę – zachęcił go Tarrence. – W końcu to temat pańskiego życia.

ROZDZIAŁ 11

Ultra i Gruby dochodzili do drzwi na końcu podziemnego korytarza.

–Poczekajcie! – krzyknął za nimi Milimetr.

–Co jest? – spytała dziewczyna.

–Telefon dzwoni na górze.

–Co? – zdziwił się Gruby.

–Mam silne przeczucie, że to do nas.

Gruby przytaknął.

–Odbierz – rzuciła agentka do Milimetra.

Olbrzym wbiegł na schody, podszedł do aparatu i odebrał, czekając, aż ktoś się odezwie.

–Ultra? – usłyszał po polsku w słuchawce.

–Nie.

–To daj ją.

–Kto mówi?

–Daj ją to powiemy wam, gdzie jest dziennikarz. Agentka zdążyła już podejść do Milimetra. Wzięła od niego słuchawkę i otarła pot z czoła.

–Słucham.

–Witaj, Ultra.

–Kto mówi?

–Zapraszam do siebie.

–Dlaczego mam ci wierzyć?

–Poczekaj.

Po chwili przerwy usłyszała głos Kniewicza.

–Przyjedź tu, wszystko jest w porządku.

–Jesteś pewien? Nic ci nie jest?

–Jestem pewien, nic mi nie jest. Zbieraj wszystkich i przyjeżdżajcie.

–No dobrze, daj tamtego.

Adam przekazał słuchawkę.

–O co tu chodzi? – spytała Ultra.

–Wszystko ci opowiemy. Zabraliśmy chyba ze sobą ogon, ale uważajcie. Podaję adres...

Marta obserwowała niknące za oknem samochodu drzewa. Była lekko skacowana po wczorajszym winie, ale miała dobry humor. Jajecznica na śniadanie smakowała jej, zdołała jednak zjeść tylko połowę niewielkiego talerzyka. Teraz czuła, jak jej żołądek powoli godzi się z niedogodnościami, jakie zafundowała mu poprzedniego wieczoru.

–Teraz jestem już bezpieczna? – spytała, nie odrywając wzroku od szyby.

–Mam nadzieję, że tak – odpowiedział Christo.

–Paweł, dlaczego ty nic mi nie mówisz? Teraz chyba już możesz.

–Lepiej nie. – Uśmiechnął się. – I tak z pewnością dowiesz się niedługo o mnie wielu rzeczy, ale na szczęście nie ja będę musiał ci o tym opowiedzieć.

–Nie rozumiem.

–Dojeżdżamy do miasta. Pamiętasz wszystko?

–Tak. Wysadziś mnie w miejscu, w którym mam poczekać kilka minut, aż zjawi się po mnie jakiś facet i spyta: „Czy szuka pani luksusowego noclegu?”

–Pamiętaj, jeśli powie cokolwiek innego, nie idź z nim.

–Jasne – roześmiała się dziewczyna.

–Wiem, że to wygląda, jakbyśmy się urwali z jakiegoś Hansa Klossa, ale tak będzie lepiej.

–Dlaczego nie możesz tam pójść ze mną? Przecież jesteś agentem.

–Taki jest plan, wszystkiego dowiesz się później.

Była jedenasta przed południem. Poranne korki zdążyły się już trochę rozrzedzić, więc przejazd przez miasto nie był męczący.

–Zobaczymy się jeszcze? – spytała Marta.

Christa zaskoczyło to pytanie.

–Nie powinnaś tak łatwo wszystkim ufać – zauważył, nie odwracając wzroku od przedniej szyby.

–Uratowałeś mi życie. Dlaczego miałabym ci nie ufać?

–No wiesz – Christo poczuł się dziwnie bezradny – nie zawsze jest tak, jak się wydaje.

–Poznałbyś Adama. Wiesz, jaki to fajny facet?

–Może kiedyś.

–Dokąd jedziemy?

–To już niedaleko. Głowa jeszcze cię boli?

–Trochę, ale palnę sobie panadol, powinno przejść. Christo zwolnił, wjechał na chodnik i zatrzymał samochód.

–To tutaj.

Marta sięgnęła po swój plecak.

–Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego i wysiadła.

–Powodzenia.

–Trzymaj się – rzuciła na pożegnanie.

Christo ruszył i pokręcił z niedowierzaniem głową. Dziewczyna rozbroiła go całkowicie. Nagle dopadła go najzwyklejsza na świecie myśl, że chyba jest za stary na tę robotę. Minął kilka przecznic i wyjął telefon. Wystukał numer.

–Tak? – usłyszał w słuchawce.

–Podaję namiary dziewczyny.

–Dawaj.

Ultra czytała kolejny raport z teczki i kiwała głową.

–Gdzie jest teraz Jacek Szczepański? – spytała Tarrence’a.

–Kiedy w jego domu wybuchła strzelanina, uciekł tylnym wyjściem i teraz stara się pewnie zgubić pościg ludzi Zygzaka.

Ultra odłożyła dokumenty.

–I prawdopodobnie niedługo straci panowanie nad kierownicą i zginie w wypadku samochodowym.

Tarrence uśmiechnął się szeroko.

–Nie doceniłem koleżanki.

–O czym wy mówicie? – zaniepokoił się Adam.

–Mówimy o tym, jak pan Tarrence zrobił nas w konia. Teraz tylko pozostaje spytać go, gdzie jest prawdziwy Jacek Szczepański.

–No cóż... – Tarrence zrobił niewinną minę, po czym spojrzął na zegarek. – Obecnie pije już chyba herbatę z pułkownikiem Krentzem.

–Mówicie poważnie? – Dziennikarz spojrzął na Ultrę.

–Posłużyliśmy jako zasłona dymna dla odwrócenia uwagi przeciwnika – wyjaśniła chłodno Ultra, nie spuszczać oka z pogodnej twarzy Amerykanina. – CIA przy pomocy Christa ściągnęło nas tutaj, żebyśmy zmylili Zygzaka, tak by pan Tarrence mógł bezpiecznie i niezauważenie przerzucić świadka do Polski swoim kanałem. Za chwilę agent udający Szczepańskiego sfinguje własną śmierć w wypadku samochodowym i pułapka na Zygzaka się zamknie. Zanim nasz bohater się dowie, że wystrychnięto go na dudka, zjawią się u niego panowie w ciemnych okularach, by aresztować go pod zarzutem wielokrotnego morderstwa oraz szpiegostwa. A Szczepański jest już gotowy zeznawać.

–Nie tylko on – przerwał Tarrence. – Jacek to tylko mały trybik w tej grze. Są ludzie, którzy widzieli znacznie więcej. Znalezienie ich i zapewnienie bezpieczeństwa ich rodzinom wymagało czasu. Ta akcja trwała kilka lat. Teraz jesteśmy gotowi.

–Wy, Amerykanie, cały czas traktujecie nas jak gnojków ze Wschodu, a to my wyciągnęliśmy waszych z Iraku. Zawsze będziecie zaglądać nam przez ramię?

–Porozmawiajmy rozsądnie. Nie powinnaś się złościć, że ktoś wam pomógł. Cała robota dopiero przed wami. Po aresztowaniu Zygzaka, które nastąpi w ciągu kilkunastu godzin, trzeba będzie wyłowić wszystkich jego ludzi. On ma wtyki prawie wszędzie, ale teraz będą uciekać jak szczury z tonącego okrętu. A wy ich wyłapiecie. Trochę to potrwa, kiedyś jednak się skończy. Wiemy, że jesteście dobrzy. Poradzicie sobie. I nie lekceważ swojego udziału w tej akcji. Teraz czujesz się jak frajer, ale z czasem przyznasz mi rację. Tak było trzeba.

–Pułkownik Krentz o tym wiedział?

–A myślisz, że naraziłby dziennikarza, gdyby nie wiedział, że ten jest całkowicie bezpieczny? Wy na zewnątrz, my w domu Szczepańskiego, a on miał tylko tam wejść.

–Tamci nie próbowali wcześniej?

–Siedzieli tu od dwóch tygodni i nic. Tylko obserwowali. Dopiero Adam ich przekonał. Połknęli haczyk. Weszli do domu, a później gonili naszego agenta.

–Ciężko było ich tu sprowadzić? – spytał Kniewicz.

–O tak. Nadanie im „cynku” nie było proste, ale się udało. Kupili to. Myślę, że wasz przyjazd ostatecznie ich przekonał. A o to przecież chodziło.

–Od jak dawna Krentz o tym wszystkim wie? – jęknęła Ultra.

–Pełne informacje podaliśmy mu tuż przed waszym wyjazdem.

–Na Boga, tak późno?! Nie ufaliście nawet nam?!

–Od tego zależał sukces tej akcji. Twój pułkownik to zrozumiał. Do pokoju wszedł okularnik i pozdrowił Tarrence’a.

–W porządku? – spytał agent.

–Tak, bez komplikacji.

–To możemy wracać do domu. – Amerykanin klasnął w dłonie.

–Gdzie moi ludzie? – spytała Ultra.

–Grają w bilard z moimi.

Dziewczyna kilka sekund nic nie mówiła, wkładając teczkę do plastikowego etui.

–I tak powinno być – mruknęła po chwili do siebie, ale Tarrence ją usłyszał. Nie

odpowiedział jednak. Uśmiechał się tylko szeroko ze zrozumieniem.

–Panie prezydencie – powiedziała półgłosem sekretarka.

Pułkownik Krentz obserwował, jak drobna kobieta wślizguje się nieśmiało do gabinetu.

Prezydent nie zareagował. Wciąż pochylony nad dokumentami, które dostarczył mu szef agencji, wyglądał jak zahipnotyzowany.

–Pańskie napoleonki – nalegała sekretarka.

–Ach, tak – odpowiedział, jakby się budził ze snu. – Dziękuję, proszę postawić.

Kobieta tylko rzuciła okiem w stronę Krentza i szybko wyszła.

–Tyle śmierci, tyle krzywd... – mówił cicho prezydent, jak gdyby nie chciał, aby ktokolwiek go usłyszał.

Krentz zdjął okulary, żeby je pracowicie wyczyścić.

–To jest ta oryginalna, prawdziwa teczka, Piotr?

–Tak. Pierwszy raz w Polsce od osiemdziesiątego ósmego roku.

–Ten sukinsyn zabijał dla czegoś, co nawet nie miało mocy prawnej.

–To prawda. Teczka, którą miał senator Kamiński, zawierała jedynie duplikaty.

–Wiedział o tym?

–Chyba nie. Jest przesłuchiwany. Na razie wszystkiemu zaprzecza.

–Jasne. – Prezydent oderwał wreszcie wzrok od papierów. – Popatrz, jaki ten nasz Sejm jest bystry, jak trzeba. – Westchnął ze smutnym uśmiechem. – Uchylił immunitet w kilka godzin. Żeby tak jeszcze potrafili zatwierdzić mój projekt ustawy o bezpieczeństwie.

Pułkownik pokiwał głową ze zrozumieniem.

–Załatwiłeś sprawę z Kniewiczem?

–To rozsądny chłopak. Powie wyłącznie to, co trzeba. I tak ma materiał na życiową audycję.

–Dobra robota, Piotr. Teraz musimy się tylko z tego pozbierać.

–Wyłapiemy ich, panie prezydencie – oświadczył poważnie Krentz.

–Tak... – Prezydent podszedł do okna, aby spojrzeć na swój ulubiony dąb rosnący dumnie pośrodku ogrodu. – Wyłapiemy ich wszystkich.

Kończąca się wiosna zamieniła Ogród Saski w najpiękniejsze chyba miejsce w Warszawie. Hałaśliwe kaczki wypełniły staw, racząc się smakołykami rzucanymi im przez starszych ludzi. Dookoła wierzby płaczące zazieleniły cały brzeg, a gołębie bez strachu spacerowały między zakochanymi parami po alejkach. Plac zabaw ożył po zimie, wypełniając się przyjemnym hałasem dzieciaków. Tylko wartownicy pod Grobem Nieznanego Żołnierza mieli kwaśne miny, pocąc się w słońcu, które nawet

jak na tę porę roku grzało silniej niż zwykle.

Marta i Adam szli wolno dokoła stawu, trzymając się za ręce jak dzieci.

–Jak w redakcji? – spytała nagle dziewczyna, zauważywszy, że w ogóle na ten temat jeszcze dzisiaj nie rozmawiali.

–Jak nigdy. – Adam się uśmiechnął. – Takiej afery dawno nie było.

–Szkoda, że nie możesz wszystkiego powiedzieć...

–Nie mogę, ale tak jest lepiej.

–Nie zawsze tak myślałeś.

–To fakt, ale sporo się wydarzyło.

Kniewicz dostrzegł na jednej z ławek Ultrę. Czytała jak gdyby nigdy nic jakąś książkę. Wyglądała naprawdę seksownie, do czego wstyd mu się było przyznać w obecności Marty. Po raz pierwszy chyba widział ją w sukience i z rozpuszczonymi włosami.

–Jest już Ultra, chodź! – rzucił do Marty.

–Nie, przejdę się jeszcze. Na pewno macie swoje sprawy. – Poglaskała go po policzku.

Adam pokiwał głową i pocałował ją w czoło.

–To potrwa tylko chwilę.

Szybko podszedł do agentki.

–Tracisz czujność? – spytał, usiłując zgadnąć, co czyta.

–Nigdy – roześmiała się.

–Urlop?

–Jednodniowy – odparła, odkładając książkę.

–*Pogoda dla bogaczy?* – spytał z niedowierzaniem, zerkając na okładkę.

–Moja ukochana lektura. Życiowa. Jak ząb?

Kniewicz usiadł obok niej.

–Nieźle. Jak interesy?

–Dzisiaj w nocy chłopcy zdjęli Szczękusia. W Belgii Interpol aresztował Kerthoffa, przesyłamy materiały.

–A więc Zygzak się nie wywinie.

–Tym razem nie.

–Co dalej?

–To, co powiedział Greg Tarrence. Będziemy czyścić. Dziennikarz położył głowę na oparciu ławki, wystawiając twarz do słońca.

–Jak ty masz właściwie na imię?

Dziewczyna zamknęła oczy i uśmiechnęła się do siebie.

–Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej... – powiedział cicho Adam, widząc, że nie może liczyć na odpowiedź.

–Leć już do Marty – skarciła go zalotnie.

–Za minutkę, posiedźmy tu chwilę.

–Masz rację, posiedźmy.

